

ALEKSANDER SMOLAR
Polacy, Żydzi i nieprzerobiona
trauma transformacji

UROK CODZIENNOŚCI
Do spełnienia nie trzeba
ekstremalnych przeżyć

WOJCIECH JAGIELSKI
Baśń o brzydkim
kaczątku, wersja z RPA

TAK SIĘ ROBI DESZCZ
Barbara Krafftówna
o sile wyobraźni

Kraków 4 marca 2018 nr 10 (3582)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**PRZEGRANA
REFORMA
OŚWIATY**

Nauczyciele mają dość



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



MALTA 8 dni



• Hotel: 3* (7 nocy) • Wyżywienie: 2 posiłki dziennie

Śladami Rycerzy Maltańskich od 3 898 zł

Wyloty 09/06, 30/06, 11/08 i 22/09/18

Program wycieczki: **Dzień 1.** Przelot Warszawa – Malta. Przyjazd do hotelu i zakwaterowanie. **Dzień 2.** Zwiedzanie Valetty – wpisanej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, Katedra św. Jana i Pałac Wielkiego Mistrza. Prom na Cospicue, zwiedzanie zabytkowego miasta Vittoriosa. **Dzień 3.** Megalityczna świątynia Hagar Qim, Błkitna Grota i miasteczko rybackie Marsaxlokk. **Dzień 4.** Kościół w Moście, Grota św. Pawła, Mdina, lokalne maltańskie rękodzieło i Ogrody San Anton. **Dzień 5.** Czas wolny. **Dzień 6.** Całodzienne wycieczka na wyspę Gozo. Cytadela w Victorii, Dwejra i zatoka Xlendi. **Dzień 7.** Do południa czas wolny. Po południu wycieczka do Safi, wizyta w pasiece, degustacja miodów i ciasta daktylowego Mqaret, wytwórnia serów owczych. **Dzień 8.** Lot powrotny do Warszawy.

GRUZJA 7 dni



• Hotel: 3* (5 nocy) • Wyżywienie: 2 posiłki dziennie

Gościnną Gruzja od 3 898 zł

Wyloty 11/09, 04/10 i 05/11 2018

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Tbilisi. **Dzień 2.** Przelot do Tbilisi w Gruzji. Zwiedzanie miasta - w programie stare miasto, łaźnie, twierdza Narikala i Aleja Rustawelego. **Dzień 3.** Tbilisi – Dawit Garedża – Tbilisi. Wykuty w skale zespół klasztorny Dawit Garedża, położony na granicy z Azerbejdżanem. **Dzień 4.** Tbilisi - Gori – Uplisciche – Mcheta – Tbilisi. Muzeum Stalina w Gori, starożytne skalne miasto Uplisciche, monaster Dżwari (UNESCO) i katedra Św. Cchoweli. **Dzień 5.** Tbilisi – Gremi – Kwareli – Tbilisi. Warownia Gremi, degustacja wina i życie wiejskie. **Dzień 6.** Tbilisi – Czas wolny i kolacja pożegnalna. **Dzień 7.** Tbilisi – Warszawa.

IZRAEL 8 dni



• Hotel: 3*/4* (7 nocy) • 2 posiłki dziennie

Izrael – Ziemia Obiecana od 4 498 zł

Wyloty 11/11 i 18/11 2018

Kulturalno-historyczna podróż do Ziemi Świętej wzdłuż rzeki Jordan przez Judeę, Samarię i Galileę. **Program wycieczki:** **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dzień 2.** Tabgha. Kafarnaum. Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. **Dzień 3.** Kana Galilejska. Nazaret. Hajfa. **Dzień 4.** Betlejem. Góra Oliwna. Ogród Oliwny. **Dzień 5.** Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana Płaczu”, Meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, Bethesda, Kościół Św. Anny, Droga krzyżowa - via Dolorosa, Łuk Ecce Homo, Bazylika Grobu Świętego. Kościół Św. Piotra, Grób Dawida i Ostatnia Wieczerza. **Dzień 6.** Zachodnia Jerozolima – Kneset. Jad Waszem. En Kerem. **Dzień 7.** Jerycho – Góra Kuszenia. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dzień 8.** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

USA 15 dni



• Hotel: 2*/3*/4* (13 nocy) • Wyżywienie: śniadania

Najpiękniejsze Parki Narodowe USA od 11 498 zł

Wyloty 27/07 i 18/09 2018

Program wycieczki: **Dzień 1.** Przelot z Warszawy do San Francisco. **Dzień 2.** San Francisco: most Golden Gate, Chinatown, Wzgórze Twin Peaks. **Dzień 3.** San Francisco – 17 Mile Drive – Monterey – Carmel – Santa Maria. **Dzień 4.** Santa Maria – Solvang – Santa Barbara – Getty Center lub Getty Villa w Los Angeles. **Dzień 5.** Los Angeles. Zwiedzanie miasta, Venice Beach i Santa Monica. **Dzień 6.** Los Angeles – Calico – Laughlin. **Dzień 7.** Laughlin, Route 66 i Grand Canyon. **Dzień 8.** Tuba City, Monument Valley, Lake Powell i Page. **Dzień 9.** Page, Kanion Antylopy i P. N. Bryce. **Dzień 10.** Bryce Canyon – P. N. Zion – Las Vegas by Night. **Dzień 11.** Las Vegas. Zapora Hoovera i czas wolny. **Dzień 12.** Death Valley i Tulare. **Dzień 13.** Tulare – P. N. Yosemite – Manteca. **Dzień 14.** Manteca – Sausalito i wylot z San Francisco. **Dzień 15.** Przylot do Warszawy.

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów.

KS. ADAM

Boniecki: Mądrość Kościoła prześladowanego

POMYŚL, BY KONGRES TEOLOGÓW EUROPY ŚRODKOWO-Wschodniej zakończyć 15 sierpnia 1991 r. na Jasnej Górze, łącząc spotkanie Jana Pawła II z teologami z jego spotkaniem z uczestnikami Światowych Dni Młodzieży, nie był najszczęśliwszy. Uczestników Kongresu przywieziono z Lublina rano, kiedy papież już się spotykał z młodzieżą. Ponieważ ktoś uznał, że teologowie na tych spotkaniach nie są potrzebni, wszystkich tych (niezwykłych) ludzi zamknięto w klasztornej „klauzurze”. Wymęczeni wielogodzinnym oczekiwaniem z ulgą powitali papieża, który ich nie zawiódł.

Papieski wykład dotyczył... teologii. Zwracając się do teologów, którzy działali w podziemiu, nieraz płacąc wysoką cenę, Jan Paweł II wykazał, że właśnie ich dorobek, niekoniecznie w postaci opasłych dzieł teologicznych, „odślania same korzenie teologii”, bo – jak mówił – „w warunkach ograniczania i łamanie wolności religijnej [jest świadectwem] postawy świadomego wyboru Chrystusa. (...) Świadectwo zaś jest poznaniem szczególnym, jest obcowaniem z tajemnicą w znaczeniu całościowym i egzystencjalnym”. „Można powiedzieć – konkludował papież – że na tym obszarze ukształtowała się szczególna postać teologii wyzwolenia”.

Po blisko 27 latach trudno nie zapytać, co po upadku reżimu komunistycznego z doświadczeń „Kościoła milczenia” zostało w życiu i nauce Kościoła. Tam, gdzie Kościół był wyniszczony represjami, można było obserwować dążenie do rekonstrukcji tego, „co było przed wojną”. Jednak z tych czasów prześladowań pozostała, np. w Czechosłowacji – o czym pisze w tym numerze „Tygodnika” Tomasz Maćkowiak – tworzona w podziemiu „teologia Kościoła umierającego”.

Ale artykuł Maćkowiaka nie jest poświęcony teologii, tylko podziemnej wspólnoty. Takie wspólnoty skupiające żarliwych,



odważnych katolików, nie zawsze pozostające kanonicznie w porządku (kwestia celibatu, święcenie kobiet przez biskupa Feliksa Marię Davidka, nominacje biskupów bez wiedzy Rzymu), wyszły z podziemia i – jak twierdzą – utrzymują z obecnym prymasem Czech, kardynałem Dominikiem Duką (który też spędził półtora roku w komunistycznym więzieniu) „pakt o nieagresji”, czyli „po prostu sobie wzajemnie nie przeszkadzają”. Co zaś do statusu ka-

nonicznego, to powołują się na szerokie uprawnienia udzielone Kościołowi w Czechosłowacji przez Piusa XII pod koniec lat 40.

Po 1989 r. relacje między oficjalnym Episkopatem a Kościołem podziemnym nie były jasne. Wobec wątpliwości co do ważności święceń podziemnych księży Stolica Apostolska poleciła je powtórzyć. Żyjących w celibacie dopuszczono do posługi kapłańskiej, żonaci mogli zostać stałymi diakonami albo przyjąć ryt grekokatolicki. Święceń kobiet nie uznano za ważne. Nie uznano też większości konsekracji biskupich. Wielu „podziemnych” księży się oburzało, że Kościół kwestionuje posługę kapłańską ludzi sprawdzonych podczas prześladowań.

Watykan starał się postępować z wyrozumiałością. Benedykt XVI w 2008 r. zezwolił, na prośbę kard. Miloslava Vlk, na odnowienie święceń żonatego księdza Janowi Kofroňowi, który po 1989 r. nie chciał przejść na obrządek wschodni. Dziśjszy „pakt o nieagresji” świadczy o zachowaniu tej postawy.

Jak widać, Kościół przy całej swej empatii nie mógł i nie chciał przejść do porządku nad przekroczeniem takich kanonicznych granic, jak kapłaństwo kobiet i mianowanie biskupów z pominięciem papieża. W innych kwestiach, np. kapłaństwa żonaty, nie był rygorystyczny, chociaż był ostrożny.

Opowieść o „Gminie praskiej” przywodzi na myśl pytania, czego się nauczyliśmy z doświadczeń Kościoła prześladowanego, i o nienaruszalność kanonicznych granic. ©P

TP

Dziękujemy Czytelnikom!

„TYGODNIK POWSZECHNY” JEST PO RAZ KOLEJNY jedynym tygodnikiem opinii w Polsce, któremu wzrosła sprzedaż egzemplarzowa – jak podał Związek Kontroli Dystrybucji Prasy, w roku 2017 o ponad 14 procent! Wiadomość cieszy tym bardziej, że rośnie także czytelnictwo „TP” nieujęte w tym zestawieniu: wśród użytkowników aplikacji, wersji cyfrowej czy wydania na Kindle.

„TYGODNIKOWI” ZALEŻY NA CZYTELNIKACH – dlatego od tego wydania wprowadzamy zmiany w makiecie, które, mamy nadzieję, uczynią jego lekturę jeszcze przyjemniejszą. Oddajemy w Wasze ręce pismo na nowym, bielszym papierze – z bardziej intuicyjną nawigacją, przejrzystszą kompozycją i zmienioną strukturą Obrazu Tygodnia.



weź, czytaj!

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Tragedia syryjskiej Ghuty
MARCIN ŻYŁA**6-11 Wiadomości / Komentarze****18 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Ich krew nie była taka czerwona
ROZMOWA Z ALEKSANDREM
SMOLAREM**25 W stanie czuwania**ADAM ROBIŃSKI: *Harcerskie postawy są potrzebne dziś jak nigdy dotąd***28 Duma kroczy na końcu**
ROZMOWA Z RODZICAMI
KAMILA STOCHA

■ ■ WIARA

32 Pochwała codzienności
ROZMOWA Z S. BARBARĄ
CHYROWICZ, ETYKIEM**36 W zawieszeniu**
TOMASZ MAĆKOWIAK
*o czeskich katolikach
z byłego Kościoła podziemnego***39 To już rewolucja**
ARTUR SPORNIAN**40 Pomocnicy Szefa**
JERZY SOSNOWSKI
*na 60-lecie „Więzi”***42 Instrukcja wspomnienia**
SZYMON HIŻYCKI OSB: *Trzecia część
rekolacji z Ojcami Kościoła*

■ ■ ŚWIAT

44 Naprzód, Włochy
PAWEŁ BRAVO: *Po wyborach 4 marca
Italię będą rządzić populiści***47 Maskowanie ekstremy**
DARIUSZ KAŁAN: *Europa pogodziła
się z tym, że Austrię współrządzi
partia, której korzenie sięgają nazizmu*

ROBERT GARDZIŃSKI / FORUM

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 Szkoła frustracji
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Zaprawieni w bojach,
przyzwyczajenido niskich zarobków i reform?
Pozornie. Tak źle po 1989 r.
nauczyciele się jeszcze nie czuli.**14 Treści masowo niestrawne**
ROZMOWA Z WIToldem BOBIŃSKIM,
LITERATUROZNAWCĄ,
DYDAKTYKIEM JĘZYKA POLSKIEGOJesteśmy na odwrotnym kursie niż ten,
którym podąża współczesna dydaktyka.
Polska edukacja zmierza w kierunku
ubezwłasnowolnienia nauczyciela i ucznia.

■ ■ FELIETONY ■ ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER**43 SZYMON HOŁOWNIA****54 ANDRZEJ STASIUK****74 JAN KLATA****75 PAWEŁ BRAVO****82 STANISŁAW MANCEWICZ****82 BARTOSZ MINKIEWICZ**Okładka: MAREK ZALEJSKI // DARKBIRD
/ ADOBE.COM / PIXABAY
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA**50 Przypadki Jacoba Zumy**
WOJCIECH JAGIELSKI
o byłym prezydencie RPA

■ ■ HISTORIA

56 Inni żołnierze wyklęci
REMIGIUSZ OKRASKA

■ ■ NAUKA

60 Gorączka wirtualnego złota
PIOTR SZOSTAK: *Czym są
kryptowaluty i skąd się wzięły?***63 Dylemat inwestora**ŁUKASZ KWIATEK: *Tybetańczycy
wołają synów, ale większe zasoby
przeznaczają na córki*

■ ■ KULTURA

64 Duma i wyprzedzenie
ELIZA KĄCKA: *portret Susan Sontag***68 Umysł na wygnaniu**DOROTA KOZIŃSKA: *Edward Said
– wszyscy się na niego powołują,
ale czy ktoś go zrozumiał?***70 Władza i gwałt**DARIUSZ KOZIŃSKI
*o nowym spektaklu Jana Klaty***71 Twarze Berlinale**ANITA PIOTROWSKA
*o Międzynarodowym Festiwalu
Filmowym w Berlinie***73 Warto zobaczyć w TV****74 Świat poza czasem**LEKTOR *o książce
„Chasydzkie powroty
do miejsc nie-zapomnianych”*

■ ■ ZMYŚŁY

76 Tak się robi deszczROZMOWA Z BARBARĄ
KRAFFTOWĄ, AKTORKĄ**80 20 ambitnych ptasarzy**

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotodyscy: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



TRAGEDIA GHUTY

Ponad rok po Aleppo kolejna oblężona i bombardowana enklawa przypomina Zachodowi o wojnie, która na co dzień rozgrywa się w Syrii.

MARCIN ŻYŁA

POWIEDZIEĆ, ŻE SYTUACJA CYWILÓW ZE wschodniej Ghuty pogarsza się – to jeszcze nic nie powiedzieć.

Wschodnia Ghuta – nazwa niedawno szerzej nieznana – to wiejskie przedmieścia stołecznego Damaszku które pozostają pod kontrolą zbrojnej antyasadowskiej opozycji i od prawie pięciu lat są otoczone przez syryjską armię rządową. Do tej pory oblężenie nie było jednak intensywne ani szczelne – dzięki temu, że możliwe było szmuglowanie tam żywności czy leków (m.in. specjalnie wydrążonymi tunelami), 400 tys. ludzi pozostałych w tym regionie mogli przetrwać.

Tymczasem od początku minionego tygodnia trwa intensywna ofensywa na Ghutę. Na razie głównie z powietrza: naloty i ostrzał zabiły już setki ludzi (tylko we wtorek i środę, 20-21 lutego, zginęło ich ponad dwustu); odnotowano też przynajmniej 24 ataki na szpitale. Po tym, gdy zachodnie media obieły zdjęcia umierających dzieci, znów mówi się o „bezczyńności” i „obojętności” świata wobec ofiar syryjskiej wojny.

Wschodnia Ghuta nie jest jednak, jak mówią niektórzy, „drugą Srebrenicą”. Inaczej niż tamta enklawa w Bośni (w 1995 r. miejsce masowych zbrodni popełnionych przez bośniackich Serbów), dla armii syryjskiego

Akcja ratunkowa po ostrzale armii rządowej, wschodnia Ghuta, Syria, 22 lutego 2018 r.

→ prezydenta Ghuta stanowi w dużej mierze cel wojskowy – w przeszłości dokonywano stąd ataków na śródmieście Damaszku. Trwają one zresztą nadal, np. w miniony wtorek w ostrzale prowadzonym przez opozycję zginęło 13 mieszkańców stolicy.

Jednak zarówno Asad, jak też jego sojuszniczka Rosja – bez jej wszechstronnego wsparcia syryjskie lotnictwo (i nie tylko ono) dawno już przestałoby istnieć – usiłują się wybielić w oczach Zachodu: powtarzają kłamstwa, jakoby w Ghucie rządili dżihadyści z grupy Tahrir al-Szam, dawnego odłamu Al-Kaidy. W istocie kontrolę nad enklawą sprawują głównie dwie inne grupy opozycyjne (Dżajsz al-Islam i Faylaq al-Rahman). Obie konserwatywne, wprowadzające na swoich terenach surową interpretację prawa i od czasu do czasu walczące także ze

sobą. Ale jednak – nie terroryści. Tyle tylko że dla Asada i Rosjan każdy, kto jest przeciw nim, to terrorysta.

Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła wprawdzie rezolucję w sprawie 30-dniowego zawieszenia broni, ale walki trwają nadal (także w regionie Afrin na północy kraju). W chwili zamknięcia numeru pojawiły się nawet – niezwyfiko- wane – informacje o ataku chemicznym. Wcześniej, w sierpniu 2013 r., armia rządowa użyła w Ghucie gazów bojowych, zginęło wtedy kilkakaset osób. Zdarzyło się to tuż po tym, jak ówczesny prezydent USA Barack Obama ostrzegał reżim Asada przed konsekwencjami przekroczenia „czerwonej linii”.

Dziś o „czerwonych liniach” nikt już nie pamięta.

©© MARCIN ŻYŁA



Zdjęcie wykonane podczas nalotu w nocy z 7 na 8 lutego 2018 r.
W kółku – spadająca rakiet, trzy czarne plamy na prawo od celownika to ludzie.

WWW.DVIDSHUB.NET

Syria: cicha krew

ZE STRZEPÓW INFORMACJI można odtworzyć przebieg zdarzeń. Na początku lutego siły Asada przy wsparciu firmy militarnej z Rosji (Grupy Wagnera) zaatakowały pod Dair az-Zaur Syryjskie Siły Demokratyczne, popierane przez USA. Amerykanie powiadomili Rosjan o zamiarze odparcia ataku. Rosyjscy doradcy mieli odpowiedzieć, że nie ma tam rosyjskich wojsk. Przez kilka godzin Amerykanie bombardowali atakujących. Zginęło kilkunastu, kilkudziesięciu lub nawet kilkuset „wagnerowców”. Po czym zapadło milczenie. Rosyjskie czynniki oficjalne zaraz zastrzegły, że rosyjska armia nie miała z tym nic wspólnego.

W ruch poszły narzędzia dezinformacyjne. Ale w sieci, a potem w prasie z USA zaczęły się pojawiać wieści o stratach Grupy Wagnera. Moskwa zachowała spokój: nawet jeśli ktoś zginął, był tam na własne życzenie. „Ich tam-niet” (ich tam nie ma): to klasyczny komunikat Kremla, gdy na jaw wychodzi obecność Rosjan tam, gdzie nie powinno ich być. Putin dla potrzeb kampanii wyborczej ogłosił, że rosyjska armia w Syrii już zwyciężyła i się wycofuje. Jatką pod Dair az-Zaur podważa ten przekaz i godzi w wizerunek prezydenta.

Incydent ten jeszcze zaognia napięte stosunki Rosja–USA. Choć na jaw wychodzą nowe niewygodne szczegóły, Kreml próbuje przeczekać i przed wyborami zamieść sprawę pod dywan. Tylko czy to się uda? ©© ANNA ŁABUSZEWSKA

W SKRÓCIE



ARKADIUSZ ZIOŁEK / EAST NEWS

MRÓZ. Z falą mrozów w Polsce zbiegły się informacje mediów z Izraela o zamrożeniu feralnej ustawy o IPN – w rozmowie z reporterem TVN24 rzecznik izraelskiego MSZ mówił nawet o „wstępnym porozumieniu” w sprawie jej nowelizacji. Dopytywani o to politycy PiS unikają jednoznacznych odpowiedzi; zmiana kursu zaskoczyła najwyraźniej związane z nimi media, które publikują w najlepsze rysunki, na których kagiebiasta z gwiazdą Dawida do spółki z gestapowcem morduje kłęczącego Polaka.

ZAWIESZENIE. Tempa zmian w narracji nie wytrzymał też chyba jeden z reporterów TVP, zawieszony przez stację po doniesieniach o tym, że został wyprowadzony z pociągu w kajdankach, wcześniej zaś, będąc pod wpływem alkoholu, miał się zachowywać agresywnie i wulgarnie.

CZAR. Na plus zawieszonemu reporterowi zapisujemy to, że nie próbował czarować. Przestrzegając na antenie Radia Maryja przed kolejnym atakiem lewicowo-liberalnych mediów o Tadeusz Rydzik apelował do swojego środowiska, żeby się nie dało zwieść: „żeby nas czar miłych słów czy czar kamer nie zaczarował i żebyśmy nie udzielali wywiadów” – powiedział, dodając: „Nie potrzeba nam udzielać wywiadów w innych mediach. My mamy swoje media”.

MAPA. Trochę się jednak martwimy, że Polska w tych mediach wygląda jak ilustracja zaprezentowana podczas konferencji Mateusza Morawieckiego, zwołanej w związku z obwieszczeniem Trybunału Europejskiego w sprawie naruszenia przez nasz kraj unijnych norm czystości powietrza: z wyświetlanej za plecami premiera mapy Polski zniknęło jedno województwo, a Kraków umieszczono w centrum.



MARK MALKUSZAK / REPORTER

MARSZ ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH, zorganizowany przez ONR, przeszedł ulicami Hajnówki. Narodowcy chcieli uczcić kpt. Rajsa „Burego”, który w 1946 r. spacyfikował kilka wsi zamieszkałych w dużej mierze – podobnie jak dziś Hajnówka – przez prawosławną ludność białoruską (zginęło 79 osób, w tym dzieci). Manifestacja była legalna, policja zatrzymała sześcioro próbujących ją zablokować przedstawicieli ruchu Obywatele RP. ©P

Pracodawcom świeczkę, pracownikom ogarek

DOPASOWANIE – w taki sposób resort pracy tłumaczy potrzebę wprowadzenia nowego Kodeksu Pracy, który zastąpiłby ten z 1974 r., wielokrotnie nowelizowany, ale zdaniem rządu zbyt już anachroniczny. Spośród proponowanych zmian część nie przypadnie do gustu pracodawcom, ale i nie wszystkim spodobać się pracownikom.

DOMNIEMANIE ETATU. To chyba najmocniej uderzy we właścicieli firm, którzy nie będą mogli zachęcać do przechodzenia na tzw. samozatrudnienie. W nowym kodeksie pracy sytuacja, w której samozatrudniony świadczy „usługi” jednemu klientowi, w jego biurze i w określonym wymiarze czasu, będzie automatycznie wymagać podpisania umowy o pracę.

LIMIT PREMII w comiesięcznej wypłacie może za to nie spodobać się obu stronom. Zapis skróci wprawdzie pracodawcom kraj uznaniowości, którym mogą wymuszać na zatrudnionych większą efektywność, ale pracownicy też stracą, zmiany ograniczą im bowiem możliwość dorobienia do pensji.

URLOP NA ŻĄDANIE ma być bezpłatny, pojawi się za to możliwość skorzystania z płatnego urlopu na godziny. Nie wykorzystane wolne dni nie będą już przechodzić na kolejny rok.

WYPŁATA ZA NADGODZINY zostanie podzielona. Wynagrodzenie za pracę po fajrancie (do pewnego limitu godzin) ma trafić na fundusz powierniczy, który pracodawcy będą mogli wykorzystać na wypłaty np. podczas sezonowego spadku zapotrzebowania na pracę. Z nadgodzin pracownicy ufundują więc sobie coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej od zwolnień. Przy najmniej w teorii.

NOWY KODEKS – za co trzeba pochwalić rząd PiS, który na problematykę paritetów płciowych ma alergię – ma też penalizować wszelkie przejawy dyskryminacji w pracy ze względu na płeć. O ile skuteczniej od starego kodeksu pracy – nie wiadomo, bo wciąż nie znamy ostatecznego kształtu proponowanych przez władze zmian. Jedno wydaje się pewne już w tej chwili. Dostosowanie, o którym mówi rząd, w istocie jest próbą eliminacji największych nieprawidłowości na rynku pracy za pomocą usztywnienia przepisów tam, gdzie dają dziś pracodawcom i pracownikom swobodę.

©P MAREK RABIJ

KRS a udawanie praworządności



MARCIN MATCZAK

KIEDY OBSERWUJE SIĘ WYBORY DO KRS, można dojść do wniosku, że gdyby konstytucja przewidywała Krajową Radę Równouprawnienia Płci, w której 50 proc. stanowiłyby kobiety, pod rządami PiS tę połowę wybieraliby mężczyźni. Kandydatkami byłyby żony i córki tych mężczyzn, zależne od nich finansowo – każda kobieta reprezentuje przecież kobiety.

Gdyby natomiast konstytucja przewidywała Krajową Radę ds. Stosunków Polsko-Rosyjskich, polskich członków powoływałby Władimir Putin, a część z nich byłyby pracownikami Gazpromu. W końcu każdy Polak reprezentuje Polskę.

Większość kandydatów do nowej KRS, reprezentujących władzę sądowniczą, jest powiązanych z władzą wykonawczą. Sześciu to sędziowie pracujący do niedawna w Ministerstwie Sprawiedliwości, zależni służbowo od ministra. Teraz będą chronić niezawisłość innych sędziów i decydować o ich powołaniach i awansach. Następna trójka to powołani niedawno przez Ziobrę prezesi sądów. Zgłaszaniu tych kandydatów towarzyszy narracja, że każdy sędzia reprezentuje sędziów. Nieważne, kto ich wybiera, nieważne, czy są zależni od wybierającego, czy nie.

Taki sposób wybierania KRS jest następnym etapem znanego w ustrojach autorytarnych zjawiska „wydrążania” instytucji państwa prawa. Kiedy pozbawi się je ich jądra, jakim jest niezależność, stają się użytecznymi dla władzy atrapami. ©

LICZBA TYGODNIA

269 282

Tyle zachorowań na grype
lub podejrzeń grypy zarejestrowano
w Polsce od 16 do 22 lutego.

W całym sezonie 2017/18 odnotowano 7 zgonów spowodowanych tą chorobą. Średnia zapadalność 100,3 na 100 tys. ludności to najwyższy poziom w tym okresie; w styczniu zachorowań było 700 tys., a w ciągu pierwszych trzech tygodni lutego – ponad 780 tysięcy. Najwięcej chorych pochodzi z województw: pomorskiego, wielkopolskiego, mazowieckiego, kujawsko-pomorskiego i łódzkiego.

Dni „Bibiego” policzone



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

DLA PREMIERA IZRAELA BENIAMINA NETANJAHU BĘDĄ TO TRUDNE tygodnie: niemal każdy dzień przynosi nowe doniesienia w sprawach, które przeciw niemu prowadzi izraelska policja.

W zeszłym tygodniu zarekomendowała ona prokuraturze wszczęcie postępowania przeciw premierowi, twierdząc, że ma wystarczające dowody potwierdzające jego winę w sprawach o korupcję, nadużywanie władzy i działanie wbrew interesowi państwa. Obok tzw. „sprawy 1000” (zarzut przyjmowania prezentów wartych dziesiątki tysięcy dolarów – cygar, szampana, biżuterii – od zaprzyjaźnionych biznesmenów, w zamian za różne korzyści), obok „sprawy 2000” (skandalu wokół próby pozyskania przez Netanjahu przychylnych okładek w gazecie „Yedioth Ahronoth”), toczą się też postępowania w dwóch kolejnych: domniemanego korumpowania urzędników ministerstwa obrony przy zakupie niemieckich okrętów podwodnych („sprawa 3000”; Netanjahu nie jest bezpośrednim podejrzanym) i uzyskania wpływu na informacje publikowane w portalu Walla w zamian za korzyści dla jego właściciela, firmy Bezeq („sprawa 4000”; aresztowano już bliskich współpracowników premiera). W tym tygodniu policja ma znów przesłuchać „Bibiego” (jak familiarnie się go określa).

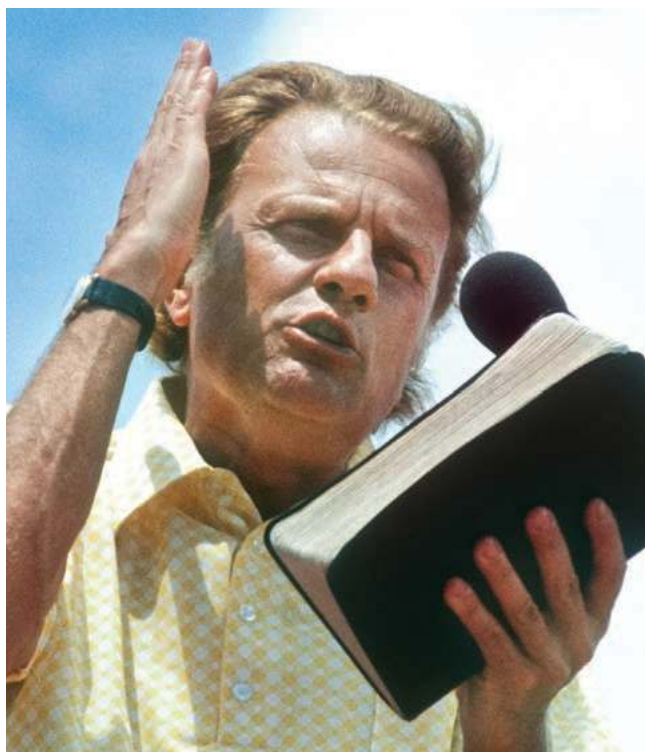
Choć jego poprzednik Ehud Olmert podał się dymisji już w chwili, gdy policja rekomendowała postawienie mu zarzutów, Netanjahu robić tego nie zamierza. Na razie może liczyć na wsparcie koalicjantów, którzy premiera – i zarazem szefa partii Likud – wprawdzie krytykują, ale nie chcą rozwiązania rządu i przyspieszonych wyborów. Premier ma też wsparcie elektoratu: najnowsze sondaże wskazują, że gdyby wybory odbyły się teraz, Likud wciąż byłaby największą partią w Knesecie. © P

Fundusze unijne nie dla każdego?

INSTYTUCJE EUROPEJSKIE oraz przywódcy krajów członkowskich zaczynają rozmawiać o następnej wieloletniej perspektywie finansowej na okres po 2020 r. Był to jeden z tematów (choć nie najważniejszy) piątkowego nieformalnego spotkania Rady Europejskiej. Idzie m.in. o to, czy i w jakim stopniu zapełnić dziurę we wspólnej kasie, która powstanie po brexicie. Rozmowy toczą się także wokół podnoszonej m.in. przez Niemcy propozycji, by powiązać wypłaty z niektórych funduszy z pewnymi warunkami.

Angela Merkel mówi o respektowaniu ustaleń w sprawie uchodźców, KE niedawno przedstawiła zarys propozycji uzależniającej wypłaty od respektowania wartości wyrażonych w art. 2 traktatu (m.in. rzędy prawa), Francuzi chcą wymóc na beneficjentach większą spójność fiskalną (czyli żeby fundusze nie szły do krajów o niższych podatkach). Nie ma nawet jasności, czy nową perspektywę uda się przyjąć w tej kadencji europarlamentu, ale Polskę czekają trudne miesiące negocjacji. Jednym z argumentów na rzecz osłabienia warunków może być nasza zgoda na zwiększenie składek.

© P PAWEŁ BRAVO



JP LAFFONT / POLARIS / EAST NEWS

Podczas „Krucjaty dla Jezusa”, Dallas, czerwiec 1972 r.

Zmarł Billy Graham, pastor Ameryki

W WIEKU 99 LAT w Montrealu w Karolinie Północnej zmarł Billy Graham, pastor i najbardziej wpływowy protestancki kaznodzieja w Ameryce, znany z płomiennych przemówień zwanych krucjatami Grahama. Przez ponad 60 lat był gospodarzem ewangelizacyjnych audycji w radiu i telewizji. Konsultował sprawy duchowości z każdym prezydentem od Harry’ego Trumana do Baracka Obamy. Elżbieta II zapraszała go na prywatne pogawędki o wierze, potem nadała mu tytuł szlachecki. Graham był postacią niejednoznaczną. Na początku swej kaznodziejskiej drogi sprzeciwiał się równouprawnieniu Afroamerykanów, z czasem jednak przeszedł na drugą stronę, a nawet zaczął nawracać rasistów z Ku Klux Klanu. O ile całe życie bliżej mu było do Partii Republikańskiej, to w latach 90.

dystansował się od jej religijnego, prawego skrzydła mówiąc, że Chrystus nie miał politycznej afiliacji. Pod koniec życia angażował się natomiast w walkę z małżeństwami jedнопłciowymi i sponsorował kampanie społeczne oraz prasowe wspierające przeciwników tej sprawy.

W październiku 1978 r. odwiedził Polskę. Został zaproszony przez Polski Kościół Baptystów. W imieniu Konferencji Episkopatu Polski amerykańskiego pastora witał bp Władysław Miziołek, który przypuszczał, że gość adresować będzie swoje kazania także do katolików. W Krakowie Graham głosił w kościele św. Anny, na co zgodę wyraził wcześniej kard. Karol Wojtyła. Zbiegiem okoliczności w dniu wyjazdu Grahama ten ostatni został wybrany na papieża. Z dokumentów Służby Bezpieczeństwa wynika, że Amerykanin spotkał się z Edwardem Gierkiem i przekazał mu przesłanie od Richarda Nixona.

© RADOŚLAW KORZYCKI



Tesla Roadster – najszybsze auto świata

Wyścig po kobalt dopiero się zaczyna

BYŁ NICZYM NAJWAŻNIEJSZY pierścień ze słynnej sagi Tolkiena – na swoje odkrycie, schowany pod ziemią, czekał wiele stuleci. W średniowiecznej Europie górnicy ochrztili go imieniem kobolda, złośliwego gнома, który w miejsce cennych rud żelaza podrzucał im bezwartościowe – jak wtedy sądzili – bryły lśniącego, srebrzystego metalu. Bezużyteczny przestał być dopiero niedawno, kiedy okazało się, że bez niego trudno wyprodukować baterie znajdujące się dziś w każdym smartfonie.

W minionym tygodniu pojawiły się informacje, że firma Apple – jeden z najważniejszych użytkowników kobaltu – zamierza pozyskiwać surowiec bezpośrednio od wydobywców. Chce w ten sposób zdążyć przed gwałtownie rozwijającym się rynkiem samochodów

elektrycznych – do wyprodukowania jednego potrzeba tysiąc razy więcej kobaltu niż znajduje się w telefonie. O tym, jak duże jest zapotrzebowanie na minerał, niech świadczy fakt, iż jeden z węgierskich zakładów produkcji baterii ma już zamówienia na następne 13 lat. Popyt na kobalt rośnie więc gwałtownie; w ciągu ostatnich 18 miesięcy jego cena wzrosła trzykrotnie – a to dopiero początek.

Kłopot w tym, że dwie trzecie światowych zasobów kobaltu pochodzi z jednego tylko kraju – Demokratycznej Republiki Konga – gdzie na nowo rozgorzała właśnie wojna. Władze w Kinszasie, mimo wizyt składanych tu regularnie przez szefów międzynarodowych koncernów wydobywczych, podwyższyły już opłaty za wydobycie miedzi, złota i kobaltu. Są jeszcze inne wątpliwości: w DRK wydobywaniem kobaltu, często w improwizowanych kopalniach odkrywkowych, zajmują się także dzieci. Firma Apple opublikowała już listę swoich dostawców i zapewnia, że nie będzie pozyskiwać kobaltu z małych kopalń (gdzie ryzyko wykorzystywania do pracy dzieci jest największe), ale w kolejnych latach nie wszyscy będą w stanie oprzeć się pokusie jak najtańszego surowca. Kobalt, jak kiedyś kauczuk, może stać się kolejnym przekleństwem Kongijczyków.

© ŻYM

Kopalnia minerału w kongijskiej prowincji Katanga, 2011 r.



MEINRAD SCHADE / ANZENBERGER / FORUM



TYŃSKÝ CHRÁM

Pozłacany kielich na szczycie kościoła Matki Bożej nad Týnem, Praga, 14 lutego 2018 r.

Husycki symbol na katolickiej świątyni

W POŁOWIE LUTEGO na fronton gotyckiego kościoła Najświętszej Marii Panny przed Týnem na praskim rynku Starego Miasta wrócił złoty kielich z hostią – symbol husytyzmu. W XV i XVI w., kiedy Czechy były religijnie podzielone, kościół ten był jednym z najważniejszych ośrodków utrakwizmu, czyli umiarkowanego husytyzmu. Kielich symbolizował jeden z najważniejszych reformatorskich postulatów Jana Husa – Komunię pod Obiema Postaciami.

Symbol wraz z figurą husyckiego króla Jerzego z Podiebradów zdjęto 17 stycznia 1623 r. – dwa lata po opanowaniu Czech przez Habsburgów. Wtedy też z kościoła usunięto m.in. szczątki pochowanego tam w XV w. husyckiego teologa, pisarza i biskupa Jana Rokycana.

Pomysł symbolicznego zakończenia sporu między Czechami katolickimi i husyckimi rzucił kilka lat temu praski arcybiskup kard. Dominik Duka. Atrapa kielicha „na próbę” umieszczona została już latem ubiegłego roku. Natomiast dopiero w lutym na fronton trafiła pozłacana kopia historycznego kielicha zrobiona z blachy miedzianej. Katolickiemu metropolicie nie udało się przy tej okazji przywrócić na praski rynek Mariánského Sloupa – barokowego obelisku Matki Bożej, który jesienią 1918 r. podczas demonstracji towarzyszących powstawaniu Czechosłowacji został powalony przez grupę radykałów (zob. artykuł Tomasza Maćkowiaka na ten temat: powszech.net/sloup).

© TOMASZ MAĆKOWIAK

W SKRÓCIE

DOSTĘP DO KOMUNII

DLA EWANGELIKÓW. Dużą większością głosów Episkopat Niemiec przyjął duszpasterski dokument, który umożliwia ewangelickim współmałżonkom przystępowanie do komunii, jeśli rozsądzą w sumieniu po rozmowie z duszpasterzem, że wierzą katolicką wiarą w Eucharystię. Instrukcja zachęca do takiego rozwiązania w trosce o trwałość zawartego małżeństwa. Natomiast intencją biskupów nie jest „przeciąganie” ewangelików do Kościoła katolickiego.

WALKA Z ALKOHOLIZMEM.

Podwyższenie wieku umożliwiającego nabywanie alkoholu z 18 do 21 lat, zmniejszenie liczby punktów sprzedaży oraz zakaz reklam alkoholu postuluje Narodowy Program Trzeźwości zaproponowany przez Episkopat Polski na 100-lecie odzyskania niepodległości. Biskupi przypominają, że aż trzy miliony rodaków regularnie się upija, a statystyczny Polak wypija rocznie 10 litrów czystego spirytusu.

WYRÓŻNIENIE

DLA KS. BONIECKIEGO. Senat Uniwersytetu Łódzkiego przyznał doktorat *honoris causa* ks. Adamowi Bonieckiemu, m.in. „za tolerancję i chrześcijańską pokorę w ocenach bliźnich, a przede wszystkim za pozytywny trud szerzenia systemu wartości, w którym naczelną rolę zajmuje człowiek, także ten niedoskonały”. Uroczystość odbędzie się 12 kwietnia.

UPOMNIENIE

DLA O. GUŻYŃSKIEGO. Prowincjał dominikanów o. Paweł Kozacki, po „wysłuchaniu opinii komisji teologicznej” powołanej do oceny wypowiedzi o. Pawła Gużyńskiego, udzielił zakonnikowi upomnienia kanonicznego. Jednocześnie polecił mu „zorganizowanie i przeprowadzenie wewnętrznej dominikańskiej debaty dotyczącej stosunku prawa naturalnego i prawa stanowionego oraz roli Kościoła w demokratycznym stanowieniu prawa”. O. Gużyński m.in. uznał za społecznie szkodliwe forsowanie ustawy antyaborcyjnej bez publicznej dyskusji.

Papież coraz bardziej ostrożny

ARTUR SPORNIAK

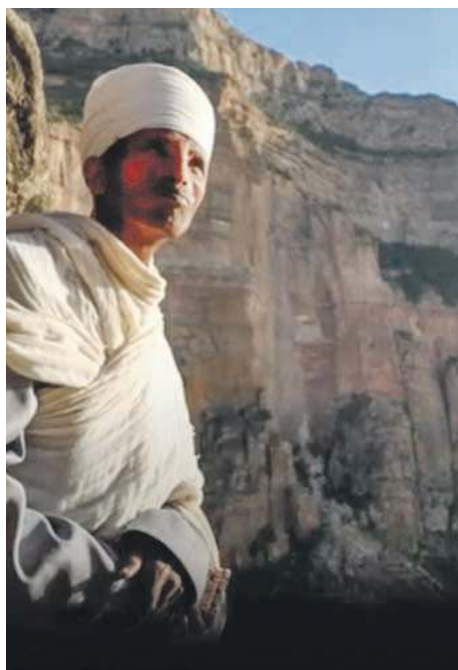


„CZY MOGLIBYŚMY SOBIE WYOBRAZIĆ INNEGO NIŻ Franciszek papieża, który wyznacza własnego prokuratora do wyjaśnienia własnych słów i działań?” – komentował portal National Catholic Reporter misję abp. Charlesa Scicluny w Chile. Rzeczywiście, to wydarzenie bezprecedensowe. Papież wyznaczył jednego z najbardziej skutecznych prokuratorów do zbadań oskarżeń bp. Juana Barrosa o tuszowanie przypadków nadużyć seksualnych wobec nieletnich w chilijskim Kościele. W 2015 r. sam mianował Barrosa biskupem Osorno. Decyzja ta wzbudziła protesty wiernych. Franciszek długo bronił się twierdząc, że oskarżenia są oszczerstwami, bo nie ma dowodów winy biskupa. Zmienił podejście, gdy publicznie upomniał go przewodniczący papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich kard. Sean O'Malley,

stwierdzając, że domaganie się od ofiar dowodów jest dla nich bolesne.

Scicluna zdaje sobie sprawę z wagi swojej misji. Dlatego, gdy musiał ją na kilka dni przerwać z powodów zdrowotnych, szczegółowo poinformował o przebiegu leczenia (dowiedzieliśmy się, że po ostrym ataku woreczka żółciowego przeszedł zabieg laparoskopowego wycięcia tego narządu).

Choć Franciszek sprawę Barrosa rozstrzyga wzorcowo, poddając się publicznej kontroli, niestety wygląda na to, że staje się także coraz bardziej ostrożny. Ostatnio nie przedłużył mandatów sześciu członkom Komisji ds. Ochrony Małoletnich. Jak twierdzi była członkini komisji Mary Collins – w tym gronie znalazły się osoby dotychczas najbardziej aktywne. ©P



Ks. Haile Silassie Kahsay

Wspinaczka pod okiem dziewięciu świętych

BOSO I BEZ LINY – ks. Haile Silassie Kahsay z północnej Etiopii przestrzega wielowiekowej tradycji i w taki właśnie sposób wspina się na 250-metrową skałę, na której szczyt

znajduje się jego kościół. Podobno wykuł go w VI w. Abuna Yemata wspólnie z ośmioma towarzyszami, z którymi uszedł z Konstantynopola przed prześladowaniami. Owi święci Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego (obecnie autokefalicznego, dawniej podległego koptyjskiemu patriarche w Egipcie) byli monofizytami: uważali, że boska natura Chrystusa wchłonęła ludzką. Po soborze chalcedońskim w 451 r. pogląd taki oznaczał herezję.

Ks. Kahsay wstaje przed wschodem słońca, a po godzinie szóstej wyrusza w dwugodzinną podróż do podnóża pionowej skały. „Nie boję się tej wspinaczki, robię to codziennie – przekonuje w filmie nakręconym przez BBC. – Z tej ściany nikt nie spadł, czuwa nad tym dziewięciu świętych”. Świątynia składa się z kilku pomieszczeń, których ściany pokryte są freskami: przedstawiają patronów kościoła, ciemnoskórą Matkę Bożą z Jezusem, apostołów i aniołów. Jest też komnata chrzcielna: matki wspinają się tutaj, niosąc niemowlęta na plecach.

Kapłan codziennie studiuje stare księgi, spisane ręcznie na pergaminie starożytnym językiem gyyz (do dziś używanym w liturgii). „Jeśli czytasz Słowo Boże i rozumiesz je, ono staje się słodkie niczym miód” – mówi. Przed zachodem słońca zamyka drewniane wrota kościoła i rusza w drogę powrotną. „Jestem księdzem, żeby uczyć wiernych tego, czego sam się nauczyłem – tłumaczy. – Dzięki temu będą w stanie pójść moimi śladami”. ©P

MAM / BBC, THE TABLET

Upada kolejny mit o neandertalczykach

MALOWIDŁA NASKALNE – jeden z pierwszych przykładów sztuki i dowód myślenia symbolicznego – dotąd przypisywane były wyłącznie *Homo sapiens*. Międzynarodowy zespół badaczy (Dirk Hofmann i współpracownicy) przedstawił jednak właśnie na łamach „Science” wyniki analizy wieku malowideł znajdujących się w kilku jaskiniach na terenie Hiszpanii. Okazało się, że niektóre z nich (m.in. to na zdjęciu) powstały przynajmniej 64,8 tys. lat temu – tymczasem uważa się, że *Homo sapiens* dotarli na te tereny ponad 20 tys. lat później. Malowidła najprawdopodobniej wykonali więc neandertalczyki – jedyni wówczas ludzie zamieszkujący Europę.

Badacze zaznaczają, że choć przeanalizowane rysunki nie są figuratywne – jak choćby młodszego, wykonane przez *Homo sapiens* sceny polowań znane z innych jaskiń – to jednak z pewnością są wynikiem artystycznego namysłu. Składają się jedynie z kropek, kolorowych plam i motywów liniowych, ale ręczne naniesienie



HOFFMANN ET AL., SCIENCE 359 (2018)

ich na ścianę wymagało przygotowania źródła światła i barwników. Wiele elementów zdaje się celowo naniesionych na ścianę tak, aby dobrze komponowały się z jej naturalnymi cechami. Nie mogły powstać przypadkowo, jak np. odcisk dłoni.

Już wcześniej wiadano, że neandertalczyki ozdabiali swoje ciała i grzebali zmarłych, więc nowe dowody na ich symboliczne myślenie nie są aż tak zaskakujące. Wzbogacają jednak naszą wiedzę na temat neandertalskiej kultury, która zapewne kryje jeszcze wiele tajemnic.

© © ŁUKASZ KWIATEK

Kubańska choroba

24 AMERYKAŃSKICH

DYPLOMATÓW pracujących na Kubie w 2016 oraz 2017 r. skarżyło się na zawroty głowy, bezsenność i zaburzenia poznawcze. Badacze z Uniwersytetu Pensylwanii, którzy przeprowadzili skany mózgu oraz testy poznawcze, nie potrafili wskazać źródła tych objawów. Podobno ich pojawienie się poprzedzały uciążliwe dźwięki, co napędzało spekulacje, że dyplomaci padli ofiarą ataku bronią soniczną. Symptomy wyjaśnić może jednak także praca w stresie.

Auto nie wróci

TESLA ROADSTER, wyniesiony w kosmos na początku lutego na pokładzie rakiety Falcon Heavy firmy SpaceX, prawdopodobnie nie powróci na Ziemię, by spłonąć w atmosferze. Szanse, że się to stanie w ciągu najbliższego miliona lat, zostały oszacowane na 6 proc. Nieco mniejsze – 2 proc. – szanse są na to, że skończy w atmosferze Wenus. W najbliższym czasie samochód wielokrotnie przetnie orbitę Marsa, Ziemi i Wenus, zbliżając się do tych planet i komplikując trajektorię lotu.

Test na wstrząśnienie

AGENCJA LEKÓW I ŻYWNOŚCI (FDA) w USA zaaprobowwała test krwi na wstrząśnienie mózgu. Opiera się on na wykrywaniu dwóch białek, które uwalniane są do krwi po urazie mózgu. Nowe testy wykluczają konieczność stosowania drogich i mniej efektywnych skanów mózgu. Wstrząśnienie jest powszechnym problemem wielu grup zawodowych, zwłaszcza żołnierzy i sportowców. Na opracowanie testu Departament Obrony przeznaczył ponad 100 mln dolarów.

© © ŁK / „SCIENCE” (VOL. 359)



MATERIAŁY PRASOWE

Wizualizacja przyszłego muzeum

Budujemy?

WYDANO POZWOLENIE na budowę warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. W najbliższym czasie zostanie ogłoszony przetarg na firmę, która wzniesie gmach na placu Defilad według projektu nowojorskiej pracowni Thomas Phifer and Partners. Mają powstać dwa odrębne budynki – okazało się to praktycznym rozwiązaniem. W samym gmachu Muzeum znajdą się m.in. sale wystawowe (4000 m kw.)

i edukacyjne, biblioteka, audytorium, kino oraz rekonstrukcja słynnego Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia z końca lat 50. XX wieku. Budowa była długo zablokowana – problemem okazała się zreprivatyzowana działka zajmująca część dojazdu do budynku. Po przepychance między samorządem a wojewodą mazowieckim udało się doprowadzić do wywłaszczenia tego terenu. Prace rozpoczną się jeszcze w tym roku. Gmach zostanie otwarty dla publiczności pod koniec 2021 r.

© PIOTR KOSIEWSKI

SZKOŁA FRUSTRACJI

Zaprawieni w bojach, przyzwyczajeni do niskich zarobków i reform? Pozornie. Tak źle po 1989 r. nauczyciele jeszcze nie mieli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

WIĘKSZOŚĆ PATOLOGII POLSKIEJ SZKOŁY istnieje od lat, bez związku z przyjściem do władzy PiS. Na niskie pensje i brak wsparcia nauczyciele narzekają „od zawsze”. O braku wyraźnego kierunku – czym polska szkoła ma być, jak przystosowywać się do realiów XXI wieku? – „od zawsze” trąbią eksperci. Krytyka kanonu lektur to publicystyczny refren od lat.

Ale spiętrzenie absurdów, decyzji niezrozumiałych, sprzecznych oczekiwań wobec nauczycieli zdaje się być dziś rekordowe.

– Po krótkim czasie „odwilży”, ale też autonomii nauczycieli, wkraczamy w okres ideologizacji i zwiększonej presji – mówi prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz. – Mam za sobą setki rozmów z nauczycielami: od dawna wielu

z nas czuje się obarczonych odpowiedzialnością za całe zło edukacji, ale tak źle jeszcze nie było.

Bajka o reformach

Nie było od dekad tak widocznego rozdźwięku pomiędzy samozadowoleniem edukacyjnej władzy a efektem jej działań. Znowu, zaklinanie rzeczywistości było przez lata specjalnością niektórych przy-



najmniej szefów MEN. To jednak minister Anna Zalewska postanowiła uczynić z kierowanego przez siebie resortu wizerunkową karykaturę.

W zasadzie wszystkie jej komunikaty można podzielić na dwie grupy. Pierwsza to strategia wyparcia: problemu nie ma, a jeśli ktoś uważa, że jest, tkwi w błędzie. Druga: problem rzeczywiście jest, ale za jego stworzenie odpowiada ktoś inny.

Najbardziej jaskrawym przykładem pierwszej postawy jest kadrowa zawierucha po likwidacji gimnazjów. Nie tylko zwolnień z powodu reformy – te ZNP obliczyło precyzyjnie na 6880 osób – ale może zwłaszcza pojawienia się w polskim szkolnictwie nowego (przynajmniej na taką skalę) zjawiska, przez związkowców nazwanego „nauczycielem obwoźnym”. Według szefowej MEN problemu nie ma, a nawet przeciwnie: w tym roku szkolnym liczba nauczycielskich etatów wzrosła o 17 tys. Tyle że Anna Zalewska nie dodaje „niuansów”, które ten obraz zaburzają: że wielu nauczycieli poszło w tym roku na tzw. urlopy dla podratowania zdrowia; że sporo z nowych etatów dotyczy nauczania przedszkolnego, w którym – z powodu wejścia w życie obowiązku zapewnienia miejsca w placówkach 3-latków – stworzyło się większe zapotrzebowanie na kadrę; że statystyki nie są pocieszeniem dla tych, którzy już pracę stracili albo zmuszeni zostali do gonienia za chlebem od szkoły do szkoły i od jednej wsi do drugiej.

– Pracując w jednej z prywatnych szkół w Warszawie, dostrzegam coraz więcej nauczycieli, który dzielą swój zawodowy czas między dwie, a nawet trzy placówki. Część z tego powodu rezygnuje z pracy, inni mają to w planach, jeszcze inni godzą się z tą sytuacją – relacjonuje Iga Kazimierczyk, nauczycielka, trenerka, działaczka Fundacji „Przestrzeń dla edukacji”. I dodaje, że nauczyciel pracujący w kilku placówkach naraz nie jest w stanie uczestniczyć w życiu każdej z nich, poczuć się częścią zespołu. To musi wpływać na jakość jego pracy.

Do mistrzostwa obecna minister edukacji doprowadziła strategię zrzucania z siebie odpowiedzialności. Gdy w szkołach na

początku tego roku szkolnego pojawił się – na jeszcze większą skalę niż wcześniej – problem dwuzmianowości, Anna Zalewska odpowiadała, że „to wypadkowa polityki samorządów”. Nie przeszkodziło jej to w kolejnej wypowiedzi mówić, że dwuzmianowość to problem, „który dostrzegamy, i który będziemy pomału eliminować” (to niejedyna sprzeczność w narracji MEN, przez miesiące resort zapewniał, że nie ma zwolnień, choć jednocześnie przyznawał, że przekazano samorządom pieniądze, m.in. na odpawy dla... zwalnianych nauczycieli).

Przeciążenie uczniów zadaniami domowymi? „Każda szkoła odpowiada za to, jak organizuje zajęcia”. Będące plagą od lat ciężkie tornistry? W szkołach powinny być szafki, a jeśli ich nie ma, „to organizacja szkoły musi być taka, żeby dziecko nie nosiło podręczników w tę i z powrotem” – mówiła minister, choć każdy niemal rodzic mający dziecko w podstawówce wie, że problem nie tkwi w szafkach, a właśnie w przeciążeniu uczniów zadaniami. To one sprawiają, że dzieci są zmuszane do transportowania podręczników.

Gdzie w tym wszystkim jest nauczyciel? W potrzasku: między koniecznością sprostania coraz większym programowym wymogom a oczekiwaniem, by ponadto nie obciążać dzieci.

Szyfrowe prace

Pękające w szwach plecaki mogłyby posłużyć za symbol obecnych reform. Pewnie, że dokonała się za kadencji minister Zalewskiej bezprecedensowa zmiana szkolnej struktury. Jasne, że zmieniono – analizowane już na łamach „TP” – podstawy programowe, wyposażając je w ideologiczny komponent. A jednak każda niemal rozmowa z nauczycielem AD 2018 rozpoczyna się dziś od przymiotników: przeładowane, nadambitne, nierealistyczne – na określenie podstaw programowych właśnie.

– Są tak gęste od treści, że ich zrealizowanie będzie niemożliwe. A to właśnie na nauczycieli spadnie odpowiedzialność za ich „przerobienie” – mówi prezes Broniarz.

– W tych podstawach napisano, że nauczyciel ma swobodę w dobieraniu treści oraz że kształcimy ucznia samodzielnie myślącego, który nie gubi się w gąszczu informacji. Niestety, treści w podstawie jest za dużo, aby to założenie zrealizować – dodaje Iga Kazimierczyk.

Nauczyciele wygaszanych gimnazjów i „nowych” podstawówek dodają: największe wzmoczenie programowe widać w siódmych klasach, które pracują już wedle nowych podstaw. Np. lista lektur obowiązkowych i uzupełniających dla klas VII-VIII zawiera kilkadziesiąt pozycji, w tym choćby „Zemstę”, „Redutę Ordona”, „Dziady” cz. II, „Quo vadis”, „Balladynę” czy „Syzyfowe prace”.

– To kuriozalne, że mamy przerebić całą tę listę, a jednocześnie nie zabić w dziecku pasji czytania. Mam siostrzenicę w siódmej klasie, która mimo że dużo czyta, dopiero niedawno znalazła czas na lekturę książki dla przyjemności. Ostatnio powiedziała, że z powodu tempa prac znienawidziła szkolne lektury – mówi dyrektorka jednego z małopolskich gimnazjów.

Inna nauczycielka, ucząca języka polskiego w wiejskiej podstawówce z klasami gimnazjalnymi, dodaje: – W klasie czwartej niektóre treści z fonetyki przypominają te, które wcześniej były w gimnazjum... A podstawy dla klas VII i VIII są zupełnie niepojęte. Po pierwsze dlatego, że nie zajął się tym, czego uczono we wcześniejszych klasach zgodnie ze starymi podstawami. Po drugie z tego powodu, że mamy pracować na literackich tekstach, dla których dzieci nie znają jeszcze kontekstu historycznego. I po trzecie: niektóre książki, jak „Balladyna” czy „Pan Tadeusz”, są dla nich nieprzyswajalne, zwłaszcza gdy jest tak mało czasu.

Nauczyciele do szkoły!

Nastrojów nie zmienia pojedyncze gesty władzy. Anna Zalewska obiecała nauczycielom podwyżki. Pierwsza z nich, pięcioprocentowa, zaczęła obowiązywać od 1 kwietnia, kosztem jednak zlikwidowanego – i pobieranego przez niektórych nauczycieli – dodatku mieszkaniowego. W kolejnych dwóch latach nauczyciele mają dostać kolejne dwie pięcioprocentowe podwyżki. Trudno jednak te zmiany uznać za zapowiedź finansowego awansu, biorąc pod uwagę fakt, że ta grupa zawodowa nie miała waloryzowanych pensji od ponad pięciu lat.

– Nadal są w polskim systemie nauczyciele, których wynagrodzenie pozostaje na poziomie płacy minimalnej – mówi prezes Broniarz. – A ci lepiej zarabiający mają miesieczne pobory i tak wyraźnie niższe niż krajowa średnia. Nasz postulat, by nauczyciele dostali 15-procentową

Minister Anna Zalewska podczas briefingu prasowego po konferencji podsumowującej debatę „Uczeń. Rodzic. Nauczyciel – Dobra Zmiana”. Toruń, czerwiec 2016 r.

→ podwyżkę od razu, nie był skokiem na budżet. Gdy zapytaliśmy wiceminister Marzenę Machałek, jakie kalkulacje towarzyszyły koncepcji „trzy razy 5 procent”, nie uzyskaliśmy odpowiedzi.

Sukcesem miała być likwidacja tzw. godzin karcianych, czyli dodatkowych – będących częścią pensum – obowiązków nauczycieli, polegających głównie na pracy indywidualnej z dziećmi i młodzieżą. Za tę pracę dyrektorzy mieli odtąd wynagradzać dodatkowo. Ale już wiadomo, że w wielu miejscach to fikcja: nauczyciele albo nadal wykonują pracę za darmo, albo dostają za nią groszowe wynagrodzenie.

„Zmienia się świat, musi się też zmieniać szkoła i nauczyciel” – to zdanie wypowiedało wielu ministrów edukacji. Podobne padło niedawno z ust minister Zalewskiej, która zapowiedziała zmiany w kształceniu i doskonaleniu szkolnej kadry. „Z badań wynika jednoznacznie, że ponad 60 proc. nauczycieli dyplomowanych po prostu się nie uczy” – dodała, zapewne nie tonując w ten sposób nastrojów w środowisku. MEN zapowiada obowiązek doszkalania od 1 września 2018 r. A także – wspólnie z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego – wprowadzenie nowego systemu kształcenia kandydatów do zawodu.

Co ma się zmienić? Urzędnicy MNiSW odpowiadają ogólnie, ale chodzi głównie o ograniczenie szkół wyższych kształcących nauczycieli (przez podniesienie wymagań) i opracowanie nowych – dostosowanych do zmieniającej się rzeczywistości i wymogów współczesnej pedagogiki – standardów kształcenia. O tym, jak kształcenie kandydatów do zawodu dzisiaj wygląda, a jak wyglądać powinno, mówi na kolejnych stronach prof. Witold Bobiński. Dotykał tego również ubiegłoroczny raport NIK. W największym skrócie: mający wejść do zawodu student dostaje wiedzę teoretyczną, ale kiepskie praktyczne przygotowanie.

– Na uczelniach kształcimy prymusów, którzy mają wiedzieć wszystko. I większość „wie”: że uczeń ma być swobodny, ma myśleć, analizować. Tyle że tego wszystkiego studenci nie doświadczają na praktykach, bo po pierwsze jest ich za mało, a po drugie często nie są potem omawiane – diagnozuje Iga Kazimierczyk.

Działaczka „Przestrzeni dla edukacji” prowadzi i ewaluuje praktyki studenckie na kierunku pedagogicznym.

– Obiema rękami podpisuję się pod diagnozami NIK. Studenci często czują się

bezradni w zderzeniu ze szkolną rzeczywistością, a gdy rozpoczynają pracę, mają wrażenie, że są niedostatecznie przygotowani do zawodu – mówi Kazimierczyk. – Powodem jest m.in. to, że mamy za mało czasu nie tylko na same praktyki, ale także na ich omówienie. Pierwsze doświadczenia w pracy z dziećmi i młodzieżą mają ogromne znaczenie w rozwoju przyszłego nauczyciela. Tyle że możliwość choćby godzinnej, indywidualnej rozmowy z każdą osobą, która skończyła praktyki, o tym, co wydarzyło się w sali lekcyjnej, to nierealistyczne marzenie.

– Prowadziłam niedawno szkolenie na temat indywidualizacji nauczania – mówi cytowana już dyrektorka gimnazjum. – To byli świetni, refleksyjni i zarażeni pasją uczenia młodzi ludzie. Ale mówili też, że tego, czego teraz się dowiadują, wcześniej nikt ich nie uczył, że zostali wrzuceni na głęboką wodę. I że nie zostali przygotowani do radzenia sobie w wychowawczych sytuacjach kryzysowych.

Zmiana tego stanu rzeczy to praca na dekady. Obowiązek szkoleń wśród uczących już nauczycieli niewiele wniesie, poza zwiększeniem frustracji tej grupy zawodowej.

Podzielone środowisko

Grupy – dodajmy – jak nigdy dotąd podzielonej. To też pokłosie reformy: niektórzy nauczyciele – choćby ci pracujący w podstawówkach – mogli poczuć się potencjalnymi beneficjentami zmian. Inni – na czele z zatrudnionymi w „wygaszanych” gimnazjach – żyją w niepewności. Na to nakładają się podziały ideowe: jedni nauczyciele, choćby zrzeszeni w ZNP, uczestniczyli w protestach. Inni reformę poparli, jeszcze inni mogli uznać, że protesty nie mają sensu, skoro machina ruszyła.

Dzisiaj nikt o protestach już nie mówi. Nawet prezes ZNP przyznaje, że dotychczasowe akcje nie przyniosły skutku, że pora na „pracę u podstaw”. Mówi też – we wcześniejszych wypowiedziach dla „TP” – że skala protestów z 2017 r. pokazała konformistyczne oblicze znękanego kolejnymi reformami stanu nauczycielskiego.

Frustracja spowodowana zmianami w systemie szkolnym nie będzie więc miała ujścia na ulicach ani ministerialnych korytarzach. Prędzej na korytarzach szkół, w pokojach nauczycielskich bądź – co gorsza – w lekcyjnych salach.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Treści masowo niestrawne

WITOLD BOBIŃSKI,
LITERATUROZNAWCA,
DYDAKTYK JĘZYKA POLSKIEGO:

Jesteśmy na odwrotnym kursie niż ten, którym podąża współczesna dydaktyka. Polska edukacja zmierza w kierunku ubezwłasnowolnienia nauczyciela i ucznia.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Ciesz się Pan, że jest bytym już nauczycielem?

WITOLD BOBIŃSKI: Gdy patrzę na zmagania mojej żony, nauczycielki, jej koleżanek i moich kolegów polonistów, to bywa, że się cieszę. Z drugiej strony mam poczucie, że powinienem być na posterunku właśnie teraz.

W jakim jesteśmy momencie?

W chwili niepewności i chaosu, który pojawił się już wraz z pierwszymi anonsami na temat reformy edukacyjnej obecnego rządu. Teraz ten chaos się pogłębia, a widać go najwyraźniej w podstawówkach, gdzie na gwałt poszukuje się nowych sal, przestrzeni, nauczycieli.

Ci ostatni na studiach i kursach dowiadawali się, że naczelnym zadaniem szkoły jest stymulowanie uczniów do rozwoju. A teraz dostali do rąk nowe – przeładowane wymaganiami – podstawy programowe i nie bardzo wiedzą, jak mają uczniów stymulować, skoro jest tyle materiału do „przerobienia”.

W sposób najbardziej jaskrawy widać ten problem w klasach czwartych i siódmych, gdzie uczniowie pracują już na bazie nowych podstaw. Widać symptomy przeciążenia, które spr-

wia, że młodzi, przyzwyczajeni do koniecznej dozy wolności i czasu dla siebie, poświęcają na naukę w domu tyle godzin, ile spędzili w szkole.

Wicekurator oświaty w woj. warmińsko-mazurskim zaapelował niedawno do nauczycieli, by nie zadawali prac domowych na weekend. To chwalebne skądinąd wezwanie trąci też hipokryzją: nauczyciele działają przecież pod presją podstaw programowych.

To bodaj największy dramat współczesnego nauczyciela: z jednej strony jest świadom przeciążeń, jakie stały się udziałem i jego, i uczniów. Z drugiej, zdaje sobie sprawę z konieczności realizacji wymogów.

Co do zasady apel kuratora zgodny jest ze światowymi trendami pedagogicznymi. W Skandynawii, w Irlandii czy Anglii z jednej strony ogranicza się rolę zadania domowego, z drugiej – zmienia się jego funkcję, nadając mu postać grupowych projektów czy badawczych przygód.

W polskiej szkole – to bajka?

Niekoniecznie. Grupowe projekty pojawiały się w programach świętej pamięci gimnazjów. Młodzież z gimnazjum w podkrakowskich Bibicach, z którym współpracowała moja katedra na UJ, w ramach projektów szukała na swoim terenie śladów II wojny światowej, albo sprawdzała, czy gmina jest gotowa na przyjęcie niepełnosprawnych. Teraz na takie rzeczy nie będzie czasu.

Ala szkoła musi się zmieniać.

Tylko że nasza zmienia się w dokładnie odwrotnym kierunku niż w wielu krajach Zachodu. Jesteśmy na odwrotnym kursie niż ten, którym podąża współczesna dydaktyka!

Jak by Pan te dwa kursy opisał?

Ten drugi polega na widocznym – również w Polsce sprzed reformy minister Zalewskiej – trendzie, by dawać uczniom większe pole do samodzielności. My tymczasem idziemy w kierunku ubezwłasnowolnienia i ucznia, i nauczyciela. Przeładowanie podstaw programowych jest tak duże, że sytuacja zaczyna przypominać tę ze szkoły w czasach PRL. Wtedy też programy nauczania były spisami ministerialnych, narzuconych z góry „zagadnień do przerobienia”.

Choć nie jestem pewien, czy dokonując tej analogii, nie krzywdzę znakomitych dydaktyków tamtych lat. Stanisław Bortnowski, znakomity polonista i metodyk, z którym zetknąłem się później na studiach, już wówczas lansował ideę edukacji opartej na wolności i samodzielności. Więc może wypada się cofnąć w poszukiwaniach paraleli do lat 30. XX w., gdy do szkół wchodziła tzw. państwowotwórcza wizja masowej edukacji.

Dziś ta wizja wygląda bardziej na narodotwórczą.

Gdy ogląda się podstawy programowe z języka polskiego, można dojść do takiego wniosku. Ale dominuje w tych dokumentach jeszcze inny motyw: martyrologiczny.

Uczeń ma wielowymiarowo cierpieć?

Można tak powiedzieć: uczeń cierpi skonfrontowany z ogromem materiału. Cierpi też wraz z – cierpiącymi – bohaterami tekstów literackich, które znalazły się wśród lektur obowiązkowych. Cierpi więc w dwójnasób, choć prawdopodobnie obarczanie kogokolwiek cierpieniem nie było intencją autorów tej reformy.

Co konkretnie budzi Pana sprzeciw?

Na przykład to, że uczeń ma dostrzegać, rozpoznawać i rozróżniać mnóstwo zjawisk i kategorii, a znikoma wzmianka o interpretacji jest pod koniec listy umiejętności. Nie ma tam mowy o własnym, twórczym czytaniu utworu.

W nowych podstawach z języka polskiego widać też odejście od uczenia funkcjonalności języka. On stanowi – znowu – bardziej „materiał do przyswojenia” niż narzędzie, którego używamy na co dzień.

Ogólnie biorąc, twórcy najnowszej reformy szkolnej zapomnieli o głównej roli szkoły: stymulowaniu dzieci i młodzieży do rozwoju. I do tworzenia wiedzy samodzielnie. Do tego jednak potrzeba pewnej kultury edukacyjnej, którą cała ta reforma niszczy. Nie waham się nawet powiedzieć, że zmiany realizowane przez rząd PiS to rodzaj sabotażu i działanie antypolskie. Bo ograniczy polskiej młodzieży szansę na europejskim rynku edukacji i pracy.

Na edukację narzekamy nie od dziś, i nie od czasu dojścia do władzy PiS. Dziesięć lat temu opublikował Pan

w „TP” tekst: „Obyś cudze dzieci uczył”, którego całe fragmenty pasują do dzisiejszej rzeczywistości. Pisał Pan o ekonomicznej nędzy nauczycieli, o zabijającej szkołę biurokracji, o samowolce w konstruowaniu kanonu lektur, a także o jego przeładowaniu, co sprawia, że – uwaga – „zrealizowanie takiej listy lektur jest niepodobieństwem”.

Nigdy bym nie przypuszczał, że po dekadzie sytuacja może być jeszcze gorsza! Nie sądziłem, że ktoś kiedyś w klasach siódmej i ósmej zaaplikuje uczniom tyle tysięcy stron lektur obowiązkowych. Szykuje się w polskiej edukacji kolejna, wielka fala hipokryzji. Nauczyciele będą się musieli albo zadowalać czytaniem przez uczniów tylko kilku bądź kilkunastu stron wielu z tych dzieł, albo – co gorsza – udawać, że wierzą, iż uczniowie przeczytali wszystkie te książki w całości. To będzie niszczyć morale nauczycieli i demoralizować uczniów.

W tym samym tekście sugerował Pan, że należy zlikwidować gimnazja.

Raczej wyrażałem wątpliwości. Ale to prawda: byłem początkowo przeciwnikiem gimnazjów. Myślałem, że dodatkowe progi selekcyjne będą nazbyt obciążające. Zdawało mi się tak również dlatego, że pierwsze doświadczenia w gimnazjach były trudne. Dzisiaj jestem innego zdania. Widziałem ogromny wysiłek, jaki podjęły te szkoły, by wymyślić siebie. I dostrzegłem z czasem, że wady gimnazjów są mniejsze niż zalety wynikające z czegoś, co bym określił szansą na „nowy start”, „nowe odbicie” dla ucznia, który po skończeniu szóstej klasy trafia do nowego dla siebie środowiska.

Ten gimnazjalny świat okazał się dla młodych ludzi atrakcyjny. Wchodzili w nowe struktury sportowe, artystyczne, realizowali projekty. A gimnazjaliści spoza dużych miast doświadczały awansu kulturowego. Dzięki gimnazjom większy odsetek uczniów szedł do liceów, a w konsekwencji – na studia. Teraz ten dorobek, polegający również na wyrabianych latami metodach pracy z nastolatkami młodszymi, jest niszczone.

Nie wiem, co siedzi w głowach reformatorów, nie próbuję nawet się domyślać, jakie za tymi zmianami stoją intencje, ale jedno mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością: oni nie mają pojęcia, na czym polega współczesna szkoła.

→ **Poza pracą na UJ jest Pan wykładowcą Szkoły Edukacji, przeznaczonej dla nauczycieli oraz kandydatów na nauczycieli języka polskiego i matematyki. Po co nowa szkoła, skoro nauczycieli kształci się w Polsce na dziesiątkach kierunków pedagogicznych?**

Odpowiedź jest prosta: grupa młodych entuzjastów postanowiła powołać – przy zachowaniu wszelkich proporcji – uczelnię na kształt „nauczycielskiego Harvardu”. Uczelnię, w której kształci się nauczycieli w sposób nowoczesny.

Czyli jaki?

Nowoczesny, czyli taki, w którym relacja uczeń–nauczyciel jest relacją dialogu. Dialogu, gdzie nauczyciel uczy się od ucznia i nie boi się przeprowadzić ankiety na temat oceny własnej pracy.

Nowoczesny, czyli taki, w którym nauczyciel jest autorefleksyjny i potrafi na bieżąco oceniać efekty swojej pracy. W zachodniej edukacji to dzisiaj jedno z najważniejszych haseł: „Sprawdź siłę swojego oddziaływania”. Chodzi o ciągłe weryfikowanie, jak klasa reaguje na to, co jej proponuję, i w jakim punkcie wspólnie jesteśmy. Czy mnie rozumieją? Co idzie trudniej? Kiedy się zatrzymać?

Nowoczesny, czyli kształcący nauczyciela potrafiącego zbudować poczucie bezpieczeństwa wśród uczniów. Bezpieczeństwo to pewność, że uczeń może ujawnić swoje przekonania, gusty, poglądy czy tożsamość, nawet jeśli wiąże się ona z jakąś odmiennością.

Szczerść ucznia jest zresztą warunkiem koniecznym dobrej edukacji na każdym poziomie. Weźmy prace z języka polskiego: bez szczerości one nie mają żadnej wartości! Jeśli uczeń przekazuje nie swoje myśli, ale myśli „oczekiwane”, jest to demoralizujące. A szkoła nie może demoralizować.

Wszystko, co Pan mówi – włącznie z motywacjami stojącymi za założeniem Szkoły Edukacji – można czytać jako rewers naszej edukacyjnej rzeczywistości. Rok temu NIK opublikowała raport na temat kształcenia nauczycieli. Wniosek: studenci dostają wiedzę teoretyczną, ale praktyczne przygotowanie do zawodu – na czele z samymi praktykami w szkołach – to często fikcja.

Każdy świadomy nauczyciel powinien być do pewnego stopnia **kontestatorem rzeczywistości**, z jaką się styka.

To nie jest cała prawda. Reprezentuję wydział polonistyki, który zapewnia bardzo dużo praktyk, i bardzo się do tych praktyk przykładam. Co tydzień oglądam lekcje prowadzone przez moich studentów. Uważam, że UJ znakomicie wywiązuje się z tego zadania, a w Szkole Edukacji praktyki to wręcz firmowa wizytówka. Nie ukrywam jednak, że wiele moich koleżanek i kolegów z innych uczelni dziwi się, iż poświęcamy tyle czasu na praktyki.

W tradycyjnym modelu kształcenia nauczycieli są kłopoty z wyposażeniem studentów w umiejętność radzenia sobie w sytuacjach tzw. trudnych. „Tak zwanych”, bo dzisiaj już wiemy, że ani uczniowie, ani sytuacje szkolne nie dzielą się na „trudne” i „łatwe”; że indywidualizacja nauczania dotyczy każdego ucznia, a nie tylko tych ze „specjalnymi potrzebami edukacyjnymi”. Współczesna pedagogika zakłada, że każdy – przynajmniej raz na jakiś czas – wymaga indywidualnego spojrzenia.

Wypuszczacie absolwentów do świata, który funkcjonuje na innych zasadach niż te, które tu wpajacie?

Po pierwsze, nasi studenci to w dużej mierze uczący już nauczyciele – pasjonaci, którzy rzucają pracę i opuszczają rodzinę, żeby przez rok intensywnego kursu stacjonarnego uczyć się zawodu. Oni wiedzą, jak wyglądają realia polskiej edukacji. A nawet jeśli jeszcze nie uczyli, to zdają sobie sprawę, że trafią do szkoły z absurdalną biurokracją i przeładowanymi kanonami lektur.

Ale ten świat, o którym pan mówi, tylko pozornie nie potrzebuje otwartych, odważnych, myślących nauczycieli. Pierwszy rocznik studentów Szkoły Edukacji był rozchwytywany w szkołach. Wpajaliśmy i wpajamy im, że mają być liderami, przywódcami, że mają wyznaczać kie-

runki, nawet jeśli wiąże się to ze sprzeciwem wobec szkolnych absurdów.

A co, jeśli wypuszczony przez Pana Szkołę nauczyciel zobaczy nową podstawę programową z polskiego i zorientuje się, że nie jest w stanie przeczytać z uczniami siedmiolet stron „Quo vadis”...
...albo setek stron „Pana Tadeusza”.

„Panie Profesorze, co mam wtedy zrobić?” – zapyta Pana studentka.

Mogę powiedzieć, co ja bym na jej miejscu zrobił. Mój kolega z jednego z krakowskich liceów mawia: „Trzeba ocalić tekst na lekcji”. I przynosi kilka skserowanych stron. Ocalenie szczypty tekstu jest lepsze niż bryk.

Ta sama studentka przychodzi do Pana po miesiącu i informuje, że została wezwana przez dyrektora swojej szkoły na dywanik, bo nie realizuje podstawy programowej.

Nauczyciel nie może w takiej sytuacji kłaść uszu po sobie. Może na zasadzie obywatelskiego nieposłuszeństwa powiedzieć tak, jak mawiał pewien wiceminister: że niektóre treści – czy to się twórcom podstawy programowej podoba, czy nie – są „masowo nieprzyswajalne”. I ocalić z tego nieprzyswajalnego materiału to, co jest do ocalenia.

Każdy świadomy nauczyciel powinien być do pewnego stopnia kontestatorem rzeczywistości, z jaką się styka. Każdy z nas musi mieć pewien gen zwątpienia czy niezgody.

Znowu raport NIK: w Polsce od lat utrzymuje się negatywna selekcja do zawodu nauczyciela. Kandydaci są bez trudu przyjmowani na wydziały pedagogiczne, i bez większego trudu studia kończą. Nie ma też weryfikacji predyspozycji do wykonywania zawodu.

W Szkole Edukacji te predyspozycje sprawdzamy. Jeśli podczas półgodzinnej czy godzinnej rozmowy okaże się, że wizja edukacji reprezentowana przez kandydata to wizja szkoły autorytarnej albo opartej na „transmisji” wiedzy, to wiemy, że z taką osobą będzie nam się pracowało trudno. Gdy ktoś ma tendencję do bycia apodyktycznym albo deprecjonuje idee współpracy, to takiej osobie dziękujemy.

Ale zdają sobie sprawę, iż rzeczywistość wielu polskich uczelni kształcących nauczycieli wygląda inaczej.

Skąd negatywna selekcja?

Źródło jest jasne: wciąż niska pozycja społeczna przedstawicieli tej profesji.

Ale według sondaży nauczyciele nadal cieszą się dużym zaufaniem.

A równocześnie, z racji wieloletniej ekonomicznej nędzy, otaczani są mniejszym szacunkiem niż ci, którzy więcej zarabiają. Problem zresztą nie ogranicza się do tego, jak nauczyciele są postrzegani. Dziś po prostu ludzie kreatywni, przedsiębiorczy wiedzą, że w innych dziedzinach łatwiej jest osiągnąć sukces, również finansowy. Jest wiele młodych, uzdolnionych osób, które ciepło myślą o tym zawodzie, ale nauczycielami nie zostaną. Wiedzą, że nie będą sobie mogli pozwolić choćby na wakacje z dziećmi, a także zdają sobie sprawę z tego, że możliwości awansu są w szkole mocno ograniczone.

Przy okazji reformy rozmawiamy wciąż o strukturze i – ewentualnie – o podstawach programowych. O rozwoju nauczycieli cisza, mimo że od nich właśnie zaczyna się wszystko, co dobre i złe w edukacji.

Wiem, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przygotowało projekt nowych standardów kształcenia nauczycieli, które na razie mają jedynie służyć programowi pilotażowemu. Miałem okazję je recenzować i uważam, że są to założenia bardzo dobre, nowoczesne, zgodne z zasadami, o których rozmawialiśmy. Mogą służyć kształceniu nauczyciela kreatywnego, twórczego, refleksyjnego.

I niezbyt pożądanego po reformie PiS?

Jak najbardziej pożądanego! Choćby po to właśnie, by generować sprzeciw wobec tego, co się dzisiaj dzieje w edukacji.

© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



DR HAB. WITOLD BOBIŃSKI jest literaturoznawcą i dydaktykiem. Pracował jako nauczyciel języka polskiego, był też m.in. ekspertem MEN

w pracach nad podstawą programową kształcenia ogólnego w latach 2008-09. Autor podręczników z języka polskiego i historii dla podstawówek, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Obecnie pracownik Katedry Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej na Wydziale Polonistyki UJ; wykładowca Szkoły Edukacji prowadzonej przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności i Uniwersytet Warszawski.



ORGANIZATOR

PARTNER GŁÓWNY

MECENAS



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Festiwal zrealizowany
dzięki wsparciu
finansowemu Miasta
Stołecznego Warszawy



Bank Zachodni WBK
Grupa Santander



**FILHARMONIA
NARODOWA**
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK



ZACHĘTA

INSTITUT
ADAMA
MICKIEWICZA

www.beethoven.org.pl

PAWEŁ

Śpiewak: Pępek świata



W MNIEJ ZNANYM MIDRASZU ZNALAZŁEM NIEZWYKŁY OBRAZ: „Święty Jedyny (niech będzie błogosławiony) stworzył świat jak embrion. Tak jak embrion ludzki buduje się od pępka, tak Święty Jedyny – błogosławiony On – rozpoczął tworzenie świata od pępka i potem rozwinął go w różnych kierunkach”. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, gdzie znajduje się pępek świata i dlatego czytamy: „Świat został stworzony z góry Syjon. Rabin Eliezer Wielki powiedział: »Są pokolenia z niebios i z ziemi, które zostały uczynione dnia, którego uczynił Pan Bóg ziemię i niebo«” (Rdz 2, 4). Potomkowie niebios zostali stworzeni z niebios, a potomstwo ziemi z ziemi. Ale mędrcy powiadają, że wszelkie potomstwo powstało z Syjonu, a Biblia powiada: „Objąsnił się Bóg z Syjonu w doskonałej ozdobie” (Ps 50, 2). Co oznacza, że tym pięknem został udoskonalony.

Są tacy rabini i tacy mędrcy, którzy w midraszach mówią, że tak jak pępek jest w środku człowieka, tak Erec Izrael jest umieszczony w centrum świata, osadzony w samym pępku ziemi – i tu są fundamenty świata. Jerozolima jest centrum ziem Izraela, Świątynia jest centrum Jeruzalem, a wielki hol jest centrum Świątyni, a arka znajduje się w centrum holu, a kamień fundacyjny jest przed arką i to właśnie od niego zaczął się budować świat. Jeśli ktokolwiek uważnie przeczyta opis projektu Świątyni w Księdze Wyjścia i słowa o stworzeniu świata, nie może mieć wątpliwości, że to, co uczynił Bóg dnia pierwszego i co rozpoczął Salomon czwartego roku swoich rządów, daje się ze sobą porównać i zestawić.

Izrael otrzymał ziemię i dotarł do punktu, przez który przebiega, używając słów Mircei Eliadego, oś świata, *axis mundi*, łącząc niebios, ziemię i piekło. Tu spotyka się z pewnością człowiek i Bóg. Spośród cherubinów ustawionych na wieku skrzyni arki słyhać Jego głos. Oczywiście rabini pytali, jak to jest możliwe, że ktoś tak potężny, niezmierzony może znaleźć mieszkanie w tak skromnym i małym miejscu? Inni pytają, dlaczego wybrał sobie dom tak prosty? Bez końca pytania przeplatają się z odpowiedziami. Nic w judaizmie nie jest (poza biblijnym tekstem) trwałe, bezwzględnie oczywiste i pewne. Jedna z odpowiedzi nawiązuje właśnie do początków świata i kabalistycznej idei *cimcum*. *Cimcum* oznacza skurczenie, samowchłonięcie tak, by powstało miejsce na istnienie innych bytów, bytów autonomicznych, ale też podtrzymywanych energią Boga. Tak powstał świat. Na początku Bóg był wszystkim, a gdy zaczęły wylać się jasność i ciemność, lądy i wody, Bóg cofnął się, by mogły one samodzielnie funkcjonować. Podobnie jest z człowiekiem, który dysponuje wolną wolą. Nie inaczej rzecz się ma w przypadku Świątyni. Bóg może skryć się w skrzyni-arce, ograniczając sam siebie. Akt *cimcum* powtórzył się, gdy ustawiona została w izbie wewnętrznej arka ozdobiona skrzydlatymi cherubinami. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Bałwochwalstwo



POWSTRZYMYWANIE SIĘ OD SPOŻYWANIA mięsa w piątki, a szczególnie w Wielkim Poście, choć jest rzeczą praktykowaną od wieków, nie może nadal pozostawać jako jedyna, a nawet najważniejsza forma pośczenia. W naszych czasach przydałby się inny post – post naszego mózgu, umysłu, jednym słowem głowy, która wciąż rości sobie wyłączne prawo do definiowania, a nawet ustanawiania prawdy. Zauważył to już w latach 80. ubiegłego wieku Leszek Kołakowski: „Cóż to za spektakl! Załamuje się wiek oświecenia i racjonalizmu, światła oświecenia gasną wszędzie, ale nie w Kościołach i u teologów”. Idąc tym tropem, trzeba powiedzieć, że rzeczywiście zanadto uwierzyliśmy w możliwości poznawcze naszego rozumu, kiedy tymczasem zarówno Bóg, jak i świat coraz bardziej nam się wymykają. Mimo to wciąż stajemy przed pokusą przelania oceanu do małego dołka na plaży. Wyraźny ślad mocowania się z taką pokusą mamy w Biblii.

Bóg mówi do swego ludu przez Mojżesza: „Nie zrobisz sobie bożka. I żadnej podobizny przedstawiającej to, co najwyżej na niebie, nisko na ziemi i w głębinach wód, nie będziesz oddawał czci ani nie oddasz się w niewolę. Ja jestem Panem, twoim Bogiem, Bogiem zazdrośnym. Za grzechy tych, którzy mnie nienawidzą, wymierzamy karę ich potomkom, nawet w trzecim i czwartym pokoleniu”. A tak na marginesie, przydałby się powrót do tego zapisu, może dzięki temu byłoby mniej kiczowatych kościołów i dewocjonaliów. Ale chodzi o coś ważniejszego, o ostatnie zdanie. Bóg grozi, że za niewierność przymierzu będzie karał zarówno sprawców, jak i ich potomstwo. Karał śmiercią.

Mamy jednak w Biblii inny zapis. Ezechiel mówi: „Pan przemówił do mnie w tych słowach: »Dlaczego powtarzacie między sobą to przysłowie o ziemi Izraela: 'Ojcowie jedli niedojrzałe grona, dzieciom cierpną zęby'? Na moje życie, wyrocznia Pana Boga – nie będziecie więcej powtarzać tego przysłowia w Izraelu. Bo każde życie ludzkie zależy ode Mnie. Moje jest życie ojca i życie syna. Każdy jednak, kto grzeszy, umrze«” (Ez 18, 1-4). Nastąpiła więc ewidentna zmiana. Karę poniesie tylko winowajca. Ale nie koniec na tym.

Wielki Post przypomina, że i ta wypowiedź nie w pełni oddaje sposób, w jaki Bóg reaguje na grzech człowieka. Na Golgocie, gdy wyrządziliśmy Bogu największą krzywdę, zrywaliśmy przymierze, nikogo ze sprawców śmierci Syna Bożego Jezusa Bóg nie uśmiercił. Przeciwnie, właśnie w tej najczarniejszej godzinie ludzkich dziejów Bóg pokazał swoją najprawdziwszą twarz. Twarz Ojca. To dlatego w ślad za Jezusem pójdą Jego wyznawcy i będą przyjmować śmierć nie jako klęskę, ale jako łaskę od Boga. Żeby ten cud dostrzec, nasz rozum potrzebuje serca, a serce potrzebuje rozumu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Jezus o modlitwie

Poznali
swego Stworzyciela,
albowiem stali się
harmonią.

ODY SALOMONA



Czytamy świat
odwrotnie i mówimy,
że nas zwodzi.

RABINDRANATH TAGORE



Wybrał PIOTR SIKORA



PRZEPIĘKNY PREZENT przyniosła nam liturgia pierwszego wtorku Wielkiego Postu. Jezus uczy nas swojej modlitwy: „Wy zatem tak się módlcie: Ojcie nasz, któryś jest w niebie...” (zob. Mt 6, 7–15). Jako pierwsze czytanie poprzedził ją fragment z proroka Izajasza: „Podobnie jak ulewa i śnieg spadają z nieba i tam nie powracają, dopóki nie nawodnią ziemi, nie użyźnią jej i nie zapewnią urodzaju, tak słowo, które wychodzi z ust moich, nie wraca do mnie bezowocne, zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem, i nie spełni pomysłu swego posłannictwa” (Iz 55, 10–11).

Przyjmując te dwa teksty razem zaczynamy rozumieć, czym jest modlitwa. Nie jest wypowiadaniem swoich słów do Boga. Jest wypowiadaniem do Boga słów otrzymanych uprzednio od Niego – włożonych w nasze usta, a wcześniej w serce, przez Pana. Taka jest Modlitwa Pańska. Nie jest ona – ta najdoskonalsza z ludzkich modlitw – naszym własnym wytworem; jest „Słowem, które wyszło z ust” Boga Wcielonego. Wypowiadamy ją z tą intencją, aby „wróciło do Niego”.

To mechanizm nie tylko Modlitwy Pańskiej. W modlitwie osobistej, a jeszcze częściej we wspólnej modlitwie Kościoła sięgamy przecież do Psalmów. Znow – modlimy się Słowem natchnionym – Słowem Boga, które czynimy swoim, by „wróciło do Niego”.

Tak naprawdę każda modlitwa rządzi się tą właśnie dyscypliną. A już zwłaszcza taka, którą sami chętnie ocenilibyśmy jako nieudaną: „Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wy-

razić słowami” (Rz 8, 26). I jeszcze: „Nikt nie może powiedzieć bez pomocy Ducha Świętego: Panem jest Jezus” (1 Kor 12, 3). To Duch jest Tym, który w nas oddaje chwałę Chrystusowi. To Jego Słowo (a czasami „bez-słowo”) adresowane jest przez nas do Pana.

Czy nie właśnie dlatego Jezus zaczyna swoje pouczenie o modlitwie od zalecenia: Na modlitwie „nie bądźcie gadatliwi”? Właśnie – nie gadajcie. Słuchajcie. Nasłuchujcie Słowa wypowiadanego przez Boga. Módlcie się Słowem usłyszanym – tym, które „wyszło z Jego ust”, i chce do Niego „wrócić”.

Bóg nie przyjmuje swego Słowa z powrotem, aż „nie dokona tego, co zamierzył”. Pan nie wypowiada słów ot tak, żeby sobie pogadać. Jego Słowo jest mocne – stwórcze, dynamiczne, sprawcze. I nieustępliwe. Bóg przyjmuje je do siebie tylko wtedy, gdy człowiek poddał się jego mocy. Wtedy modlitwa przestaje być gadaniną również ze strony człowieka. Jest wydarzeniem przemieniającym: nawracającym, uzdrawiającym lub wręcz wskrzeszającym. Wypowiadamy do Boga otrzymane Słowo w Duchu i w prawdzie – „i takich to czcicieli chce mieć Ojciec”.

Jakiej przemiany ma w nas dokonać wypowiedziana przez nas Modlitwa Pańska?

Nie musimy się domyślać odpowiedzi na to pytanie – Jezus sam jej udziela w ostatnim wersecie czytanej perykopy: „Jeśli przebaczyście ludziom ich przewinienia, i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski. Lecz jeśli nie przebaczyście ludziom, Ojciec wasz nie przebaczy wam także waszych przewinień”. Kiedy poddajemy się Słowu Modlitwy Pańskiej, rodzi się w nas przebaczenie – wtedy też wypowiedziane przez nas Słowa Jezusa docierają do serca („wracają do”) Ojca. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 III)

3. Niedziela Wielkiego Postu: Wj 20, 1-17;
Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25;
Poniedziałek: 2 Krl 5, 1-15a; Ps 42; Łk 4, 24-30;
Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;
Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147; Mt 5, 17-19;

Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81; Mk 12, 28b-34;
Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;
4. Niedziela Wielkiego Postu (Niedziela Laetare):
2 Krn 36, 14-16. 19-23; Ps 137; Ef 2, 4-10; J 3, 14-21.

ICH KREW NIE BYŁA TAKA CZERWONA

ALEKSANDER SMOLAR:

W miarę wspólna opowieść o Polsce rozjechała się po Smoleńsku. Znowu żyjemy na cmentarzach, opowiadając tragiczne historie o polskim losie. Oby, wśród których Żydzi są figurą najważniejszą, nadali sens lękom.

MICHAŁ OKOŃSKI: Wie Pan, co Pana łączy z Jarosławem Kaczyńskim?
ALEKSANDER SMOLAR: Ciekaw jestem.

On też jest z pokolenia Marca '68.
No tak, wiem, że uczestniczył wtedy w wiecu na Uniwersytecie Warszawskim.

W jego książkach widać dystans do antysemityzmu. „Ten na wpół skrywany pod hasłem »antysyjonizmu« antysemityzm to było coś lepszego i obrzydliwego. Każdego przyzwoitego człowieka musiało to odrzucać” – wspomina. Podczas sporu o ustawę o IPN też mówi, że antysemityzm jest chorobą. Kartą antysemicką nie gra.
Na pewno nie gra nią intencjonalnie, jest też pewien, że obudzenie antysemityzmu nie było jego celem. Ale intencje prezesa PiS nie mają znaczenia, ważne są skutki. Nie znam go; rozmawiałem z nim bodaj dwukrotnie, lepiej natomiast znałem jego brata. Lech uważał mnie za przeciwnika, ale godnego zaufania, i chyba lubił ze mną rozmawiać. Pamiętam, jak z tą swoją dobroduszością mówił: „wiesz, u bliźniaków zawsze jeden jest przywódcą, a u nas przywódcą jest Jarek”.

Za zachowanie wobec Żydów był zawsze chwalony.

Bo los Żydów był dla niego ważny. Natomiast jeśli chodzi o ustawę o IPN: myślę, że to efekt swoistej paranoi, nieznajomości świata i – co najważniejsze – woli kontrolowania i ujednolicenia dyskursu, który nazwałbym mesjańsko-romantyczno-martyrologicznym; dyskursu na temat wyłącznie heroicznej przeszłości Polski.

Później zaś Jarosław Kaczyński podjął polityczną decyzję: przemy do przodu, nikt z zewnątrz nie będzie nam dyktował naszych praw. Pewnie było w tym trochę kalkulacji, ale na podwórku krajowym: prezes wiedział, że zmieniając rząd Beaty Szydło, a zwłaszcza odsuwając na boczny tor Antoniego Macierewicza, wzbudził niepokój w radykalnej części swojego elektoratu. Uznał, że uspokoi go polityką godnościową i symboliczną – tym że, mówiąc w skrócie, nie będzie ustępował Żydom. Oczywiście nie spodziewał się, że wywoła aż taki konflikt z Izraelem i z całym światem żydowskim – gdzie skądinąd reakcje są również emocjonalne i często nieodpowiedzialne – a już na pewno nie zakładał, że tak zdecydowane stanowisko zajmą Stany Zjednoczone. Uważam go za człowieka o bardzo ograniczonej inteligencji emocjonalnej: Europy i Ameryki nie zna, wrażliwości w świecie chrześcijańskim na kwestię Holokaustu nie rozu-

mie, reakcjami jest zaszokowany, ale nie może już się wycofać. Jediną możliwością jest dalsza konfrontacja. I liczenie, że potem, jak sprawa w końcu przyschnie, posłuszny mu Trybunał Konstytucyjny znajdzie jakąś kładkę wyjścia.

To mnie Pan pocieszył.

Proszę spojrzeć na to, co się ujawniło. Występuję czasem w mediach i przywykłem do antysemickich komentarzy w internecie, ale teraz ich zmasowanie jest niezwykle. A zachowania takich ludzi jak Ziemkiewicz i Wolski, żartujących w telewizji z „parchów” i „żydowskich obozów”, były nie do pomyślenia nawet w 1968 r.

Ziemkiewicz jest gorszy niż Kąkol?

Kąkol wykonywał zamówienie polityczne, Ziemkiewicz i jemu podobni są wolnymi ludźmi. Co jest gorsze? Pamiętam obrzydliwe ataki na „syjonistów”, pomawianie o agenturalne powiązania, brak patriotyzmu, rolę w ustanawianiu po wojnie stalinizmu; pamiętam aluzje do żydowskiego bogactwa. Ale takich dehumanizujących określeń jak „parch” i żarcików z krematoriów nie pamiętam.

Zjawisko jest jednak głębsze. Z ustaleń Centrum Badań nad Upředzeniami UW, kierowanego przez prof. Michała Bilewicz, wynika, iż jedna czwarta Polaków



wierzy dziś, że Żydzi porywali chrześcijańskie dzieci i brali na macę krew niewińniętek! Od poprzedniego badania (2009 r.), mamy aż 10-procentowy wzrost takich odpowiedzi. Podobnie jest z przypisywaniem dzisiejszemu pokoleniu odpowiedzialności za śmierć Jezusa.

Skąd ten wzrost?

Nie wiem, jak interpretują to ludzie prowadzący badania. Ja go wiążę z katastrofą smoleńską, z ekspansją i umacnianiem się prawicowego dyskursu na temat Polski, jej historii i spisków, które doprowadzić miały do tragedii z 10 kwietnia 2010 r.

To byli Rosjanie, nie Żydzi.

Chodzi o to, że po Smoleńsku w miarę wspólna opowieść o Polsce zaczyna się rozjeżdżać, a część społeczeństwa doznaje swoistego psychicznego regresu. Zaczynamy żyć na cmentarzach, jak po przegranych powstaniach. Wracamy do tragicznej opowieści o polskim losie. To znaczy

część Polski wraca, bo druga, zwrócona ku Zachodowi, gwałtownie się od tego odcina, szydzi i patrzy przerażona. Narasta wzajemna wrogość, pogarda, niezdolność porozumienia. W kraju odnoszącym sukcesy, którego 80 proc. obywateli deklaruje, że są szczęśliwi, ta atmosfera jest czymś niezwykłym. Mamy dwie Polski, a jedna z nich znów żyje w cieniu narodowej klęski i cierpienia. Obcy, zwłaszcza wyznawcy islamu, Niemcy, a teraz – jak często w historii – Żydzi, nadają sens lękom. PiS wiele zrobił, żeby te lęki pobudzić i eksploatować.

W badaniach Bilewicza fascynujące jest to, że nie ma istotnych różnic między grupami społecznymi: to zjawisko występuje prawie w takim samym stopniu wśród ludzi starszych, gorzej wykształconych, mieszkających poza metropoliami, jak w wielkomiejskiej klasie średniej.

Widać po profesorze Zybortowiczu. Cały świat cytował jego opinię, że

antypolonizm w Izraelu bierze się z poczucia wstydu za bierność Żydów w czasie Holokaustu, ale powiedział też, że teraz „zgodnie ze swą hucpiarską tradycją” odrabiają.

To jest, oczywiście, dowód głupoty, nieuctwa i braku wrażliwości moralnej szokującej nie tylko u doradcy prezydenta. Nawet jeśli część z tego, co mówi Zybortowicz, nie jest pozbawiona podstaw. Po wojnie w Izraelu Żydom europejskim okazywano często pogardę, zdarzało się, że nazywano ich „mydłem”. Ta arogancka postawa znika jednak w czasie procesu Eichmanna, kiedy Izrael poznaje lepiej prawdę o tym, co się w Europie wydarzyło i jakie były tego mechanizmy. Zwłaszcza po wojnach sześciodniowej z 1967 r. i Jom Kippur z 1973 r. Izraelczycy uświadomili sobie, jak kruche są podstawy ich bezpieczeństwa. Od tego czasu minęło 45 lat!

Zawieszony już senator PiS Waldemar Bonkowski udostępnił na Facebooku film zatytułowany „Jak Żyd Żyda gonił ➔

→ na śmierć...”, wyreżyserowany w czasie wojny przez propagandzistów Hitlera. Zrobił dokładnie to, co zapowiadał Zybertowicz: sporządzenie rejestru Żydów przez Żydów zamordowanych...

Wielu osobom zaangażowanym w dialog polsko-żydowski trudno się pogodzić z tym, że tyle lat pracy, debat i książek, gestów Kościoła i inicjatyw lokalnych poszło na marne. Może to tylko wajcha, która teraz się wychyliła, a potem wróci na miejsce?

Mnie deprymuje ta sytuacja, zwłaszcza że pewne hasła wciąż się powtarzają. Heroizm Polaków i żydowska niewdzięczność. Judenraty. Żydokomuna. Historyk Piotr Osęka połączył na Facebooku cytaty z ostatnich dni z cytatami z propagandy marcowej; trudno było odróżnić. Gdyby to nie było straszne, byłoby nawet śmieszne.

Ale siła wiary w mord rytualny każe stawiać pytanie o odpowiedzialność Kościoła. Zresztą o sile tego mitu pisała już dawno, na podstawie badań, Joanna Tokarska-Bakir. Teraz ta sama badaczka wydała wielką książkę o pogromie kieleckim, gdzie mit mordu rytualnego odgrywał centralną rolę. Jak to się dzieje, że w Polsce XXI wieku przesąd zwalczany już przez papieża w wiekach średnich może mieć tylu wyznawców? Na Zachodzie takie brednie głoszą tylko skrajne środowiska wyznawców islamu.

Mogę przytoczyć dziesiątki cytatów z kazań i dokumentów kościelnych. Świadectwo Jana Pawła II, modlitwę pokutną Episkopatu za zbrodnię w Jedwabnem, zdanie z listu biskupów, że nawet gdyby jeden chrześcijanin mógł pomóc, a nie pomógł, albo przyczynił się do czyjejś śmierci, każe to prosić żydowskich braci o wybaczenie.

Ale do samego Jedwabnego, kiedy przemawiał tam Aleksander Kwaśniewski, biskupi pojechać nie chcieli. Byli tylko ks. Adam Boniecki i ks. Wojciech Lemański – dwaj represjonowani dziś kapłani pokazywali ładniejszą twarz polskiego Kościoła. Dopiero w ubiegłym roku pojechał tam w imieniu Episkopatu bp Rafał Markowski. A są przecież dziesiątki kazań i wypowiedzi księży z przeciwnego biegunu.

Ja nie będę mówił, co się powinno było zrobić, bo nie wiem. Ale wiem, że to jest przejaw jakiejś choroby duchowej. Polacy mają poważny kłopot z Żydami – kłopot,

Co robić z Żydami?

Reakcją na bezsilność i strach okresu okupacji musiała być redukcja dysonansu poznawczego: odwrócić się i szybko zapomnieć.

którego nie mają z żadnym innym narodem. Wiadomo, że gdy chodzi o Niemców i Rosjan, a nawet Ukraińców, to jeśli byli w relacjach z nimi jakieś polskie grzechy, oni i tak nagrzeżyli znacznie bardziej w stosunku do nas. Innymi słowy: możemy zachować swój obraz uformowany przez romantyzm, gdzie heroizm sąsiaduje z cierpieniem, a Chrystus narodów jest rozpięty na krzyżu. Z Żydami tak nie jest, bo z Żydami się okazuje, że my nie jesteśmy tacy fajni. Albo ci, którzy są fajni, są też trochę kłopotliwi: wspinała Sendlerowa należała do PZPR i na dodatek trochę zmyślała, a Bartoszewskiego i Karskiego do żadnej prawicy zapisać nie można.

To też nie jest śmieszne.

I nie jest najważniejsze. Dużo ważniejsze jest to, że polska pomoc jest mitologizowana, a opowieść o bohaterstwie trzeszczy. Ludzie, którzy ukrywali Żydów, zatajali ten fakt przed sąsiadami nie tylko wtedy, ale dziesięciolecia później. Prawdopodobnie niektórzy do dziś to ukrywają.

Mamy wciąż fundamentalny problem z rozliczeniem z przeszłością i nie mamy mechanizmów, które by je ułatwiały. Kościół – mimo zacytowanej przez pana ładnej formuły, że nawet jeśli jeden chrześcijanin mógł pomóc, a nie pomógł – w tym nie pomaga. Złaszcza że nie chodziło o jednego chrześcijanina.

Czyli co: w lutym mamy Marzec?

Nie mam skojarzeń z Marcem, tylko z okupacją i z latami po okupacji. W Marcu nie było dehumanizowania: Żyd był przeciwnikiem politycznym, wrogiem, agentem. Natomiast w tym, co mówi Ziembkiewicz, tak samo jak w badaniach Bilewicza, widzimy Żyda jako kogoś niższego od człowieka. Podczas badań pokazywano ludzkiem szkic przedstawiający ewolucję człowieka od małpy, przez neandertalczyków aż do homo sapiens. Pytano, w którym miejscu usytuowałby Żyda. Otóż 34 proc.

Polek i Polaków stawiało go poniżej *homo sapiens*!

Jest coraz dalej od wojny. Język debaty publicznej się pogorszył. Wrażliwość się stępiła.

Z chętnie cytowanych przez Jana Grossa wojennych dzienników doktora Klukowskiego pamiętam śmiech tłuszczy: ludzie śmiali się, jak znęcano się nad Żydami, jak ich mordowano. Gdy to dziś czytam, myślę o Ziembkiewiczu i Wolskim. Z wiersza Miłosza pamiętam karuzelę kręcącą się za murem płonącego getta. Pamiętam z wielu świadectw zdania „żydki się palą”. A ta sławna, powtarzana przez lata fraza: „Hitler jedną rzecz zrobił dobrą...”.

W Polsce nikt o tym nie mówił przez wiele lat. Dlaczego?

Od 20 prawie lat dużo się robi i pisze. Masa ludzi jest zaangażowana w budowanie porozumienia, w polsko-żydowską rozmowę, w odgrzebywanie śladów żydowskiej przeszłości. Ograniczę się do dwóch nazwisk: Bogdana Białka ze Stowarzyszenia im. Karskiego i Andrzeja Folwarcznego z Forum Dialogu Między Narodami. Wiele zrobiło Centrum Badań nad Zagładą Żydów, kierowane przez Barbarą Engelking. Są świetne książki Anny Bikont. Ale trudno ich słuchać, bo dotyczą rdzenia tożsamości – patriotycznej i religijnej.

Grzegorz Krzywiak napisał książkę o polskim antysemityzmie z początków XX wieku, stawiając tezę, że właściwie to on uformował naszą kulturę polityczną, a utrwalił się dlatego, że nie było tutaj takich sił, które zadziały we Francji przy sprawie Dreyfusa, gdzie opór wobec nacjonalistycznej i rasistowskiej kampanii uformował tożsamość nowoczesnej republiki. Zapewne ma rację, ale dodać trzeba inne czynniki. W okresie międzywojennym mieliśmy ubóstwo, przeludnienie i maltuzjańską wizję, że tylko przez pozbycie się Żydów można rozwiązać problem polskiej biedy. Mieliśmy też endecki w dużym stopniu Kościół, zatruwający wiernych. Prawomocność antysemityzmu w polskiej kulturze politycznej umacniała się paradoksalnie w czasie wojny i tuż po niej: wszędzie w Europie skrajna prawica antysemita kompromitowała się kolaboracją z Niemcami i znikała. W okupowanej Polsce, poza wyjątkami, nie kolaborowała (inna sprawa, że Niemcy nie szukali polskich kolaborantów), tylko walczyła z Niemcami, wchodząc w skład

władz państwa podziemnego i naziemnego – tego w Londynie. Później przesładowali ją komuniści.

Innymi słowy: mimo Zagłady nie mieliśmy tu potępienia antysemityzmu i moralnego rozliczenia z ugrupowaniami, które były nośnikiem antysemickiej ideologii. Komuniści byli za słabi – nie chcieli zresztą uwiarygadniać oskarżeń o swoją „żydowskość” karaniem ludzi prześladowanych Żydów w czasie wojny.

Były procesy z dekretu sierpniowego, analizowane dziś m.in. przez historyków ze wspomnianego przez Pana Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

Ale problem Holokaustu w swoim wymiarze moralnym i religijnym nie był szeroko podejmowany. Dla wybitnego historyka brytyjsko-amerykańskiego Tony’ego Judta Holokaust był moralną podstawą integracji Europy – to był wielki grzech i wstyd całego niemal kontynentu, nie tylko Niemiec, które bezpośrednio za mord odpowiadały. U nas takiej refleksji nie było i efekty widać: to, co mówią politycy i propagandziści PiS, jest niespotykane w języku prawicy zachodniej, nawet skrajnej. Język i brak elementarnej empatii premiera Morawieckiego w Monachium to przykład spuścizny po tej historii. Nie twierdzę, że jest antysemitą. Pewnie nie jest, ale nie ma to dla mnie znaczenia.

Obrazy zanotowane przez Klukowskiego – Żydów wywożonych na śmierć, likwidowanych gett, szabru, polowań na próbujących się ukrywać – były okupacyjną codziennością. Widzieli wszyscy, nikt nie opowiada. Myśmy wszystko zapomnieli?

No ale jak o tym opowiadać, jak pamiętać? Amnezja jest sposobem radzenia sobie z bolesną przeszłością. Co robić z Żydami przy polskiej kulturze politycznej i samopercepcji? Jak przyznać, że byliśmy bezsilni, obojętni albo tchórzliwi, że zdradzaliśmy, sprzedawaliśmy, traktowaliśmy bliźnich jak zwierzęta? Jak to wszystko sobie opowiedzieć, nie zasłaniając się bez przerwy garstką zasługowanych?

Nie lubię podziału na mniejszość pomagającą i heroiczną po jednej stronie, mniejszość zdegenerowaną i nikczemną po drugiej, i większość przyglądających się, zaleknionych czy obojętnych „bystanders”; przecież nawet w tej grupie centralnej, gdzie było mnóstwo ludzi przyzwyczajonych i współczujących Żydom, możliwości

Jestem za prawdą,
pełną prawdą. Ale ze
społeczeństwem trzeba
postępować ostrożnie. Duża
jego część ma nieprzerobioną
traumę transformacji.

działania były niewielkie. Niemieckiego mechanizmu Zagłady powstrzymać nie mogli. Reakcją na bezsilność i strach musiała więc być redukcja dysonansu poznawczego: odwrócić się i szybko zapomnieć. Powiedzieć, jak jeden z deputowanych do Zgromadzenia Narodowego w czasie rewolucji francuskiej: „ich krew nie jest taka czerwona”. Albo, jak Kossak-Szczucka, która mimo swoich uprzedzeń Żydom pomagała: „oni nas nienawidzą”, wykończyliby nas tak samo jak Niemcy.

Kiedy Pan mówi o mechanizmach rozliczenia z tą przeszłością, mówi Pan o rozliczeniu na poziomie społeczeństwa? Państwa?

Nie wiem. Wiem, że milczały o tym wszystkie rządy po 1989 r. Z pogrzebu Bronisława Geremka pamiętam trzy rzeczy: nikczemny transparent przed katedrą (to zresztą paradoks: Broniek miał katolicki pogrzeb, bo był ochrzczony przez polskiego ojca, który go adoptował, a trumny chrześcijańskiego na wskroś Leszka Kołakowskiego nie wpuszczono do katedry, bo Leszek nie był ochrzczony) w duchu „Chwała ci, Panie Boże, że go stąd zabrałeś”, przemówienie Tadeusza Mazowieckiego w katedrze, ze słowami, których nigdy wcześniej nie wypowiedział, o antysemityzmie, którego ofiarą był Geremek, oraz przemówienie Lecha Kaczyńskiego na cmentarzu, bardziej aluzyjne, ale z tym samym w gruncie rzeczy przesłaniem: że Geremek nie mógł odegrać takiej roli, na jaką zasługiwał, ze względu na swoje pochodzenie, ale w końcu Polska stała się nieco bardziej otwarta, więc został ministrem spraw zagranicznych.

Rzecz w tym, że takie kwestie nigdy tak naprawdę nie stawały publicznie. Donald Tusk nie był w Jedwabnem, argumentując – można by rzec: klasyczny liberał – że ludzie przyzwyczajeni nie odpowiadają za czyny garstki wyrzutków. Podobnie zresztą pisał bardzo lewicowy dziś Jacek Żakowski,

kiedy „Gazeta Wyborcza” po długim milczeniu zaczęła pisać o „Sąsiadach”.

Jest tyle tematów, którymi nie zajęto się po transformacji, nie tym jednym.

Zgoda. PRL nie został opowiedziany, transformacja również. Żydowski temat nie był najważniejszy.

Odbyta się jednak dyskusja nad „Sąsiadami”. Prezydent przeproszał.

Aleksander Kwaśniewski pięknie w Jedwabnem mówił: „Jako człowiek i obywatel i jako prezydent Polski przepraszam w imieniu swoim i tych wszystkich Polaków, którzy uważają, że nie można być dumnym z wielkości polskiej historii nie odczuwając jednocześnie bólu i wstydu z powodu zła, które Polacy wyrządzili innym”, ale jego legitymacja do mówienia w imieniu Polaków była podważana. Ówczesna dyskusja wokół zbrodni w wielu miejscowościach Podlasia była zresztą na bardzo wysokim poziomie i poszła głęboko – co mówię z pełną odpowiedzialnością, znając francuską debatę nad Vichy.

Uczciwe rozliczenie z przeszłością może wzmacniać pozycję kraju na arenie międzynarodowej, a Gross może być jego ambasadorem? Bo rządzący dziś Polską mówią, że ustawa o IPN i walka z „polskimi obozami” służy obronie naszej pozycji w świecie – że mówiąc o polskich winach wobec Żydów, osłabia się ją.

Dyskusja nad „Sąsiadami”, jeśli idzie o naszą pozycję na arenie międzynarodowej, była faktem bardzo ważnym. Również ludzie dotąd nam nieprzychylni przyznawali wówczas, że Polska stała się krajem demokratycznym i to w najgłębszym sensie – bo nie tylko ma instytucje demokratyczne, ale demokratycznie i pluralistycznie debatuje o przeszłości, potrafiąc znieść trudne prawdy na swój temat.

Mam wątpliwości do wielu tez Grossa, jego moralizm jest mi obcy, a kolejne książki oceniam krytycznie. Nie zmienia to faktu, że Polska z debaty nad „Sąsiadami” wyszła wzmocniona. Choć jej paradoksalnym efektem mógł być także upadek Unii Wolności i wejście do parlamentu Ligi Polskich Rodzin, która upominała się o naruszone poczucie narodowej godności.

Czymś zupełnie innym jest jednak paranoja związana z „polskimi obozami”. Mieszkam pół życia na Zachodzie, jeżdżę →

→ po świecie – to pojęcie nigdy nie funkcjonowało inaczej niż jako określenie geograficzne. Oczywiście, że irytowało, ale istniały skuteczniejsze metody zwalczania go – przez procesy cywilne, wywieranie presji na gazety, żeby zmieniały swoje stylebooki itd. Wiara, że można to zmienić ustawą uchwalaną w Polsce, jest zabobnem władzy, która uważa się za wszechpotężną, a szerzy chaos: moralny, intelektualny i w życiu społecznym.

Czyli chodzi wyłącznie o politykę wewnętrzną?

Przeczytam panu kawałek wywiadu tygodnika „Sieci” z Józefem Orłem, który już w latach 90. należał do dworu Kaczyńskiego. „Polska została wybrana na ofiarę. Gdyby taką decyzję podjął Izrael ze Stanami Zjednoczonymi, to może jeszcze nie byłoby tak źle. Ale została wybrana na ofiarę przez UE i Berlin”. A dlaczego została wybrana? „Bo od dwóch lat prowadzimy suwerenną politykę zagraniczną i mamy sukcesy. Najwyraźniej różne ośrodki doszły do wniosku, że trwa to zbyt długo i pora z tym skończyć. Proces przygotowania trwał od dość dawna, teraz te potrójne szczęki zwarły się”.

Aż trudno uwierzyć w autentyczność tych objawów paranoi. Wolę myśleć, że to przykład pewnej inżynierii – woli kształtowania Polaka pisowskiego, dumnego z historii narodu, zintegrowanego wokół wodza, który daje poczucie bezpieczeństwa, i wokół misji mesjańskiej. U Krzysztofa Szczerskiego, Andrzeja Nowaka, Zdzi-

слава Krasnodębskiego i wielu innych pojawiają się te liryczne wloty o polskiej misji cywilizacyjnej, o chrystianizowaniu Europy. Otóż ta operacja betonowania społeczeństwa nie uda się bez zatknięcia jego i swoich uszu na nieprzyjemną wiedzę o rzeczywistości.

Czyli jednak wszystkiemu winien jest Kaczyński?

Oczywiście nie. Jego siła polega na zdolności artykułowania lęków i kanalizowania agresji dużej części Polaków. Ludzie nie chcą wiedzieć, bo wiedza jest zbyt bolesna.

Opozycja zresztą mówi to samo, co prezes PiS.

Nie wykluczam, że mówi tak, bo zna sondaże, a nie tylko z powodu jakości jej przywódców. Problem zagrożonej godności i samooceny jest realny. Człowiek, który wierzy w siebie, nie boi się prawdy i tego, co pomyśli o nim Iksiński.

Co mnie prowadzi do jeszcze jednej, trudnej konkluzji związanej z kwestią stosunków polsko-żydowskich. Jestem za prawdą, pełną prawdą. Mój wewnętrzny ból odgrywa tu na pewno istotną rolę. Ale z drugiej strony myślę o przyszłości i obawiam się Katonów: ludzi, którzy występują w roli surowych sędziów, wspólnie z PiS-em spychając Polskę w zewnętrzne osamotnienie, a wewnątrz siłą rzeczy integrując dużą część Polaków wokół PiS-u. Potrzebny tu jest takt i ostrożność – zarówno ze względu na szacunek dla ludzi, jak też konsekwencje polityczne.

Często myślę o uwadze Hannah Arendt na temat tego, kim jest; mówiła, że nie jest filozofem, tylko teoretykiem polityki. Filozof poszukuje prawdy, a polityk nawet prawdę traktuje, gdy uznaje to za konieczne, jako narzędzie. Jego celem nie jest poznanie, lecz kształtowanie przyszłości. To jest diabelska strona polityki.

Prawda może być zabójcza?

Trzeba ostrożnie postępować ze społeczeństwem. Trzeba też pamiętać o tym, że duża jego część ma za sobą nieprzewidywalną traumę transformacji.

Nie przerobiliśmy jej?

Ja uważam, że nie. Wciąż nie zdajemy sobie sprawy, jak wysoką cenę Polacy zapłacili za wielki sukces, jakim była transformacja. Uważam, że zwycięstwo PiS-u także jest tego efektem. Wielu Polaków – również tych, którzy tak licznie deklarowali, że są szczęśliwi – nigdy nie wybaczyło ludziom i formacjom, które im zaplikowały tamten strach i stres.

Kaczyński pozwala tym ludziom odzyskać godność?

Duża część społeczeństwa ma poczucie odzyskiwania godności, sprawiedliwości i poczucia bezpieczeństwa. PiS podlewa to jeszcze swoją wersją nacjonalizmu, religijnym ferworem i daje poczucie wspólnoty. To się zresztą wpisuje w kontekst światowy: potrzeba wspólnoty jest dziś powszechnie odczuwana, m.in. w wyniku kryzysu i globalizacji, po kilkudziesięciu latach skrajnego indywidualizmu.

Ale to inny temat. Żeby leczyć rany, nie trzeba było wywoływać wojny na tak wielu frontach. Nie trzeba było niszczyć instytucji państwa demokratycznego, przemieniać relatywnego ładu w chaos, zatruwać narodu nienawiścią. Zapłacimy wysoką cenę za rządy reakcyjnych radykałów. Choć i tutaj nie jesteśmy niewinni: to my dokonaliśmy wyboru.

©® Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

ś†P.

Teresa Emma z Wysockich Rozwadowska

Urodzona 3 listopada 1925 r. w Jasienicy Rosielnej.
Zmarła 21 lutego 2018 r. w Hucisku.

Absolwentka Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarsko-Położniczej w Krakowie.
Pielęgniarka z powołania, oddana potrzebującym,
zawsze myśląca o drugim człowieku,
do końca wierna czytelniczka „Tygodnika Powszechnego”.

Nabożeństwo żałobne i pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Rakowickim
w Krakowie w piątek 2 marca 2018 r. o godz. 11.00.

ALEKSANDER SMOLAR (ur. 1940) jest ekonomistą i politologiem, prezesem Fundacji im. Stefana Batorego. W czasach PRL opozycjonista, po Marcu 1968 r. więziony, wyemigrował w 1971 r. Był założycielem i redaktorem naczelnym kwartalnika „Aneks”, który w 1986 r. opublikował słynny numer żydowski (dostępny dziś w całości w internecie w archiwum „Kultury Liberalnej”). Po 1989 r. m.in. doradca premierów Tadeusza Mazowieckiego i Hanny Suchockiej.



ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Wakacyjny obóz ZHP w Konopiskach, sierpień 2017 r.

W stanie czuwania

ADAM ROBIŃSKI

Dziś harcerstwo, pomysł rodem z XIX stulecia, nadal nie chce być efektowne. Ale postawy, które kształtuje, są dziś potrzebne jak nigdy dotąd.

OPowieść o tym, czym jest współczesne harcerstwo, dobrze zacząć 10 kwietnia 2010 r. na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Na wieść o katastrofie w Smoleńsku pod Pałacem Prezydenckim harcerze zjawili się spontanicznie, bez odgórnego polecenia. Ktoś przypomniał sobie, że po ostatnim listopadzie zostało trochę zniczy. Wydało mu się ważne, by rozdáwać je zgromadzonemu. Ktoś inny zauważył, że mimo gęstniejącego tłumu na miejscu wciąż nie ma służb miej-

skich. I że gdy ludzie ustawiają znicze, to spychają na nie innych. Trzeba było zorganizować służby porządkowe. Odgrodzić płonące znicze, przestawiać je w miarę ich przybywania, usuwać wypalone. Ten nieplanowany dyżur trwał dwie doby, zanim Ratusz ustawił barierki.

Musztra, warta, mundur, odznaki, sprawności, obozy w środku lasu – tak w paru słowach podsumować można stereotypowe postrzeganie formacji o ponadstuletniej już historii. Masowość ruchu harcerskiego powoduje, że zetknął się z nim każdy. Nie licząc tych, którzy przez harcerstwo przeszli, mało kto jednak wie, co kryje się za jego ceremoniałem.

Lekcja na jeziorze

– Harcerstwo to jedna z najnowocześniejszych organizacji wychowawczych – mówi Mikołaj Harasimowicz, komendant Szczepu 40 Warszawskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych Związku Harcerstwa Polskiego. – Mówię to w myśl zasady, że nowoczesność warunkuje zmianę, nadążanie za czasem, dopasowywanie się do rzeczywistości.

Filary metody harcerskiej są cztery. Oprócz programu to system małych grup, uczenie w działaniu oraz określony dzie-

sięciopunktowym prawem harcerskim system wartości przekazywanych przez instruktorów. Są wśród nich m.in. prawdomówność, umiłowanie i ciekawość przyrody, posłuszeństwo, ofiarność i gotowość niesienia pomocy innym. – Jeśli ktoś mówi, że harcerstwo jest instytucją przestarzałą, może mieć na myśli owe wartości – zauważa Harasimowicz. – Prawo harcerskie może brzmieć anachronicznie, ale jego treść wciąż odpowiada współczesnym potrzebom. Nasze wartości są tradycyjne, ale narzędzia, którymi się posługujemy do ich wpajania, niekoniecznie – dodaje.

Dwa lata temu, podczas obozu dla 180 osób na Warmii wraz z kadrami, doszli do wniosku, że ich podopiecznym brakowało braterskich instynktów, a wśród dorosłych dało się słyszeć coraz większą niechęć do uchodźców. Jako rozwiązanie wymyślili więc nocne manewry. Harcerze mieli dobrać się w grupy, zbudować trawty, przeprowić na drugą stronę jeziora i założyć nowe obozowisko. Dzięki temu mieli poczuć się jak ludzie, których okoliczności zmuszają do porzucenia dotychczasowego życia.

Czy aluzja do bieżących wydarzeń była czytelna? – Dla kadry tak. Niektórym otworzyły się oczy, choć nie jest tak, że →

→ od razu można zmienić zdanie na równie istotny temat. Ale wbijając się małymi klinami w sposób myślenia, otwieramy przy najmniej pole do rozmowy – mówi Harasimowicz. – Z kolei dla dzieciaków ważne było to, że działały w grupach, pokonały słabości, stanęły na wysokości zadania. Zaradność to teraz zresztą cel większości drużyn harcerskich. Dzieci są mało zaradne, bo cyfrowy świat przesunął granicę dojrzałości. Jeśli 14-latek nie umie o sobie zadbać, to damy mu takie zadanie: spakuj się, zbuduj wehikuł, urządz na nowo.

Skauting przetłumaczony

Początki skautingu, a więc i harcerstwa jako jego polskiej odmiany, sięgają przełomu XIX i XX w. i postaci generała Roberta Baden-Powella, brytyjskiego wojskowego, który wslawił się wielomiesięczną obroną południowoafrykańskiej twierdzy Mafeking podczas wojny burskiej. Aby wzmocnić kruche zasoby ludzkie, do służby powołał wówczas małych chłopców, którzy mimo braku doświadczenia okazali się świetnymi zwiadowcami i łącznikami. Po przejściu do cywila Baden-Powell poświęcił się pedagogice. Na polski grunt ideę przeniósł Andrzej Małkowski, żołnierz lwowskiej Armii Polskiej (który zetknął się z podręcznikiem Brytyjczyka, gdy za karę za spóźnienia na zajęcia kazano mu go przetłumaczyć). Działo się to jeszcze w czasach rozbiorowych, więc do programu Baden-Powella dodano wątek niepodległościowy.

– Skauting i harcerstwo szybko zostały daleko w tyle system edukacji szkolnej – mówi Harasimowicz. – Problem ze szkołą polega na tym, że wymyślono ją w XIX wieku po to, żeby dać szansę edukacyjną masom i wykształcić ludzi do pracy w fabrykach. Posadzono ich w ławkach, dano nauczycieli, którzy kładli im wiedzę do głowy. To się mogło sprawdzać w cza-

sach, gdy dostęp do wiedzy był ograniczony. Ale dziś ma go każdy, więc szkoła to przeżytek. Zmieniają się tylko nauczane treści, paradygmat jest ten sam co w XIX w. Siedzenie w ławkach, lekcje pięć dni w tygodniu, i tak przez całe młode życie.

Poza szkołą i rodzicami

Związek Harcerstwa Polskiego powołano w 1918 r., scalając organizacje o podobnym charakterze. W 1989 r. w wyniku rozłamu we władzach ZHP powstał Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, uważający się za kontynuatora tradycji przedwojennych i bliżej związany z tradycjami narodowo-chrześcijańskimi. Część instruktorów chciała się odciąć od środowiska uwikłanego w programy wychowania w duchu socjalistycznym.

Dziś organizacji harcerskich jest wiele, a większość działa lokalnie. Są organizacjami pożytku publicznego, finansowanymi ze składek członkowskich i darowizn. ZHP dysponuje również sporym majątkiem będącym spuścizną po czasach PRL (w związku z czym ma paromilionowe długi związane z niemożnością utrzymania tego majątku). Jest otwarty na ludzi wszystkich wyznań i ateistów. Zrzesza około stu tysięcy osób. Z kolei do ZHR należy kilkanaście tysięcy osób, a w jego statucie wpisano wychowanie oparte na wartościach chrześcijańskich. Instruktorami ZHR mogą zostać jedynie katolicy. Od wychowanków oczekuje się, że będą wiary chociaż poszukiwać.

Trzecią najważniejszą organizacją są Skauci Europy z paroma tysiącami członków i najsilniejszymi związkami z Kościołem katolickim, odwołujący się do klasycznej pedagogiki Baden-Powella. Skauci działają przy parafiach i szkołach katolickich, a w ich funkcjonowanie zaangażowani są również rodzice. Może właśnie dlatego jest to najdynamiczniej rozwijająca się

z dużych organizacji harcerskich w Polsce (w ZHP i ZHR liczba członków rośnie wolniej). Wśród „drobniцы” znaleźć można m.in. Stowarzyszenie Harcerskie, w którym nacisk kładziony jest na uniwersalne wartości, bez Boga na sztandarach.

Różnice w funkcjonowaniu dotyczą również metod pracy. Instruktorzy ZHR pracują społecznie, część kadry ZHP to etatowcy. W tym ostatnim normą jest wprowadzona po wojnie koedukacja. – W ZHR wierzymy w to, że wychowawca powinien być dla podopiecznych autorytetem i wzorem, stąd przyjęliśmy model monoedukacyjny, z osobnymi męskimi i żeńskimi grupami, gdzie wzorem dla chłopca jest starszy chłopak, a dla dziewczynki – dziewczyna – mówi zuchmistrz Wojciech Nowakowski. I zaraz dodaje, że najważniejszy jest jednak wspólny cel stawiany sobie przez harcerstwo – młodzi ludzie sami mają kreować zmianę, która ich dotyka. – Harcerstwo kształtuje nie tyle umiejętności, co postawy. W zuchach nazywamy taką przemianę drogą od małego egoisty do małego altruisty – tłumaczy.

Dzieci z tylnego siedzenia

Jak się dziś trafia do harcerstwa? Mało kto przychodzi sam. To raczej jest wpływ kolegi, koleżanki lub harcerza odwiedzającego szkołę. Spory udział w pozyskiwaniu nowych członków mają też parafie, często użyczając sal na zbiórki. Przygoda zaczyna się w zuchach, przez harcerstwo właściwe i grupy wędrowników (ramy wiekowe nie są stałe, a ostatnia reforma edukacji jeszcze dodatkowo je upłynniła), aż do 21. roku życia, kiedy harcerz, wchodząc w dorosłe życie, powinien zostać instruktorem lub wystąpić z ruchu.

Harcerski rok jest zbieżny ze szkolnym. Zaczyna się we wrześniu, kiedy tworzone są programy dla istniejących już grup. W październiku ruszają cotygodniowe zbiórki i organizowane mniej więcej co dwa miesiące weekendowe biwaki. Na początku listopada harcerze gromadzą się przed cmentarzami, gdzie sprzedają zniczy zarabiają na działalność. Przełom roku to zimowiska, z kolei sezon wiosenny – jeszcze więcej krótkich wyjazdów pod namioty czy do zaprzyjaźnionych szkół.

– W grupie gimnazjalistów, którą prowadziłem, udało mi się wprowadzić drugą zbiórkę sportową. Widziałem, że chłopcy są przeładowani zajęciami umysłowymi, że potrzebują dać upust nagromadzonej energii, więc spotykaliśmy się tylko po to,

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, za sygn. I Ns 772/17, toczy się postępowanie z wniosku Marzeny Gołocińskiej, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości położonej w Borkowiznie, gm. Strzyżewice, oznaczonej jako działka gruntu nr: 593 o pow. 0,39 ha, 927/1 o pow. 0,07 ha, 927/2 o pow. 1,53 ha.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Stanisława Skubika i jego żony Anny Skubik, ostatnio stale zamieszkałych w Janowie Lubelskim przy ul. Armii Ludowej 11, aby w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

żeby pograć w piłkę i odparować mózgi po tygodniu zajęć – wspomina Harasimowicz. Według niego problemem w organizacji zajęć dla harcerzy jest dziś to, że trudno wyrywać dzieciaki z nawału zajęć pozaszkolnych. – Dwa języki, skrzypce, korki. Gdyby szkoła odpuściła pięć godzin tygodniowo, rodzice trzy godziny, można by ten odzyskany czas wykorzystać chociażby do tego, żeby dzieciaki mogły się trochę ponudzić. A nuda wiedzie do kreatywności.

– Rodzicom swoich dziewczynek mówiłam na zebraniach: „Pozwalam waszym dzieciom na to, czego wy im zabraniecie” – wspomina Anna Wittenberg, dziennikarka, która harcerstwo zawieściła na kołku po narodzinach córki. – To był klasyczny przykład dzieciaków z tylnego siedzenia samochodu. Nie potrafiły samodzielnie poruszać się po mieście, musiały je z nim oswoić. Przychodziły więc na zbiórkę do szkoły, od portiera odbierały kopertę z zadaniem, a ja czekałam pod telefonem na wypadek ewentualnych kłopotów. Kazałam im pojechać z Mokotowa na Wilanów, oczywiście konkretną tablicę pamięci, zrobić notatkę, a na koniec wysłać mi zdjęcie. Najpierw jechały bez przesiadek, potem wypuszczałam je coraz dalej. Albo organizowałam grę terenową na obszarze całego Śródmieścia. Ich rodzice wiedzieli, że z dziewczynkami nie ma pełnoletniego opiekuna, ale to kupowali. Zresztą moim zdaniem harcerstwo jest służebne wobec rodziny i jeśli instruktor postawi na kontakt z rodzicami, osiągnie więcej.

Albo żeby wyważyć relacje instruktorów, w opowieści o współczesnym harcerstwie nie może też zabraknąć głosów osób zawiedzionych. Jak choćby wspomnień rodzica, którego dzieci na własną prośbę po paru zbiórkach zrezygnowały z harcerstwa po tym, jak na jednej z nich instruktor kazał im w lesie strzelać z wiatrówki do tarczy z podobizną Putina. Metoda wychowawcza jest tak dobra, jak wychowawca.

Harcerstwo po nawałnicy

Kwintesencją harcerstwa w powszechnym postrzeganiu jest letni obóz. Ma być las, ma nie być prądu, przynajmniej dla podopiecznych. Telefony komórkowe zostają w domach. – Dzieciaki mają być tu i teraz, a nie z nosami w komórkach – mówi Harasimowicz. – Podczas tych trzech tygodni dużo się dzieje. Na początku każdy gra jakąś rolę, udaje kogoś innego, ale potem traci czujność, zaczyna

Kwintesencją harcerstwa
jest letni obóz. Ma być las,
ma nie być prądu,
przynajmniej
dla podopiecznych.
Telefony zostają w domach.

zachowywać się prawdziwie, a wychowawca dostaje materiał, na którym może pracować. Zyskują też dorośli. Nie mamy światła, więc żyjemy naturalnym rytmem. Jak do drugiej w nocy nie siedzisz przy komputerze, to potem nie masz problemów ze wstaniem skoro świt.

W sierpniu 2017 r. o tym, czym są obozy, przypomniła sobie cała Polska. Nocna nawałnica zabiła dwie łódzkie harcerki w Suszku nieopodal Rytla w Borach Tucholskich, a 29 osób zostało rannych. Przez media przetoczyła się zaś debata, czy obozy harcerskie są bezpieczne.

– W naszym podejściu nic się nie zmieniło. Wciąż traktujemy las jako schronienie, a nie zagrożenie. Po katastrofie w Rytlu odbyliśmy w hufcu dyskusję na jej temat i doszliśmy do wniosku, że ryzyko podobnej tragedii jest niewielkie, mniejsze niż choćby ryzyko wypadku drogowego w drodze na obóz. Nie zwalnia nas to jednak z myślenia o tym, co może się wydarzyć – mówi Harasimowicz. – Do tej pory żaden rodzic nie zabrał dziecka z obozu, ale boję się takiego scenariusza. Kiedy w środku wakacji media zaczęły przypominać o Rytlu, bo to nośny temat, wtedy rodzice się obudzą i zaczęły odbierać dzieciaki. Jeśli ubędzie kilkunastu, posypie nam się cały obozowy budżet.

Latem zeszłego roku na Pomorze ruszyły setki harcerzy z całego kraju, by pomóc posprzątać spustoszoną okolicę. – Nie było żadnego rozkazu, nie wiadomo było, co zastaniemy na miejscu, ale trzeba było jechać i się zorientować, co da się zrobić – wspomina Harasimowicz. Na początku z Hufca Mokotów pojechali w piątkę. Na miejscu akcję koordynowała ekipa harcerzy z Chojnic. – Strażaków było niewielu, wojsko przyjechało dopiero po kilku dniach, ale ktoś zapomniał wydać im rozkaz do pracy, więc żołnierze siedzieli i czekali. Sprawy w swoje ręce wziął sołtys, byli wolontariusze i harcerze. Kiedy strażacy zobaczyli nasze zaangażowanie, zakwaterowano nas obok nich w samym centrum wsi, karmili

nas, serwisowali sprzęt. To ważne: po całym dniu oddajesz pilarkę strażakom, następnego dnia odbierasz ją nasmarowaną i zatankowaną. I do tego uścisk ręki strażaka z podziękowaniem za dobrą robotę.

– Ale tak naprawdę w harcerstwie wcale nie chodzi o spektakularne działanie – przekonuje Harasimowicz. – Potwierdzeniem słuszności tego, co robimy, jest fakt, że nie umiemy barwnie o tym opowiadać. Wychowanie młodego człowieka nie jest spektakularne. Nikt nie mówi o tym, że nasi wychowankowie w dorosłym życiu doskonale odnajdują się w dużych zespołach, potrafią uszanować zasady, dbać o innych.

Bez prohibicji

W kwietniu ubiegłego roku w statecznym zwykłym środowisku zawrzało. Nadzwyczajny zjazd ZHP przegłosował zmianę dziesiątego punktu prawa harcerskiego. Od niemal stu lat brzmiał on „Harcerz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych”. W nowej wersji zakaz zastąpiono ogólnym zapisem o wolności od nałogów (zmiana dotyczy tylko prawa ZHP, inne organizacje harcerskie pozostały przy starym zapisie). Zwolennicy takiego rozwiązania tłumaczyli, że dla wielu całkowita wstrzeźliwość nie stanowi żadnej wartości, a dotychczasowy punkt dziesiąty był jedynym zakazem w całym prawie harcerskim. Argumentowali, że zachodni skauting nie zna prohibicji, więc podczas międzynarodowych zlotów dochodziło do absurdalnych sytuacji, bo gdy większość członków szła wieczorem na piwo, Polacy musieli zadowolić się wodą. – Mamy pokazywać drogę, a nie zakazywać. Teraz każdy z nas może postawić sobie poprzeczkę w innym miejscu – mówi Harasimowicz.

– Tym, którzy alkohol pili mimo zakazu, łatwiej było zmienić prawo, niż przestać pić – twierdzi z kolei Anna Wittenberg. – Zamiast pracować nad sobą, dopasowali do siebie wymogi. Przepis o abstynencji nie znalazł się w prawie przypadkowo. Harcerz ma być pierwszą linią pomocy, dlatego musi być w nieustannej gotowości. Nie może być pijany, bo jeśli coś się stanie, to żaden z niego pożytek. Gdyby tu na tym skrzyżowaniu nagle doszło do wypadku, pobiegłabym pomóc poszkodowanym jeszcze przed przyjazdem służb ratunkowych. Mamy ciągle czuć.

© ADAM ROBIŃSKI



Krystyna i Bronisław Stochowie, Ząb k. Zakopanego, 23 lutego 2018 r.

Duma kroczy na końcu

KRYSTYNA I BRONISŁAW STOCHOWIE:

Gdy Kamil zaczynał wygrywać, ogłoszono go Małymsem. A on powtarzał: „Ja jestem Kamil Stoch. Tworzę własną historię”.

BARTEK DOBROCH: Radość czy ulga?

BRONISŁAW STOCH: Ulga, że skończyło się szczęśliwie. Że ten pompowany od dawna balon oczekiwań medalowych na olimpiadzie nie pękł, tylko zdołał się urzeczywistnić, przynajmniej w części. Nie wiadomo tylko, która duma narodowa została dopieszczona, ta prawdziwa czy ta fałszywa. Zawsze się nad tym zastanawiamy, dla ilu kibiców skoki to głównie sport, a dla ilu euforia podsycana nacjonalizmem.

Premier mówił do naszej ekipy przed odlotem do Korei: „Wasza walka na skoczni jest walką dla Polski”.

KRYSTYNA STOCH: Jako lekarstwo na całe zło. Lek na niedosyt. Baliśmy się, czy chłopcy to wytrzymają. Ciężar narastał.

Czuliśmy go tu na własnych barkach, mając świadomość, że tak długo nie ma medalu, że właściwie wszystko spoczywa w ich rękach.

Większy byłby stres kibicować tam?

BS: Rzadko jeździmy na zawody. Po pierwsze, dlatego że oboje pracujemy jeszcze zawodowo. Po drugie: nie grzeszimy nadwyżkami w domowym budżecie, żeby pozwolić sobie na tak drogi wyjazd, a nie chcemy wydatkami obciążać dzieci. Zafundowały nam już ostatnio taką wycieczkę do Bischofshofen na ostatni konkurs Turnieju Czterech Skoczni.

A da się w ogóle porównać napięcie, które odczuwa zawodnik na skoczni,

i stres rodziców śledzących konkurs w telewizji?

KS: W domu w ogóle nie rozmawiamy z Kamilem o skokach, tak że trudno nam jest to porównać.

BS: Ale nie ma wątpliwości, że te przeżycia mają duży ciężar gatunkowy. On nie jest w stanie wyizolować się całkowicie z atmosfery zawodów, z tej presji. Wisi to nad nim, jest w stałym kontakcie z tym, co się dzieje tu i teraz, kto ile skoczył, jakie są reakcje publiczności. Musi sobie z tym poradzić.

Natomiast u nas jest taka kumulacja. Najpierw się boimy, czy się coś nie stanie, czy te warunki pozwolą bezpiecznie skoczyć, następnie, czy pozwolą dobrze skoczyć, co jest też związane z tym, jaka będzie potem reakcja mediów, publiczności. Bo nie chcielibyśmy, żeby mu się stała krzywda na zawodach, jak i przykrość po nich. Także ze strony tych surowych sędziów, jakimi są nieraz media.

W tym oglądaniu skoków w zaciszu domu w Zębie chodzi o intymność przeżycia?

KS: Sprzedaliśmy całe dzieciństwo Kamila mediom, wszystko można wyczytać

w internecie, podobnie jak i o naszej rodzinie. Mąż wypowiada się po wielu zawodach. Jesteśmy otwarci. Ale są takie momenty, których nigdy nie sprzedamy.

BS: Dlaczego miałbym grać? Czujemy tak samo jak kibice, narastający niepokój, napięcie. Potrzebujemy swobody odreagowania, zrobienia czegoś, co ulży albo pomoże i też przygotowuje nas do późniejszych momentów, gdy trzeba wyjść, mówić spokojnie o tym, co było, nie histeryzować.

Jaki wpływ na wychowanie syna do mistrzostwa miały Pana zawodowe kompetencje jako psychologa?

BS: Największe zasługi ma Krysia. Ja pracowałem, ona szlifowała morale i postawy dzieci. Ale trzymaliśmy jeden front. Stalaliśmy się nie ingerować w ich wybory. Wiedza psychologiczna pomogła mi wcześniej zrozumieć to, co skoczkowie teraz powtarzają: „Nie myślimy o sukcesie, o wyniku, ale o tym, co mamy zrobić”. Mówiłem Kamilowi, gdy był dzieckiem: „Nie przejmuj się, jak sędziowie liczą punkty, to jest ich kłopot, jak się pomyli. Ty sobie tylko idź i skocz”. Pewnie coś z tego mu zostało, ale okazuje się, że to jest też filozofia mądrych trenerów, jak Stefan Horngacher. Żeby sekwencję czynności wykonać tak, jak się umie, i wtedy przyjdzie efekt.

A jaki wpływ na Kamila miało tutejsze środowisko, Ząb, wioska, z której wszędzie jest z górki?

BS: Bardzo pomógł nam trener Mieczysław Mardula „Dziadek”, który trenował m.in. olimpijki, biegaczki, siostry Majerczykówny. Uświadomił, co to jest w ogóle sportowy talent, jak ciężka, wyboista jest droga sportowa. Pomógł nam założyć klub w Zębie. Przestrzegł Kamila przed zmiennością wiatru. Intuicyjnie, bo przyszedł wieczorem na nogach z zakopiańskiej Harrendy i nauczył Kamila sterować rękami. Gdy ten jako 12-latek pojechał później na zawody w Szczyrku, zniósł go tak, że leciał nad sędziami, ale wysterował.

KS: „Dziadek” lubił też naszą córkę Natalkę, która biegła z kolei na nartach. Mówił, że tutaj w Zębie powinni być właśnie najlepsi biegacze, bo ludzie na tej wysokości rodzą się już z wyższą wydolnością.

Namawiał nas, żeby Kamila wysłać do szkoły sportowej do Niemiec, bał się, że się tutaj zmarnuje.

BS: Na szczęście wtedy już otworzono w Zakopanem gimnazjum sportowe. W Zębie nie było kiedyś wyciągu. Zjeżdżać

się dzieciom nie chciało, co innego zbudować skocznię. Jeden skoczył tyle, drugiego prasło, zarył nosem, coś się działo. Ja też skakałem, to było naturalne.

Alle jako rodzice nie nakręcaliście tych ambicji.

BS: No skąd! Jeszcze do skoków? Wiedzieliśmy, z czym się to wiąże.

KS: Ze stresem ogromnym.

BS: Krysia siedziała w domu, zajmowała się córkami, a ja jeździłem z Kamilem na zawody. Obserwując, co się na nich dzieje, rozładowywałem stres. Bo widziałem, że się nic nie dzieje. Ładował bezpiecznie, upadki, jak były, to niegroźne. Zona musiała czekać, aż przyjedziemy. Pierwsze patrzyła, czy cały zdrowy wraca, potem dopiero pytała o wyniki.

Zdarzały się u niego momenty strachu?

KS: Strachu nie, ale załamania i zniechęcenia. Związane z błędami trenerów. Jeden naobiecował mu, że go weźmie na pierwszy wyjazd zagraniczny do Finlandii, ale go nie wziął. Proszę sobie wyobrazić małego chłopca, torba już spakowana. Z wrażeń nie śpi, bo przeżywa to, że o drugiego w nocy ma przyjechać po niego trener, i nagle wieczorem telefon od innego trenera, że Kamil nie jedzie, bo jego trener zdecydował, że weźmie innego chłopca.

BS: Płakał całą noc. Powiedziałem mu, że jeszcze będzie miał dosyć tych wyjazdów. Po paru latach mówił: „Tato, miałeś rację, tak mi się nie chce teraz jechać”. Z kolei inny trener kazał mu wypijać półtora litra wody przed skokiem, żeby Kamila, który miał niedowagę, dociążyć.

KS: O różnych złych rzeczach, takich, że nam się jako rodzicom płakać chciało, dowiadaliśmy się z opóźnieniem od innych sportowców lub działaczy. On nigdy złego słowa na trenerów nie powiedział.

BS: Ma taką zasadę, że nie skarży się nawet na warunki, tylko mówi, że on zawalił, on spóźnił.

Znany jest z opanowania.

BS: Zaczął w czasach wspaniałych wyników Małysza, kiedy tę resztę różnie traktowano.

KS: Wcale ich nie traktowano. Byli cieniem.

Dziennikarze uwielbiają porównywać.

KS: Niestety można w ten sposób odebrać dziecku osobowość. Gdy Kamil za-

czynał wygrywać, wszyscy ogłosili go następcą Małysza. A Kamil konsekwentnie powtarzał: „Ja jestem Kamil Stoch. Tworzę własną historię”. Widzę to znów na przykładzie Tomasza Pilcha, którego zaczęto przedstawiać jako „siostrzeńca Adama Małysza”. Po tygodniu już w ogóle nie pamiętałam, jak chłopak ma na imię i nazwisko. Dlatego bardzo zwracamy uwagę od czterech lat, od medali w Soczi, żeby nie było „Stochomanii”, żeby podzielić uwagę na innych skoczków.

Udaje się?

BS: Tak, ale nie dzięki temu, że to blokujemy, ale dlatego, że Kamil sobie z dziennikarzami świetnie radzi i też ich uczy. Dawniej dziennikarzy takich jak Tomaszewski, Hopfer nie trzeba było uczyć, mieli klasę i szacunek do każdego zawodnika, chociaż czasem ten zawodnik sam nie grzeszył klasą. Teraz dziennikarze sportowi często nie potrafią zrozumieć sytuacji sportowca w danym momencie.

Na przykład Adama Małysza u progu „Małyszomanii”, speszzonego chłopaka, niemającego wcześniej prawie kontaktu z mediami ani sławą.

KS: Kamil też nie miał do czynienia ze sławą. Ale dużo czytał, prowadziliśmy otwarty dom, odwiedzało nas dużo ludzi. Jeżeli był tylko w domu – bo najczęściej go nie było – to uczestniczył w różnych dyskusjach, osłuchiwał się.

BS: Dyskusji i muzyki.

Skąd ta Pana pasja?

KS: U Bronka i jego brata Mieczysława to jak u Kamila, od małego.

BS: Na początku lat 70. zaczęliśmy tu urządzać dyskoteki. Czasem ludzie się trochę poprzytulali przy muzyce, nic takiego się nie działo. Jakaś baba podpastryła i doniosła wikaremu, że u Stochów to „sodomia i gomoria”. Proboszcz podchodził do tego z rezerwą, a wikary na kazaniu grzmiał, że to przedsionek piekła. Dopiero nam zrobił reklamę! To była awangarda we wsi, bo puszczaliśmy rocka, Beatlesów, Stonesów, Led Zeppelin, Uriah Heep. Część nagrywaliśmy z Radia Luksemburg.

Z zazdrością spoglądam na tę piękną kolekcję płyt od klasyki po rocka.

BS: Mam ich około 10 tysięcy. Ale jedną z największych kolekcji w Polsce, około 30 tysięcy winyli, ma mój brat. Ze znajomym Japończykiem prowadzi sklep →

→ na Nowym Świecie. Pojawia się w radiowej Dwójce, w audycji „Duża czarna”, puszczając różne unikatowe nagrania. Ja też mam tu z ciekawszych rzeczy na przykład japońską edycję 35 płyt Beatlesów.

Asertywność Kamila jest wrodzona?

KS: Tego się nauczył. Wcześniej dojrzał. Mówił nam o tym „Dziadek” Maruła, że dzieci, które uprawiają ekstremalne sporty, wcześniej dojrzewają mentalnie. Obserwowaliśmy rówieśników Kamila. Między nim a nimi była przepaść.

BS: Wiązaliśmy to właśnie z tym sportem. Bo oni sami zostają na belce startowej. Sami muszą przetrwać to, co za nimi, i co przed nimi. Podjąć decyzję, jak skończyć. To jest właśnie ta dojrzałość.

Wielokrotnie bywało jednak tak, że chude ciała skoczków kryły też wątłą psychikę? Ulegali pokusom, nałogom.

BS: Wojtek Fortuna opowiadał mi, jak to prosto z zawodów sekretarz Komitetu Wojewódzkiego wziął go na koniak. Dzwonił sekretarz z Katowic: „Co tam słychać, towarzyszu?”. „Piję właśnie koniak z mistrzem olimpijskim”. „Ja też chcę z nim wypić!”. I tak Wojtka rozpił.

A czy dla Pana bycie ojcem dorastającego mistrza sportu było też nauką?

BS: Najszybciej uczy konfrontacja z sukcesami i porażkami. Człowiek nabiera dystansu nie tylko wobec tej dyscypliny, ale w ogóle do świata. Gdy ludzie pytają, czy jesteśmy dumni z syna, odpowiadamy, że duma kroczy na szarym końcu. Pierwsze są obawy, troska, niepokoje. Bo to nie jest golf.

Jaką rolę odgrywa w tym wiara?

BS: Jesteśmy nią przesiąknięci jak naturą. Ale wyznajemy ją też w sposób naturalny i skromny, bo demonstracja kojarzy się nam albo z dewocją, albo z fanatyzmem. Staramy się nie przekraczać subtelnej granicy, Kamil zresztą też. Przysnaję się, ale nie manifestuje tego tak, jak w tej anegdocie opowiadanej przez Tischnera o góralu, który mówił, że wziął sobie za żonę jedną z sióstr, a drugą nieboszczkę wziął sobie Pan Bóg: „I teraz my som z Poniem Bogiem szwagrami”.

Znali Państwo ks. Tischnera?

BS: Chodziłem na jego wykłady na Kanoniczą i w Collegium Witkowskiego UJ. Trochę mnie tylko denerwowało, że była to wtedy moda i tłumy waliły na jego trudne wykłady o Heglu. Pamiętam też kazania u św. Anny. W stanie wojennym przyjechałem kiedyś z Warszawy w nocy z soboty na niedzielę z dwiema torbami pełnymi bibuły i nikt mnie nawet nie zaczepił. W niedzielę poszedłem na mszę, a Tischner akurat mówił w kazaniu: „Co z tego, że byli strażnicy przy grobie, jak nie upilnowali”. Przesłanie było takie, że jak będzie siła wyższa, to komuniści nie upilnują.

Otwartość na świat wynika też z międzykulturowych i międzyreligijnych związków w Waszej rodzinie?

BS: Mój brat najpierw był nieformalnie związany z Japonką. Był po filozofii, przez sześć lat mieszkał w Japonii. W Tokio byliśmy z całą rodziną na ślubie ich syna Satoshi. Potem brat ożenił się z Tajwanką, z którą ma dwoje dzieci. Jedna z ich córek uczy chińskiego na KUL-u. Jest po sinologii i filozofii. Nasz zięć jest z kolei Palestynczykiem, choć wychowanym pośród

uchodźców w Libanie. Z córką poznali się na Cyprze. Wnuczek ma na imię Ali i też już jest skoczkiem. Chociaż córka wolałaby, żeby został piłkarzem, nie musiałaby przeżywać tych lęków.

Które z przekazywanych dzieciom wartości były szczególnie ważne?

KS: Szacunek do drugiego człowieka, ale też do przedmiotów.

BS: Tolerancja. W niej jest też dużo otwartości, zrozumienia, pogodzenia się z pewnymi rzeczami. Przed igrzyskami pytano nas, jakie mamy oczekiwania. Powiedziałem, że tylu ludzi ma oczekiwanie wobec Kamila, że przynajmniej ze strony rodziców nie ma żadnych. Czegoż jeszcze oczekiwać?

Sukces i jego ojcowie mogą być wykorzystywani propagandowo. Tak było ze sportem w czasach PRL-u.

KS: Staramy się uciekać z daleka od polityki. Zresztą Kamil nas o to prosił, wręcz błagał, żebyśmy nie wypowiadali się na temat polityki, póki jest czynnym sportowcem. Jako górale jesteśmy oczywiście szulardkowani po jednej stronie. Natomiast wielu górali ma własne, niezależne poglądy. Nie dają się manipulować.

Skoki są dziś jedną z niewielu rzeczy, które jednoczą Polaków.

BS: Może dzięki mądrości i niezależności postaw skoczków. Wśród nich jest Piotr Żyła, który jest innego wyznania, podobnie jak Adam Małysz. Jako drużyna są przykładem ponadideologicznej jedności. Łączymy się tylko z tym, co istotne, z sukcesem i radością, albo ze smutkiem, kiedy coś nie wyjdzie.

© P Rozmawiał BARTEK DOBROCH

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN – Spotkanie „Polak Polakowi bratem”. Gośćmi będą: Paulina Gulińska-Jurgiel, Piotr Fabiś. Czwartek, 8 marca, godz. 19.00, klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46, 10551 Berlin-Moabit).

GLIWICE – Spotkanie z okazji 5. rocznicy klubu. Gościem będzie ks. Adam Boniecki. Prowadzenie Piotr Magosz. Środa, 7 marca, godz. 17.30. Centrum Edukacyjne im. św. Jana Pawła II (ul. Górnych Wałów 3A).

KRAKÓW – Spotkanie „Droga w dialogu”. Gościem będzie s. Anna Bodzińska. Niedziela, 4 marca, godz. 18.00, Sala Konferencyjna HERBEWO (ul. Lubelska 29, IV piętro).

LIPSK – Spotkanie „Braterstwo służb. Stasi i SB w inwigilacji Polaków w NRD”. Gościem będzie Sławomir Buczek – archiwista lipskiego oddziału urzędu ds. akt Stasi. Czwartek, 8 marca, godz. 18.30, salka KOLPINGA w Propsteikirche (Nonnenmühlgasse 2).

WARSZAWA – Spotkanie z cyklu „Czytamy Tischnera”. Temat: „Naprzeciw człowiekowi, czyli ryzyko Pana Boga”. Czwartek, 8 marca, godz. 19.00, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

ANNA

Dziewit-Meller: Przecież teraz ja!



DOŚĆ JUŻ O POLITYCE – POMYŚLAŁAM, WYCIĄGAJĄC ZZA WYCIERACZKI wypożyczonego samochodu ulotkę wyborczą Ligi Północnej, której kandydat wspierany przez jej charyzmatycznego szefa Mattea Salvini obiecuje swoim wyborcom nienawiść do Unii

Europejskiej, do imigrantów, a zwłaszcza do szczepionek. W Lombardii wybory za rogiem, trwa zażarta walka, polityka osacza człowieka zewsząd. Dość jednak – wystarczą mi krajowi wariaci, nie będę sobie zaprzęcać głowy cudzoziemskimi. O nich pomyślę jutro, jeśli wygrają i zmieniają północne Włochy w epicentrum epidemii odry albo gruźlicy.

W tej samej chwili, gdy ciskałam zmiętą w kuleczkę ulotkę do kosza – myśląc o tym, jak łatwo człowiek dąży do samozagłady – GPS w telefonie wskazał mi zaskakujące miejsce do obejrzenia nieopodal. Otóż wszechwiedząca mapa Google – nie wiem, na jakich algorytmów podstawie, a może wiem? – podsunęła mi propozycję ruszenia do miejscowości Laglia. Tam bowiem z odpowiednio ustawionego punktu obserwacyjnego można sobie pooglądać słynną na cały świat willę George'a Clooneya, którą zakupił, rozsławiając okolice jeziora Como tak, że jeśli jeszcze ktoś o nich wcześniej nie słyszał, obecnie raczej nie ma szans nie słyszeć, bo informacje o tym, co porabia George, dla serwisów informacyjnych są wszak istotniejsze niż wieści o bombardowaniach w Syrii.

Kiedy stałam więc nad brzegiem pięknego Como, jak ten – nie przymierzając – wątpliwy *paparazzo* i gapiałam się na, owszem, okazałą willę stojącą na brzegu, myślałam sobie o tych nielicznych bardzo znanych osobach, które zdarzyło mi się w życiu poznać. W głębi serca liczyłam bowiem oczywiście na to, że tym razem los ześle mi George'a, który powie: „Co ty, Anka, tak będziesz tu stała, robimy z Amal frytki, zjesz z nami?”.

Nie zesłał, pozostało mi zatem cieszenie się tymi sławami, com już je poznała. Pierwszym VIP-em mojego życia był panujący wówczas nam wszystkim prezydent Wałęsa. Nie wiem, jakim cudem znalazłam się w okolicach 1 czerwca 1993 r. w grupie zasłużonych dzieci ze Śląska, które zabrano w nagrodę za osiągnięcia na rozmaitych polach na wycieczkę do Warszawy, a *clou* było spotkanie z prezydentem. Przywieziono nas autokarem marki Jelcz do samiuśkiego Belwederu, gdzie odbyliśmy ponadgodzinne spotkanie z Lechem. Pozwolono nam zadawać pytania, przyznam, że zdominowałam wówczas nieco ten briefing, zadając zamiast jednego, na które mieliśmy zgodę, aż pięć pytań, ale pan prezydent nie miał nic przeciwko i gadał, aż miło. Potem robiono nam wspólne zdjęcia. Fotograf sugerował, by przycupnąć skromnie na rozłożystym kolanku prezydenta, ja wyraźnie jednak miałam na to inny plan, gdyż na pamiątkowej fotografii z tamtej chwili przybieram pozę skoczka narciarskiego tuż przed wybicciem się z progu. Jest

to pamiątka kontrowersyjnej urody, ale miłych wspomnień mam moc.

Ze znanych osób, które zdarzyło mi się poznać, a które wcześniej darzyłam prawdziwie fanowskim uwielbieniem, muszę tu wymienić jednego z moich ulubionych pisarzy – Martina Amisa. Otóż swego czasu ten dżentelmen w każdym calu został przeze mnie postawiony w beznadziejnej sytuacji. Albowiem jeden z operatorów, który miał filmować nasz wywiad, zapomniał, że ma przyjść. Szalenie zaskoczony powiedział mi przez telefon, że „dobra, już leci”, ale to potrwa i mam trzymać gościa za fraki i nie dać mu wyjść, bo inaczej będzie kicha. Gdy bliska udaru poszłam poinformować pisarza, że mamy, hm... małe opóźnienie, ten zamiast – czego się spodziewałam – powiedzieć swej agentce, że odmawia współpracy z tą bandą nieudaczników, powiedział, że to dobra okazja, byśmy napili się herbaty i trochę sobie pogadali, co tam, jak tam. Tak też się stało, opowiadałam mu o tym, co tam, jak tam, potem on opowiadał mnie, piliśmy sobie earl grey i było naprawdę przyjemnie. Wywiad się odbył, a nawet można rzec, że udał.

Ale różnie to bywa z tymi sławnymi, zwłaszcza krajowymi. Oto bowiem inny VIP – niech pozostanie anonimowy, ja nie jestem bowiem z tych mściwych – sława polskiego aktorstwa, tuz nad tuzy i mistrz nad mistrze, co to pokolenia go szanują i cenią, podczas jednego z festiwali literackich stał pod sceną, na której akurat prowadziłam spotkanie z szalenie cenionym polskim pisarzem. Od piętnastej minuty spotkania aktor ów nieprzerwanie cedził teatralnym szeptem, co się niósł po sali: „Kiedyż oni na Boga zejdą wreszcie? Ileż to może trwać?! Przecież teraz ja! Kiedy ja wchodzę?!” – co zarówno mnie, jak i pisarza nieco wytrącało z równowagi, tak że faktycznie zleźliśmy ze sceny przed czasem. Może więc lepiej, że George Clooney jednak mnie nie zaprosił. Jak znam życie, okazałoby się, że, ulegając modzie z północnych Włoch, nie szczepi swoich dzieci. Albo za słabo wysmaża frytki. ©

W Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim, w sprawie o sygn. akt I Ns 354/16, toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Pietury, przy udziale Gminy Janów Lubelski, Barbary Grzynekiewicz, Elżbiety Bałdygi, Jarosława Kasprzaka, Mirosławy Nosek, Zbigniewa Wojciecha Cybulskiego, Cezarego Tadeusza Cybulskiego, o stwierdzenie nabycia spadku po Klementynie Pieturze, zm. 2 maja 2006 r. w Janowie Lubelskim i tam ostatnio stale zamieszkałej.

W skład spadku wchodzi nieruchomości składające się z działek o numerach ewidencyjnych: 1901, 1922, 3055/2, o łącznej powierzchni 0,6548 ha, położone na terenie obrębu ewidencyjnego Janów Lubelski Czwarty miasta Janów Lubelski oraz udziały w nieruchomościach składających się z działek o numerach ewidencyjnych: 470, 1469 i 1594, o łącznej powierzchni 0,7698 ha położonych na terenie obrębu ewidencyjnego Janów Lubelski Trzeci miasta Janów Lubelski.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział do sprawy i udowodnili nabycie spadku po Klementynie Pieturze, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

POCHWAŁA CODZIENNOŚCI

S. BARBARA CHYROWICZ, ETYK:

W każdym wyborze jest coś niewybranego, a w każdej miłości coś niekochanego. Nie ma co sobie wmawiać, że trafny wybór to taki, w którym nie ma buntu, bólu, cierpienia i zmagania.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: I co, wszystkie książki stojące w tym gabinecie przeczytała Siostra od deski do deski?

S. BARBARA CHYROWICZ: Jeden z moich kolegów twierdzi, że pokutą pracownika naukowego w czyścicu będzie przeczytanie wszystkich książek, które kupił, a do których nawet nie zajrzał.

A ja mam takiego, który mówi, że inteligent nie musi przeczytać wszystkich swoich książek, ale musi wiedzieć, co w nich jest.
Też ładne.

No to jak? Będzie Siostra zalegała w czyścicu nad tymi książkami?

Gdyby tylko z tego powodu, to pół biedy – rzeczywiście, nie przeczytałam od deski do deski wszystkich książek, które stoją w moim gabinecie.

A co to jest w ogóle za miejsce, ten gabinet filozofa?

To jest, proszę pana, miejsce, gdzie się siedzi i się myśli, a potem czasem pisze. Do myślenia nie potrzeba wielu gadżetów. Trzeba sobie tak urządzić miejsce do pracy, żeby sprzyjało skupieniu, a wszystko, co potrzebne, było pod ręką.

Na przykład maskotki?

No dobrze, rzeczywiście nad pana głową siedzi sobie cała ekipa z Kubusia Puchatka, nieodparty czar Stumilowego Lasu.

Sowy nie ma. Mądrości nie ma!

Sowa nie jest mądra, sowa jest przemądrzała, więc jej tu nie ma. A Kłapouchy to filozof!

Rozumiem, że za sowę w tym gabinecie robi Siostra.

Najzwyczajniej w świecie nie mogłam nigdzie znaleźć sympatycznej sowy, więc ekipa Kubusia Puchatka musi się bez niej obejść. Identyfikuję się z Kłapouchym.

Odkłada Siostra książki na swoje miejsce?

Zdecydowanie tak, w przeciwnym razie multum czasu zabierałoby mi ich nieustanne szukanie. A wracając na moment do kar czyścicowych za nieprzeczytane książki, dodam na swoje usprawiedliwienie, że do pracy potrzebna jest czasem lektura fragmentu książki, więc niekoniecznie czyta się ją w całości. Nie zawsze też czyta się to, co uznaje się za wielce interesujące, niektóre pozycje po prostu trzeba przeczytać.

Prace zaliczeniowe studentów.

Co niestety niekoniecznie jest porywającą lekturą, chociaż zdarzają się chlubne wyjątki.

Studenci umieją pisać?

Coraz rzadziej. Niewielu potrafi pisać pięknym, literackim językiem. Najczęściej to problem ubogiego słownictwa i brak umiejętności przelewania myśli na papier.

Przecież piszą niemal bez przerwy: SMS-y, wiadomości na Messengerze, posty na Facebooku, maile.

Ale to jest „śmiecicowe pisanie”. Maksymalnie uproszczone przekazywanie informacji, w którym nie dba się o formę wypowiedzi. Ortografię poprawia edytor, co się wiąże z anegdotą: kiedyś jeden z naszych doktorantów nie przejrzał pracy po wydruku i znalazł się w niej Tomasz z Akwenu, prawie jak „dama z jeziora”. Stylem nikt się nie przejmuje – byle odbiorca zrozumiał, byle szybko!

Bo jesteście niecierpliwi.

Czego wyraźnym symbolem stają się podskakujące w okienku Messengera kropczki, dające znać odbiorcy, że rozmówca już odebrał wiadomość i właśnie pisze odpowiedź. Lata temu, kiedy jeszcze pisaliśmy listy na papierze, zastanawialiśmy się znacznie gruntowniej nad tym, co pi-



S. BARBARA CHYROWICZ jest etykiem, kierownikiem Katedry Etyki Szczegółowej KUL. Należy do Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego (werbistek). Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Wydała m.in. książki „O sytuacjach bez wyjścia w etyce” i „Bioetyka. Anatomia sporu”.

szemy, świadomi materializowania się naszych słów. Znam nawet takich, którzy najpierw pisali listy na brudno, a dopiero później przepisywali na czysto. Dziś te trzy kropczki na Messengerze krzyczą: już, już, spokojnie, nie irytuj się, odpisuję, zaraz dostaniesz odpowiedź. Odnoszę czasem wrażenie, że pożyteczny skądinąd internet zrobił z humanistów zniecierpliwionych leni – po co czytać całość, jak można znaleźć w internecie streszczenie, wpisać hasło w przeglądarkę i już mam literaturę na temat interesującej mnie problematyki.

Nie tylko internet nam to zrobił.

To prawda. Internet stał się jednak dzisiaj narzędziem, przy pomocy którego można wywierać zasadniczy wpływ na sposób naszego życia i na to, czym żyjemy. A nie żyjemy treściami, które wpływałyby na nas budująco, raczej tym, co nas emocjonalnie pobudza i doprowadza do skrajnych odczuć. Polska polityka jest dobrym tego przykładem.

Od afery do afery?

Tak jest, cały czas coś się musi dziać. Gdy się nic nie dzieje, to czujemy się znudzeni i wyraźnie zaniepokojeni. Bez przerwy szukamy bodźców, które wywołują w nas skrajne emocje. Doprowadzają nas do furii głupie wypowiedzi polityków, wpadamy →

→ w istną euforię, gdy polscy skoczkowie osiągają sukcesy na olimpiadzie, i skreślamy się ze śmiechu, gdy ktoś się przewróci, pomyli, zapomni itd. Internet „lubuje się” w informowaniu o wypadkach osób publicznych. Zupełnie jakbyśmy oduczyli się żyć bez ekscytujących wrażeń.

Codziennosc nie istnieje?

Istnieje, ale mało nas czasem interesuje. Codziennosc nie ma mocy wytrącania nas z równowagi, nie potrafi nami potrząsnąć, dlatego uciekamy od codzienności w świat skrajnych odczuć, stanowczych reakcji, nadzwyczajnych sytuacji itd. Wydaje się nam ona nudna po prostu.

Ostatnio spieraliśmy się w redakcji o polskich himalaistów.

Pewnie nie tylko wy się spieraliście, pół Polski się o to spierało.

Siostra chodzi po górach.

Chodzę i bardzo to lubię.

A po co człowiek idzie...

Pyta pan, dlaczego ludzie chodzą w góry?

Nie, to da się oczywiście zrozumieć.

Ale po co ktoś idzie na jeden z najwyższych szczytów świata zimą, przy minus 50 stopniach Celsjusza?

Bo nikt wcześniej tego nie zrobił! Trochę też w tym polskiej, ułańskiej fantazji.

A myśli Siostra, że potrafilibyśmy sobie powiedzieć, że są takie góry, których nie da się zdobyć?

Wie pan, ja jakoś staram się zrozumieć himalaistów. Pewnie tkwi w nich pragnienie uwiecznienia własnego imienia na liście zdobywców ośmiotysięczników, ale we wspinaczce jest też coś ze zmagania się z samym sobą, z własną słabością, z ograniczeniami natury. Uparł się ktoś, że zdobędzie górę, rezygnuje, wraca, dochodzi do granic własnych możliwości...

Mamy w himalaistach taki obraz herosów walczących o marzenia, jest w tym coś baśniowego, porywającego. Bo może oni przekraczają nieprzekraczalne, żebyśmy my mogli tu na dole żyć sobie spokojnie?

Pewnie tak, nie próbuję osądzać ich decyzji. Myślę jednak, że jeśli ktoś założył rodzinę i nadal podejmuje skrajnie ekstremalne wyprawy w Himalaje, to powi-

nien się zastanowić, czy nie ryzykuje zbyt wiele. Mamy prawo do podejmowania ryzykownych decyzji dotyczących naszego życia, jeśli potrafimy wskazać wystarczającą tego rację, ale himalaista, który zostawił na dole żonę i dzieci, nie ryzykuje już tylko własnego życia. Nawet największy sukces sportowy ojca nie zastąpi dzieciom jego obecności. W życiu mogą się zdarzyć takie momenty, w których większym zwycięstwem od zdobycia góry będzie rezygnacja z jej zdobywania.

To chyba jedna z trudniejszych życiowych decyzji: nauczyć się odchodzić niezapokojonym lub nienasyconym. W ogóle nauczyć się odchodzić...

Wrócić do domu i zajmować się dziećmi?

Może wystarczy zrozumieć, że codzienność jest nader bogata i piękna? Że sinusoida ekstremalnych przeżyć wcale nie jest nam potrzebna, żeby uznać życie za spełnione? Proszę spojrzeć na otaczającą nas przyrodę: zmieniają się pory roku, drzewa spokojnie rosną i umierają stojąc, a człowiek nieustannie „wariuje”. Jakby w krątaninie codzienności nie można było odnaleźć radości życia! Nie mówiąc już o heroizmie, pewnie innym, ale nie mniejszym czasem niż zdobywanie ośmiotysięczników.

Ale jak się iść i być?

Podchodzić konsekwentnie do życiowych wyborów. Z doświadczenia wiemy, że w każdym wyborze jest coś niewybranego, a w każdej miłości coś niekochanego. Nie ma co wmawiać ani sobie, ani innym, że trafny wybór to taki, w którym nie ma buntu, bólu, cierpienia i zmagania. Takie wybory i takie życie po prostu nie istnieje, trzeba zaakceptować niewybrane w wybranym.

A jeśli nie chcę, żeby bolało?

Nikt tego nie chce. Bunt i cierpienie nie mogą być jednak od razu powodem odwołania wcześniejszych wyborów. Trawa na drugim brzegu rzeki zawsze wydaje się nam bardziej zielona, ale kiedy przechodzimy na ten drugi, upragniony brzeg, i odwracamy głowę, żeby się z tamtym z ulgą pożegnać, zauważamy, że właśnie zaczyna się na nim bardziej zielenić.

Nie można chyba w nieskończoność przechodzić z jednego brzegu na drugi?

Nie można – to skrajna niedojrzałość wynikająca tak z nieumiejętności znalezienia własnego miejsca w życiu, jak i z braku akceptacji związanego z wyborem trudu. Nie inaczej jest z wyborem Boga. Pójście za Nim nie jest związane z obietnicą rajy na ziemi. Zbawiciel zapowiedział i ostrzegł, że to wcale nie będzie łatwe, i z doświadczenia wiemy, że nie żartował. Gdzieś u kresu czeka nas niewyobrażalne dobro, ale jeszcze nie dziś. W dojrzałych wyborach akceptujemy związany z nimi, niewybrany i niekochany trud. Czym innym jest zmiana decyzji podejmowana przez nas w procesie szukania własnego miejsca. Znam takich, którzy uznali niektóre kroki za błędne, zaczęli od nowa i była to trafna decyzja; znam też takich, którzy gdziekolwiek pójda, wszędzie im źle. Myślę, że w takich przypadkach to nie problem miejsca, tylko człowieka.

Wiecznie poszukujący – co w tym złego?

W szukaniu nic, ale w szukaniu tego, żeby mi było dobrze, tkwi dużo egoizmu. Pytanie zatem, czego szukamy, kiedy nieustannie zmieniamy podjęte wcześniej decyzje. Czy tego, żeby ludziom ze mną było dobrze, czy raczej, żeby to mnie było z innymi dobrze? Można sobie wyobrazić taki egoistyczny małżeński układ: „biore sobie ciebie za żonę, żeby było mi z tobą dobrze” i „biore sobie ciebie za męża, żeby mi było z tobą dobrze”. A jak nie będzie, to biore walizki i chodu! Bo obietnica została niespełniona! Tak się nie da niczego zbudować, tak w życiu prywatnym, jak i społecznym.

Co to znaczy?

Widzi pan, ja nie jestem uczestniczką życia publicznego, tylko obserwuję i jestem zdziwiona.

Czym się Siostra dziwi?

Tym, jak wielu spraw nie umiemy załatwić. Jak wieloma nieistotnymi sprawami się zajmujemy, lekceważąc równocześnie poważne problemy.

Niedawno mówiła Siostra, że jest zmęczona tematami bioetycznymi. Dlaczego?

W debacie bioetycznej nie ma już dzisiaj żadnej przestrzeni wspólnej, która jest konieczna do dyskusji. Niby do siebie mówimy, niby padają argumenty, ale w prak-

tyce jest to mówienie do ściany. W zasadzie efekt taki sam.

Czemu tak jest?

Nie umiemy się przyznać do tego, że pewne kwestie są najzwyczajniej trudne, że na niektóre pytania trudno znaleźć jednoznaczную odpowiedź, że mamy wątpliwości. Pytanie też, czy nie jesteśmy zbyt zarozumiali sądząc, że na każde pytanie znajdziemy prostą odpowiedź.

No, ale jeśli Wy, inteligencja, nie umiecie rozmawiać, to jak mamy umieć rozmawiać my, zwykli szarzy ludzie?

Myśli pan, że to nasza wina?

Nie wiem. A poruszacie chociaż ważne tematy?

Problem raczej w tym, że nie poruszamy wszystkich ważnych tematów. Dyskusja na temat *in vitro* jest ważna, ale to nie jedyny problem, z którym musimy się dzisiaj mierzyć. Angażujemy się mocno w dyskusję nad jedną kwestią, nie zauważając, że w innym miejscu naszego społecznego życia sięgnęliśmy dna.

W jakim?

Choćby problem dewaluacji danego słowa. Przechodzenia do porządku dziennego nad kłamstwem i bezpodstawnymi oskarżeniami. Braku odpowiedzialności za drugich. Społecznego indyferentyzmu. Nie załamujemy nad tym rąk, jakby nic poważnego się nie działo.

Czyli to Wasza, inteligentów, wina, że my się dziś nie umiemy dogadać!

Filozofowie też niekoniecznie potrafili się dogadać. Arystoteles zostawił Platona twierdząc, że miłszą nad Platona przyjaciółką jest mu prawda. Ks. Tischner powiedział kiedyś odnosząc się do tej starożytnej sentencji, że ważniejszy jest kolega niż prawda, bo prawdę zawsze można znaleźć, a kolegę jak stracisz, to już nie znajdziesz. Może to jest tak, że w naszych dyskusjach nie jest dzisiaj ważna ani prawda, ani przyjaciel, tylko nasza własna racja!

I kto miał rację, Arystoteles czy Tischner?

O, widzi pan: może obaj mieli rację? Bo szukając odpowiedzi na dręczące nas pytania szukamy prawdy, ale to nie znaczy, że mamy odrzucać tych, z którymi się nie zgadzamy. Jak odrzucisz tych, z którymi

S. BARBARA CHYROWICZ:

W przestrzeni publicznej wyciągamy dzisiaj armaty na sprawy o mniejszej wadze, a w sprawach poważnych, np. plagi oszczerstw, bywamy zaskakująco pobłażliwi.

się nie zgadzasz, to nie pomożesz im odnaleźć prawdy. I *vice versa*!

Przyjaźń nas ocali?

W naszych dyskusjach brak dzisiaj często miejsca dla przyjaciół. Przescigamy się w używaniu wielkich słów. Przeciwnik w sporze nie jest już „człowiekiem, który ma inne zdanie” – od razu staje się „wrogiem”. A z wrogami się nie rozmawia, wrogów się zwalcza! Idziemy zatem na wojnę, w której nie bierze się jeńców i wszystkie chwytły są dozwolone.

To prawda, że używamy wielkich słów. Teraz na przykład, gdy ktoś się nie zgadza z papieżem, to od razu twierdzi, że papież głosi herezję. A są i tacy, co już ogłaszają schizmę.

No i dlaczego tak jest?

Trudno powiedzieć. Może wynika to trochę z naszego konfrontacyjnego podejścia do wszelkich debat.

A pewnie trochę z tego, że to, co mówi papież, jednym pasuje, drugim nie pasuje i mamy kolejny powód, żeby się ze sobą spierać. W przestrzeni społecznej nieustannie kogoś o coś oskarżamy, papieża też. Łatwo ferujemy wyroki, jeszcze przed rozeznaniem sprawy ogłaszamy winnych.

Sprawiedliwość być musi!

A i owszem, ale wina jest stopniowalna. Wyciągamy dzisiaj armaty na sprawy o mniejszej wadze, a w sprawach poważnych bywamy zaskakująco pobłażliwi.

Ostatnio straż miejska zatrzymała miejskiego komendanta policji we Wrocławiu. Był pijany i bez butów. Minister Błaszczak zwołał konferencję, na której policjanta

zwolnił ze służby. Wszystko w błyskach fleszy, z wizerunkiem policjanta, jego pełnym nazwiskiem.

To dość kuriozalna sprawa. Jest ewidentne, że komendant powinien się pilnować, zapłacił wysoką cenę za swój błąd. A politycy, którym udowodniono kłamstwo, manipulowanie opinią społeczną i oczernianie innych, dalej spokojnie pełnią swoją funkcję.

Zastanawiam się, co ten policjant musi czuć. Nie wiemy tego, być może upił się raz w życiu? Potknął się i stracił wszystko.

Być może. Cała afera wzięła się stąd, że przypadek został od razu nagłośniony w mediach, brak reakcji zostałby odczytany jako pobłażliwość i policjanta koncertowo zwolniono. Problem ujawniania nie dotyczy dzisiaj tylko karygodnych epizodów z życia osób publicznych. Prywatność totalnie pomieszała się nam z jawnością. Nie umieszczamy już na kłatkach schodowych spisu lokatorów, za to z mediów można się dowiedzieć o najbardziej intymnych ludzkich sprawach: kto z kim, gdzie i kiedy.

Można się śmiać. Tymczasem sprawa jest poważna.

Poważna, bo obsesja jawności połączona z możliwościami monitorowania naszego zachowania (zostawiamy po sobie ślady w sieci) sprawia, że na jaw mogą wyjść sprawy, które należą do sfery naszej prywatności. Znacznie łatwiej nas też dzisiaj skrzywdzić: ktoś coś zauważył, zrobił zdjęcie, umieścił na Facebooku, ktoś coś powiedział...

I w związku z tym sobie nie ufamy.

Nie ufamy i – konsekwentnie – nie zachowujemy się wobec siebie w sposób racjonalny. Oskarżamy, zanim udowodnimy winę, podczas gdy domniemanie niewinności jest jedną z podstawowych zasad obowiązujących w prawie, w moralności tym bardziej. Mamy wokół siebie wrogów, którzy tylko patrzą, jak by tu nam zaszkodzić.

Dlaczego mam domniemywać niewinność?

Dlatego że mimo wszystkich swoich lęków i wad ludzie są dobrzy! Mało? Musimy zacząć się nawzajem po prostu lubić. Musimy, bo inaczej się pozabijamy.

© Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK



MARTIN ŠALY

Bożonarodzeniowy obiad Gminy praskiej: ks. Pavel Hradilek (stoi, w centrum) i bp Jan Konzal (siedzi obok), Hradec Králové, 25 grudnia 2016 r.

W zawieszeniu

TOMASZ MAĆKOWIAK Z PRAGI

Nadal żyją w nieformalnych strukturach, choć represje dawno minęły. Kościół oficjalny milcząco toleruje czeskich katolików z byłego Kościoła podziemnego.

PAVEL HRADILEK SKOŃCZYŁ OPOWIADAĆ o tym, jak katolicy ukrywali się za komuny, jak wyglądało życie prześladowanego Kościoła, kiedy wierzącym zawsze groziła rewizja, więzienie, tortury. Oraz o tym, co z tym katakumbowym Kościołem stało się po upadku komunizmu. Wziąłem głęboki oddech i zapytałem: – Czyli pan się uważa za katolika?

Pytając, starałem się panować nad tonem głosu, żeby nie zabrzmiała w nim nawet nutka prowokacji czy lekceważenia. Mimo to jeszcze zanim skończyłem mówić, już żałowałem swojej pychy.

Na szczęście Hradilek wyglądał na mniej przejętego. Po prostu wzruszył ramionami i odpowiedział: – No oczywiście!

Nieco ponad rok po tej rozmowie zostałem zaproszony na niedzielną mszę katolickiej wspólnoty, której członkowie mówią o sobie „Gmina praska”. Praska – bo

za komuny takie gminy, wtedy tajne, powstawały w każdym większym mieście Czechosłowacji.

No więc, styczeń 2018 r. Praga, ale nie w tym oszalałym pięknym centrum, tylko w blokowiskach z wielkiej płyty, których wszechobecności w tym mieście turyści nawet nie przezuwają. Zimny, niedzielny poranek. Na pustych chodnikach rozdeptany śnieg z błotem, kilku spacerowiczów z psami.

W budynku prywatnej szkoły podstawowej, tuż przed godziną 10 kręcą się ludzie. Jest parę osób starszych, kilku dojrzałych mężczyzn, kobiet oraz kilka dość młodych małżeństw z dziećmi. Te malutkie raczkują po dywanie, starsze bawią się szkolnymi zabawkami, bo spotkanie odbywa się w sali, w której na co dzień uczą się pierwszaki. Jeden z chłopców z wyjątkową zręcznością montuje z plastikowych

klocków sporej wielkości kielich czy też paterę. – Dobrze! Zbierzemy do tego ofiarę! – śmieje się jeden z uczestników i stawia plastikową konstrukcję na stole. Po mszy leżało w niej sporo banknotów.

Spotkanie odbywa się w domowej atmosferze. Siadamy do mszy jak popadnie. Pavel i Jan siedzą pod oknem.

Msza na blokowisku

– Jeden jedyny raz w życiu odprawiałem mszę w ornacie, sutannie, w całym tym stroju liturgicznym – śmieje się Jan. – To była moja pierwsza msza, zaraz po święceniach w Erfurcie, w 1972 r. Potem już zawsze były dzinsy, swetry, koszulki polo.

Tym, co najpierw uderza w tej wspólnocie, to brak sztywnych form. Nikt Jana nie tytułuje, nie sadzają go na tronie ani nie całują w pierścion (którego zresztą nie ma). Jan wygląda po prostu jak sympatyczny, starszy pan, który przyszedł na spotkanie towarzyskie, w swoim granatowym swetrze i filcowych bamboszach.

Mimo to, kiedy zaczyna mówić, reszta milknie. Atmosfery nabożnego posłuszeństwa tu jednak nie ma, więc chwilami nawet Jan nie może dojść do słowa w sporym gwarze, ale jak już spróbuje, to ktoś zawsze spokojnie rzuci: „Hej, Jan chce coś powiedzieć!” – i zapada cisza.

Jan jest biskupem. Mszę odprawia razem z Pavlem Hradilkim. Ledwie zaczęli, a za ich plecami pojawiło się dwoje dzieci,

chłopiec około dziesięcioletni i małeńka, może czteroletnia dziewczynka. Dorośli ich nawigowali, bo dzieci nie wiedziały dokładnie, co mają robić. W końcu jednak wzięły kamienny kielich, dwie ampulki z wodą i winem oraz paterę ze sporej wielkości bułką i przeniosły z parapetu na stół, obok Jana i Pavla.

Msza trwała prawie półtorej godziny, bo tu nikt się nie spieszy. Nie, żeby w kazaniu ktoś sobie pozwalał na głędzenie – przeciwnie, było krótko i rzeczowo. Tyle że na kazaniu się nie kończy, bo po biskupie Janie czy księdzu Pavle także wierni mają swoje do powiedzenia. Czytania, psalmy – wszystko przebiegało sprawnie, bo w ciągu poprzedzającego tygodnia wspólnota podzieliła się nimi drogą mailową. Ten podział wpisano porządnie do sporej tabelki, w której było wymienione, kto, co i w którym momencie będzie mówił i robił. Ale to tylko do pomocy, formalizmu nie czuć tu w ogóle. Długie chwile skupienia, kiedy wszyscy modlą się w ciszy, bez słów, przeplatane czytaniem z mszału modlitwami, a do tego fragmenty zupełnie luźnych rozmów albo podśmiewiania.

Ale na przykład taka Modlitwa Powsechna trwała z pół godziny, bo każdy miał coś do powiedzenia. Wszyscy intensywnie myśleli i dorzucali kolejne intencje. I tak, wiedząc, że z nimi jest też dziennikarz z Polski, członkowie wspólnoty pomodlili się i za Polskę, i za media, i za dziennikarzy.

Jan dzieli palcami chleb na kawałki. Jeden zatrzymuje dla siebie, a resztę podaje Pavlowi. „Pavle, Ciało Chrystusa”. Ten robi to samo, przekazując kamienną paterę swojemu sąsiadowi. Potem podają sobie kielich.

W podziemiu

Kościół podziemny w dawnej Czechosłowacji zaczął powstawać na początku lat 60., choć jego korzenie są znacznie starsze. Działał w warunkach ścisłej konspiracji, a jego członkowie żyli pod wieczną groźbą prześladowań ze strony tajnej policji. Nie trzeba było zbyt wiele, żeby podpaść władzy. Za nielegalne praktyki religijne, za zaproszenie grupy młodych ludzi na dyskusję o Kazaniu na Górze groził pewny wyłot ze szkoły czy z pracy – ale to zwykle była tylko przygrywka. Rewizje, przeszukania, śledzenie, bezprawne zatrzymywanie, przesłuchania, straszenie rodziny, pobicia, w końcu wieloletnie więzienia – to była dla tego środowiska codzienność.

Tajemniczych zgonów też nie brakowało, choć akurat z mordami bezpieczeństwa była ostrożniejsza i dziś, po latach, trudno o dowody. Wszystko to naprawdę działo się całkiem niedawno, tuż za granicą Polski.

Kościół podziemny działał niejako równolegle do oficjalnego Kościoła. Oba się przeplatały, mieszały, personalnie i organizacyjnie. Pierwotnie zaczęto powoływać struktury podziemne na wypadek najgorszego. Miały pozostać w uśpieniu, w oczekiwaniu na czas, kiedy jawny Kościół już przegra ostatecznie walkę z komunizmem, świątynie zostaną zamknięte, a ostatni księża trafią do kryminału albo wymrą.

W Czechosłowacji za komuny Kościół katolicki był wrogiem nr 1 i był świadomie, konsekwentnie i brutalnie niszczone, także fizycznie. Dość powiedzieć, że na początku lat 50. wszyscy czechosłowaccy biskupi zostali internowani, a część z nich uwięziono w obozach koncentracyjnych.

Polak, przyzwyczajony do gazetowych opowieści o „protestanckich” czy też „ateistycznych” Czechach, zwykle z zaskoczeniem przyjmuje wiadomości o katolickiej przeszłości tego kraju. W 1949 r. na terenie obecnych Czech katolicy stanowili 77 proc. ludności. Dziś, według spisu powszechnego do katolicyzmu zgłasza akces około 10 procent. Zwykle wyjaśnia się to skomplikowaną, czeską historią, balastem austro-katolicyzmu i nostalgią za husycką wersją chrześcijaństwa. Czy jednak można uznać, że brutalna, państwowa wojna z Kościołem nie miała wpływu na proces laicyzacji?

Tutejsi katolicy bezwzględnie tępienie Kościoła obserwowali w czasie rzeczywistym i widzieli, że ta polityka przynosi praktyczne efekty. Kościoły, do których chodzili od urodzenia, były zamykane, księża znikali, ewentualnie – rzadziej – wstępowali do kolaboranckiej organizacji Pacem in Terris. Na terenie dzisiejszych Czech przez całe lata 50. działał tylko jeden biskup. Kiedy w 1961 r. zmarł, zabrakło następcy i nie było realnych podstaw, by zakładać, że Kościół przetrwa inaczej niż w podziemiu.

To aż dziwne, że w tych warunkach, w podziemiu, rozwijała się wyjątkowo ciekawa teologia, której najważniejszymi autorami byli księża Oto Mádr (15 lat w więzieniu) i Josef Zvěřina (14 lat). Z ich dziełem związana jest teologiczna koncepcja o nazwie, która mówi wszystko: „teologia Kościoła umierającego”.

Historycy Kościoła podziemnego twierdzą, że przełomowe znaczenie miała dla jego rozwoju tzw. dyspensa meksykańska. Pius XII, widząc, co się dzieje we Wschodniej Europie, udzielić miał już pod koniec lat 40. Kościołowi w Czechosłowacji specjalnych przywilejów, które wcześniej, w czasie ateistycznej dyktatury w Meksyku lat 20. XX w., dostali tamtejsi biskupi. Były wśród nich m.in. zgody na tajne studia i święcenie księży oraz konsekrację biskupów bez wcześniejszej zgody papieża, ale też uproszczenie procedur udzielania sakramentów i zgoda na odprawianie mszy poza kościołami. Udzielenie tych przywilejów było przygotowaniem do przejścia w stan konspiracji. Jednym z pierwszych tajnie konsekrowanych biskupów był František Tomásek – później prymas, który dożył klęski komunizmu i jako bardzo stary człowiek witał w Pradze Jana Pawła II.

Takie były początki tajnego Kościoła w Czechosłowacji. Dorobił się on swoich historyków, którzy nadal wydobywają na światło dzienne losy jego założycieli, działaczy i męczenników. Wiedzy jest jednak wciąż za mało, a nieporozumień, narosłych wokół tego środowiska – za dużo. Dlatego cokolwiek się o tych ludziach przeczyta, powie albo choćby pomyśli, koniecznie trzeba pamiętać o tym, że to Kościół zrodzony z męczeństwa.

Żonaci księża

Jan Konzal pochodzi z południowych Czech, z katolickiej rodziny drobnego urzędnika. Uczył się w szkole z internetem prowadzonej przez redemptorystów, ale w 1950 r. szkołę i zakon zlikwidowano. Dwaj starsi bracia trafili do obozu koncentracyjnego w Králíkach (na granicy z Kotliną Kłodzką; dziś jest tam muzeum obozu). On sam był wychowywany przez religijną matkę w atmosferze – jak mówi – klasycznej, katolickiej tradycji. Chciał zostać księdzem, ale wiedział, że w komunistycznym kraju się nie da. Studiował elektromechanikę, a po zajęciach spotykał się w gronie rówieśników na dyskusjach o Ewangeli.

W 1960 r. dostał za to trzy lata więzienia. – Ja właśnie w tym więzieniu nagle trafiłem do środowiska, w którym ludzie nie mieli pojęcia o Kościele, sakramentach, wierze – wspomina.

To tam, pod wpływem tych ludzi zaczął inaczej patrzeć na Kościół, jego znaczenie i posługę. Dotarło do niego, że ➔

→ w warunkach, w jakich przyjdzie mu przeżyć życie, trzeba walczyć o zachowanie tego, co najważniejsze, ale z wielu rzeczy trzeba będzie zrezygnować. – Trzeba było przemyśleć i dokładnie sprawdzić, co jest istotą katolickiego przekazu, a co jest formą, tradycją, bez której być może trzeba się obejść – opowiada. – Na przykład te sutanny, stuły, ornaty... Mój Boże, udzielałem sakramentu namaszczenia w szpitalu, na sali, gdzie leżało po kilka osób.

Nikt z obecnych ani z personelu nie mógł się dowiedzieć nie tylko, że na sali trwa religijny obrządek, ale nawet tego, że odwiedzający chorego mężczyzna jest księdzem. Dekonspiracja groziłaby nie tylko represjami, ale gorzej – wytropieniem i ujawnieniem całej utajonej struktury.

– Siedziałem obok niego, przy łóżku, rozmawiałem z nim szeptem, czasem gładziłem po twarzy czy dłoni i wykorzystując te gesty udzielałem namaszczenia. Co było robić? Inaczej tego namaszczenia w ogóle by nie było.

Po sowieckiej inwazji w 1968 r. widmo fizycznego końca katolicyzmu w kraju stało się całkiem realne. Ukryci w podziemiu katolicy siłą rzeczy zadawali sobie pytanie: co się stanie, kiedy już nie będzie ani jednego księdza, ani jednego biskupa?

– W tej sytuacji trudno się dziwić, że pojawiła się myśl o wyświęcaniu na księży żonatych mężczyzn, a z biegiem czasu także kobiet – opowiada Konzal.

POZA ARCHIWAMI

Studiował teologię eksternistycznie w Erfurcie w NRD – tam było nieco więcej swobody. Tamtejsza Kuria po cichu pozwalała na tajne studiowanie Czechom.

Konzal chciał zostać księdzem, ale w końcu, w II połowie lat 60. uznał, że się to jednak nie uda, i postanowił się ożenić. Przełożeni z Erfurtu uznali, że widać tak musi być, i nie mieli pretensji. Ożenił się

z katoliczką, także związaną z tajnymi strukturami kościelnymi. Dzieci nie mieli.

I w 1972 r. przyjął święcenia kapłańskie, ale – jak sam mówi – w rycie greckokatolickim. Tam żonaci księży to norma, a Konzal z grekokatolikami zetknął się jeszcze jako dziecko w szkole prowadzonej przez redemptorystów. Właśnie tę cechę grekokatolicyzmu wykorzystywano na początku, wyświęcając żonatych mężczyzn.

W konspiracji niemal niczego nie zapisywano i dziś brakuje dokumentów. Wielu świadków tamtych wydarzeń już zmarło. Księża nie wiedzieli często, kto jest ich ordynariuszem. Tajnie wyświęcony ks. Tomáš Halík o swoim kapłaństwie nie powiedział nawet rodzicom. Dlatego trudno ocenić skalę tego zjawiska, bo część z tych ludzi po upadku komunizmu po prostu zaczęła chodzić do „normalnego” kościoła.

A inni nadal się spotykają prywatnie, choć już bez konspiracji. Jak Gmina praska, która przyjęła nazwę „Wspólna droga”. Tak się przyzwyczaili, takie jest ich doświadczenie życiowe. Mają małe, wypróbowane w czasach prześladowań grupy przyjaciół i znajomych, na których mogą polegać. Chodzą tam, nie ulegając żadnej modzie, zwyczajowi społecznemu czy przyzwyczajeniu. Chodzą, bo wierzą. Za komuny była to siłą rzeczy społeczność ograniczona liczbowo, ale te warunki sprawiły, że ludzi letniej wiary wśród nich nie ma. Wszyscy czytają, wszyscy się modlą, wszyscy się doksztalają regularnie.

– Uważam, że nasze doświadczenie z czasów niewoli jest wyjątkowe i jest wartością na tyle cenną, że należy je zachować – mówi Pavel Hradilek z Instytutu Studiów Ekumenicznych, stowarzyszenia współpracującego z Wydziałem Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Karola. Sam nie kryje krytycyzmu wobec masowej reli-

gijności. Żartuje, że kiedy jako nastolatek, w latach 70., zobaczył tłumy pielgrzymów w Częstochowie, miał ochotę to miejsce zbombardować do fundamentów. – Dopiero potem zrozumiałem, że tam chodzi nie tylko o przeżycie religijne, ale też o to, że dla was, Polaków, to jest miejsce, w którym chcecie być razem, przeżywać wspólnotę. I ja to szanuję, jakkolwiek nie wiem, czy w takiej masie ludzkiej naprawdę da się sprawować liturgię.

Pod presją

Z całego środowiska najgłośniejsze było swego czasu o biskupie Feliksie Marii Davídku (14 lat w więzieniu). To on już pod koniec lat 60. zaczął mówić o konieczności święcenia żonatych mężczyzn. Kilka lat później zaczął to robić, co było m.in. przyczyną podziału wewnątrz podziemnego Kościoła. Davídek miał też wyświęcić kilka kobiet. Zmarł w 1988 r.

Żeby mieć pojęcie o tym, jak podobne decyzje zapadały, warto przypomnieć, w jaki sposób tajnie wyświęcony, greckokatolicki, żonaty ksiądz Jan Konzal został biskupem. Konsekracji dokonał biskup również tajnie wyświęcony i również żonaty – Frydolin Zahradnik. Już po upadku komunizmu twierdził on, że w 1980 r. za pośrednictwem kard. Franciszka Macharskiego Jan Paweł II zgodził się na wyświęcenie dwóch tajnych biskupów pod warunkiem, że wcześniej spotka się osobiście z kandydatami. Nie było przy tym mowy o biskupach żonatych.

Ale w 1981 r. cały kraj obiegała przerażająca wieść o zamordowaniu przez bezpiekę tajnie wyświęconego księdza, benedyktyna Przemysła Coufala i katolickiego studenta Pavla Švandy. W tej sytuacji próby kontaktowania kandydatów na biskupów z Watykanem wyglądały na śmiertelnie niebezpieczne. Zahradnik zdecydował się na konsekrowanie Konzala bez spełnienia wymienionych warunków.

Tyle jednak wynika z opowieści już nieżyjącego Zahradnika. Historia o przekazywanej przez Macharskiego zgodzie Jana Pawła II na święcenie biskupów była potem wielokrotnie podważana i zmieniana, wycofał się z niej częściowo także sam Zahradnik. Jak teraz sprawdzić, co się stało naprawdę, skoro dokumentów nie ma?

Watykańskie sito

Po upadku komunizmu ze święceniami księży z podziemia był problem. Była komisja, badania, sprawdzanie. Część księży

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 277/17 postępowanie z wniosku Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Jaraczewie, o stwierdzenie nabycia przez nią prawa własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Jaraczewie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 755 o powierzchni 0,03,22 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Jaraczewo k. 325.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

żonatych włączono w struktury greckokatolickie. Część miała święcenia powtórzyć albo potwierdzić. Części święceń nie uznano, ale też nie było słyhać, żeby ktoś o nie jakoś szczególnie walczył.

Z relacji ludzi związanych z Gminą praską wynika, że sami zrezygnowali, wyczuwając brak zrozumienia, a często i niechęć. Hradilek też się nad tym nie rozводи, natomiast w trakcie rozmowy raz z goryczą zapytał: – Mamy swoich księży, biskupów, sprawdzonych w czasach prześladowań, znanych nam od lat. I teraz oni by mieli się tłumaczyć przed jakąś komisją, poddawać się ocenom, biurokratycznej procedurze?

Z obecnym czeskim prymasem, kard. Dominikiem Duką (półtora roku w więzieniu) mają coś, co sami określają jako „pakt o nieagresji”: po prostu sobie wzajemnie nie przeszkadzają. Kilka lat temu, na jakiejś uroczystości Duka spotkał się nawet z Konzalem – wszystko odbyło się elegancko, panowie się przywitali, chwilę porozmawiali, powspominali. Duka też był związany z Kościołem podziemnym, wykładał Stary Testament na tajnych kursach, ale w dokończeniu roku akademickiego przeszkodziło mu wtedy aresztowanie.

Związani z dzisiejszym „oficjalnym” Kościołem ludzie o tych z podziemia za bardzo nie chcą rozmawiać. Ich odmowy komentarzy dla mediów wyglądają tak, jakby z jednej strony nie chcieli prowokować Kościoła „oficjalnego”, z drugiej – nie chcieli urazić znajomych, czy nawet przyjaciół z dawnych czasów.

O problemach czy napięciach nie słyhać i to mimo, że pewna grupa wiernych od lat oscyluje między jedną a drugą strukturą. Bywa, że młodzi ludzie, związani z Gminą, chcą się pobrać i żeby uniknąć tłumaczenia się przed rodziną, biorą ślub w kościele „regularnym”. Bywa, że na ich msze przychodzą niektórzy „regularni” księża, którzy pamiętają czas podziemia. No bo niby z jakiej racji mieliby przestać się modlić razem z ludźmi, z którymi sprawowali mszę w czasach opresji?

Wszyscy podziemni księża i biskupi ukrywając się, jednocześnie żyli normalnym, świeckim życiem. Ci ze „Wspólnej drogi” żyją tak do dziś. Konzal jest po prostu emerytowanym inżynierem, Hradilek pracuje w laboratorium fizyki jądrowej. Mieszka z żoną pod Pragę, swoje dorosłe dzieci wspiera w wychowywaniu wnuków.

© TOMASZ MAĆKOWIAK

To już rewolucja

ARTUR SPORNIAK

Jesteśmy świadkami zmiany paradygmatu w Kościele – twierdzi kard. Blase Cupich, metropolita Chicago.

JEST TO GŁĘBOKO DEMORALIZUJĄCE, GDY słyszy się biskupa, który opisuje zadanie nauczania prawd Ewangelii jako ćwiczenie autorytaryzmu lub paternalizmu – bulwersował się amerykański konserwatywny portal „The Catholic Thing”, komentując wykład kardynała Blase’a Cupicha (na zdjęciu) na temat adhortacji „*Amoris laetitia*”. „Pomimo powszechnej krytyki, wypowiedzi kardynała są, jeśli właściwie je zinterpretować, zgodne z tradycyjnymi naukami katolickimi” – broniło hierarchy inne konserwatywne medium – *think tank* „First Things”. Zdaniem tego portalu wszystko zależy od tego, jak rozumiemy rolę sumienia. Co zatem powiedział arcybiskup Chicago, że wywołał spór wśród konserwatystów?

Na zaproszenie Von Hügel Institute Uniwersytetu Cambridge w Wielkiej Brytanii kard. Cupich przedstawił przy pomocy kilku zasad zmianę paradygmatu, którą w Kościele wprowadza adhortacja „*Amoris laetitia*”. „Rodzina jest uprzywilejowanym miejscem Bożego samoobjawienia” – głosi pierwsza zasada. Wynika z niej, że „żadna rodzina nie powinna być uważana za pozbawioną Bożej łaski”. Jeśli naprawę w to wierzymy, Bóg może również być obecny w nieregularnych sytuacjach, także w nowych związkach po rozwodzie. Cupich argumentuje, że chociaż wydaje się to nowym podejściem, jest to zmiana „holistycznie zakorzeniona w Piśmie Świętym, tradycji i ludzkim doświadczeniu”. Kolejna zasada wskazuje, że Kościół nie może po prostu nauczać, musi również uczyć się od rodzin. Cupich twierdzi, że właśnie w takiej równowadze Franciszek dostrzega „sy-



GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

nodalność” Kościoła. Oznacza to „odrzuć autorytarny lub paternalistyczny sposób postępowania z ludźmi, ustanawiającego prawo, które udaje, że posiada wszystkie odpowiedzi lub proste odpowiedzi na złożone problemy”. W rozeznawaniu drogi przez małżonków niezbędną rolę pełni sumienie, które nie tylko rozeznaje przeszłe grzechy i obiektywną prawdę w teraźniejszości, ale także nakierowuje na przyszłość: czego oczekuje ode mnie Bóg? Według kardynała rozwój doktrynalny „polega na spojrzeniu na nauki moralne dotyczące małżeństwa i życia rodzinnego przez pryzmat Bożego wszechmogącego miłosierdzia”.

Blase Cupich ma 68 lat, jest potomkiem choro-wackich emigrantów, którzy przed I wojną światową przybyli do Nebraska. Konserwatywne środowiska widzą w nim „człowieka Franciszka”. W 2014 r. został metropolitą Chicago zastępując uważanego za konserwatywę kard. Francisca George’a. W 2015 r. papież imiennie zaprosił go na synod o rodzinie. Cupich wsparł tam projekt zmian duszpasterskich wobec rozwodników i osób żyjących w stałych związkach homoseksualnych. Angażuje się w debaty publiczne w USA – m.in. popiera ograniczenie dostępu do broni palnej i przeciwstawia się rasizmowi. Jest członkiem Kongregacji ds. Biskupów i Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej.

W tej chwili kard. Cupich zaangażowany jest w organizację cyklu zamkniętych seminariów dla biskupów na temat „*Amoris laetitia*” prowadzonych przez zespół teologów. Swoją udział w seminariach zgłosiło już 47 hierarchów amerykańskich.

© P



Redakcja „Więzi”, Warszawa, 19 lutego 2018 r.

Pomocnicy Szefa

JERZY SOSNOWSKI

„Więź” jest potrzebna, bo to, co jeszcze niedawno stanowiło zasadniczy ton w polskim Kościele, czyli posoborowa otwartość, zostało w XXI wieku zastąpione przez groteskową recydywę nacjonal-katolicyzmu z lat 30.

TO PISMO, ZDAJE MI SIĘ, ISTNIAŁO DLA mnie od zawsze – w istocie jest starsze ode mnie – i pojawiło się w moim życiu miękko, nie na zasadzie osobistego odkrycia, ale przyjęcia do wiadomości, że wśród innych spraw oczywistych dla moich rodziców (reprezentantów Dorosłości) jest też i ta. Do tego trzeba dodać, że „Więź” zwyczajnie myliła mi się wówczas z krakowskim „Znakiem” (format obu tych miesięczników i ich charakter był przez lata bardzo podobny) i funkcjonowała w moich oczach licealisty, a potem studenta raczej jako środowisko niż czasopismo. Było to środowisko (jako się

rzekło, długo nieodróżnialne od środowiska „Znaku”) w oczywisty sposób budzące zaufanie, ale też długo niekontrowersyjne. Albo inaczej, bo chyba źle to ująłem: stanowiące alternatywę dla środowisk akceptujących komunizm, które za sprawą mojego śp. nauczyciela, prof. Ireneusza Gulgulskiego, odbierałem z roku na rok coraz bardziej krytycznie, natomiast niestanowiące alternatywy dla tego, co się działo w moim Kościele.

Widziałem go bowiem jako Kościół „otwarty”, życzliwy dla rozmaitych idei niekoniecznie katolickiej proveniencji – a jeśli trafiałem na księży, którzy poza

katolicyzmem nie widzieli dobra (zaś w katolicyzmie – żadnego zła), to uznawałem ich za ubolewania godne pojedyncze przypadki, nie za reprezentantów jakiegoś innego niż „Więź” nurtu. Tę dziwną, z dzisiejszej perspektywy, wizję zawdzięczałem niewątpliwie dacie urodzenia i mogę chyba powiedzieć w liczbie mnogiej: my, katolicy zaczynający się rozglądać po świecie w drugiej połowie lat 70., wychowywaliśmy się w Kościele o szerokich horyzontach, trzymającym się zasady wyłożonej *expressis verbis* przez papieża Polaka: że „człowiek jest drogą Kościoła”, a nie odwrotnie.

Odległe wyspy

Tę sielankę zakłócił stan wojenny, który mam za źródło zła ciągnącego się aż do dzisiaj nie tyle nawet dlatego, że złamał „ruch odnowy” – przez ostatnie miesiące 1981 r. czuło się, że karnawał i tak dobiega końca, pytanie brzmiało nie „czy”, tylko „kiedy” – ile dlatego, że pozbawił nasze społeczeństwo poczucia jakiegokolwiek sprawczości, a ponadto sprowokował do podziałów, zastraszających się w kolejnych dekadach aż do dzisiejszego absurdu. Wkrótce zresztą ze względu na osobiste przeżycia wpadłem w wieloletni kryzys światopoglądowy i na „Więź”, jak też na „Znak” i „Tygodnik Powszechny”, patrzyłem jak na kołyszące się na powierzchni morza butelki z listami pochodzącymi z odległych wysp. Kościół zaś jako taki jawił mi się (mówię już o końcówce lat 80.) jako miejsce skażone tym, co w moich oczach cechowało niestety także większość znanych mi środowisk opozycyjnych: domaganiem się, żeby maszerować w nogę. W dodatku do coraz bardziej wątpliwej melodii.

Spotkanie

Wszystko to się zmieniło za sprawą poznania abp. Józefa Życińskiego, który natknąwszy się w 2000 r. u Krzysztofa Zanussiego na zbliżającego się do czterdziestki dość wyszczerzanego agnostyka wprawdzie, ale niepozbawionego jakiegś inklinacji religijnej (to znaczy na mnie), zamiast uznać, że z wysokości arcybiskupiego tronu z gówniarzerią się nie dyskutuje, zaprosił go do Lublina na I Kongres Kultury Chrześcijańskiej. Jechałem na KUL z poczuciem, że jadę co najmniej do jaskini lwa – moja ministrancka przeszłość nie zmieniła faktu, że, jak niebezpiecznie sądziłem, o znacznej części spraw mam zdanie inne niż wszyscy

tam spotkani – ale tam właśnie zagadał do mnie ksiądz Andrzej Luter, z którym odtąd (mam nadzieję, że mogę tak powiedzieć) połączyła nas przyjaźń. *Nota bene* wziąłem go zrazu – nie wiem, czemu – za jezuitę, co akurat w moich ustach było komplementem, bo jezuitów, mimo antyjezuickich legend sprzed stuleci, cenię i lubię niejako *a priori* (może od razu dodam, że dominikanów też). A przez Lutra trafiłem do lokalu przy ul. Kopernika (przeprowadzka nastąpiła później), gdzie z kolei poznałem się ze Zbyszkim Nosowskim, Kasią Jabłońską i innymi członkami redakcji.

Zbyszek zaproponował mi napisanie tekstu o „Traktacie teologicznym” Miłosza, którym to poematem się wtedy zafascynowałem, potem Luter wyszarpał ode mnie do druku (pisany pierwotnie dla samego siebie) esej „Mały Lebidew 2001”, aż w końcu otrzymałem propozycję wejścia z felietonem na miejsce Julii Hartwig. Ho, ho, takich propozycji się nie odrzuca. Zwłaszcza że tymczasem z wielu powodów moje oddalenie się od katolicyzmu zmalało do rozmiarów łatwych do pominięcia. Kiedy po drugiej stronie widzi się same wady, trudno się pogodzić. Kiedy uświadomić sobie, że w porównaniu z własnymi wadami tamte wady są naprawdę drobne, rodzą się warunki do zakończenia sporu. I tak się właśnie stało.

Otwarta ortodoksja

Z tym, że mój powrót do Kościoła chyba właśnie nie byłby możliwy, gdyby nie twarze nowych przyjaciół z „Więzi”. Zjawiska, które krytycznie oceniałem na przełomie lat 80. i 90., przecież nie znikły, raczej przeciwnie; i poza chęcią dogadania się z Szeferem niezależnie od jakości personelu, poza potrzebą odzyskania w życiu rytmu, który podsuwa liturgia, działało poczucie, że póki mieszczą się w tym Kościele ks. Luter, Zbyszek, Kasia i inni – i póki nie uważają mnie za grzeszne monstrum, które od ich szlachetnego kręgu powinno się trzymać możliwie daleko – póty moja obecność kilka kroków za nimi jest wyborem właściwym. Zaczęliśmy razem pracować, po pewnym czasie doproszono mnie do składu redakcji; publicznie głosiłem (i głoszę dalej), że spotkanie z nimi to zawodowo bodaj najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Sześćdziesięcioletnia jubilatka – „Więź”, której pierwszy numer wydano w lutym

1958 r., a która od 2013 r. ukazuje się jako kwartalnik – ma dziś niełatwą sytuację. Stroniąc od takich form finansowania, które mogłyby rzucić choć cień podejrzenia na jej niezależność, utrzymuje się na granicy bezpieczeństwa ekonomicznego. Co gorsza, to, co stanowiło zasadniczy ton w polskim Kościele (tak się przynajmniej zdawało przed laty), a mianowicie posoborowa otwartość i nawet pewnego rodzaju centrolewicowe (niekomunistyczne) odchylenie, zostało w XXI wieku zastąpione przez groteskową recydywę nacjonal-katolicyzmu z lat 30. „Otwarta ortodoksja” „Więzi”, „Znaku” czy „Tygodnika Powszechnego” znalazła się w defensywie wcześniej, ale analogicznie do defensywy, w której pozostają od dwóch lat krytycy tzw. „dobrej zmiany”. Przeobrażenia mentalne polskiego katolicyzmu z czasów po *Vaticanum II* okazały

się, niestety, powierzchowne. W redakcji zdarza nam się spierać, co z tym fantem zrobić. Jedno jest pewne: sześćdziesięcioletka musi zakasać rękawy i poczuć w sobie młodzieńczą energię, żeby znów przekonywać innych. Ludzie, którzy uważają, że musi istnieć trzecia droga pomiędzy wolnościowym ateizmem (w stylu „Aborcja jest OK”) a (pseudo)religijnym zamordyzmem (w duchu „Polak to katolik”), powinni trzymać za nas kciuki... a właściwie to się pomodlić. ©

JERZY SOSNOWSKI (ur. 1962) jest historykiem literatury, pisarzem, publicystą oraz dziennikarzem telewizyjnym i radiowym. Członek redakcji kwartalnika „Więź” oraz Zespołu Laboratorium „Więzi”. Jest autorem kilkunastu książek. Za esej „Co Bóg zrobił szympansom?” nominowany do Nagrody Literackiej Nike 2016.

POZEGNANIE

ś.†P.

Zofia Albina Włodek z Dąbrowicy

historyk filozofii i teologii, mediewistka,
prof. zw. dr nauk humanistycznych PAN,
członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności,
wiceprezes Société Internationale pour l'Etude de la Philosophie Médiévale,
członek Komisji Filozoficznej Krakowskiego Oddziału PAN,
członek Komisji Neolatynistycznej Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej PAN,
członek Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Filozoficznego,
członek Towarzystwa Naukowego KUL,
wieloletnia wiceprezes Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego Oddział Kraków,
członek zarządu Salisbury Educational & Charity Fund,
współzałożycielka Fundacji im. Marjorie Salisbury,
współfundatorka Fundacji im. Jana i Zofii Włodeków,
członek komitetu redakcyjnego Przeglądu Tomistycznego,
uhonorowana licznymi odznaczeniami,
działaczka charytatywna i społeczna,
dobry i mądry człowiek.

Urodzona w Krakowie 30 sierpnia 1925 r.

Zmarła w Krakowie 19 lutego 2018 r.

Pogrzeb z Mszą św. odbędzie się na cmentarzu Rakowickim
w piątek 2 marca o godz. 12.20.

RODZINA, PRZYJACIELE

ORAZ

RADA I ZARZĄD FUNDACJI IM. JANA I ZOFII WŁODKÓW

Instrukcja wspominania

SZYMON HIŻYCKI OSB

Czy mnisi i święci z początków Kościoła czegoś mogą nas nauczyć? Przyjrzyjmy się im – dzisiaj spotkamy Jana Kasjana.

ROZMAWIA DWÓCH KSIĘŻY.

– Wolisz Kościół przedsoborowy czy posoborowy?

– Jasne, że przedsoborowy.

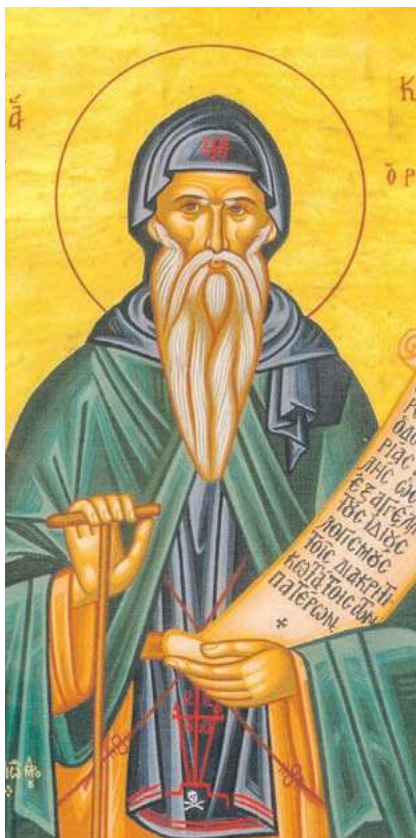
– Dlaczego?!

– No, wtedy byłem młodszy.

Wszystkich nas ciągnie do wspomina-
nia – bez względu na to, czy mamy 16, czy
90 lat, zawsze ciągnie nas do przeszłości,
kolorowej, szarej, ale zawsze naszej. Każde
nasze wspomnienie rozpoczyna się tak
samo: „A kiedyś to..., a kiedyś tamto...”.
I w sumie niewiele nas obchodzi, że ludzi
męczą cudze wspomnienia. Ciężko nam
się żyje z własnymi, po co jeszcze na kark
brać czyjeś?

Z czego to wynika? Chyba przede
wszystkim z tego, że takie wspomnie-
nia są czasami podszyte albo niechęcią
do teraźniejszości („O, kiedyś to było!
Teraz to wy, młodzi, nic o życiu nie wie-
cie...”), albo samouwielbieniem wspomi-
nającego. A tymczasem, co tu kryć, świat
trwa dalej i bez naszych wspomnień, bez
bardzo bogatych oraz inspirujących do-
świadczeń.

Jan Kasjan (zm. ok. 430 r.) był pod każ-
dym względem człowiekiem niezwy-
kłym. Urodził się na pograniczu Bułgarii
i Rumunii. Jako młody chłopak wraz ze
swym przyjacielem Germanusem uciekł
z domu do Palestyny, aby zostać mni-
chem. Usłyszawszy, że prawdziwi mnisi
mieszkają w Egipcie (jak widać, już wtedy
mnisi bywali mniej lub bardziej praw-



Święty Jan Kasjan

dziwi), bez wahania udał się tam, aby
poznać tych najwybitniejszych. Później
angażował się m.in. w obronę św. Jana
Chryzostoma; w tej sprawie jeździł aż do
Rzymu. Tam zapewne poznał diakona

Leona (późniejszego papieża, św. Leona
Wielkiego). Miał więc co wspominać, tym
bardziej że długo znajdował się w samym
oku cyklonu sporów swojej niespokojnej
epoki. Z jakim zainteresowaniem czyta-
łoby się plotki o słabościach cesarza Ar-
kadiusza, o intrygach pałacowych, które
doprowadziły do śmierci św. Jana Chry-
zostoma; o ile bogatsza byłaby nasza wie-
dza o Rzymie czy sporach z Nestoriuszem,
gdyby Kasjan uszczknął coś niecoś ze swo-
ich wspomnień! A tymczasem jego takie
plotkowanie nie interesowało; nie potrze-
bował poklasku, nie był starożytnym ce-
lebrytą. Podzielił się za to z nami czymś
innym: wspomnieniami z czasów, w któ-
rych był bardzo młody. Mówi nam po-
dziś dzień o ludziach „pijanych Bogiem”,
przypomina, że życie jest ulotne, a pogoń
za sławą oraz mieszanie się w intrygi nie
prowadzą do niczego.

Kasjan wspominał na zamówienie.
Brzmi to trochę zaskakująco, ale faktem
jest, że jego dzieła powstały tylko dla-
tego, że prosili o nie mieszkający w są-
siedztwie biskupi, których z Kasjanem
łączyły, jak się wydaje, mocne więzy. Po
drugie, nasz autor pisał z dużą autoironią:
nauczającymi i pytającymi są zawsze inni
– jego przyjaciel Germanus, mieszkający
w Egipcie, wielcy mnisi oraz, co często się
pomija, Pismo Święte (*sic!*): właśnie Słowu
Bożemu Kasjan zostawia wiele miejsca,
cytuje je chętnie i obficie, pozwalając, aby
przemawiało do czytelników i słuchaczy.
Na koniec dodajmy: Kasjan nie wydawał
się szczególnie przywiązany do swoich
wspomnień. W istocie jest go tam mało;
bardziej chodziło mu o unieśmiertnienie
wielkich Ojców Pustyni oraz o pożytek po-
wierzonych jego pieczy mnichów. Cele te
osiągnął bez budowania sobie pomnika
trwalszego nad spiżę.

Innymi słowy: skoro już bierze nas na
wspomnienia, to wracajmy do tych mo-
mentów, w których zrozumieliśmy, że
Bóg faktycznie powinien być na pierw-
szym miejscu, do naszych błędów i grze-
chów; wyciągajmy z nich praktyczne
wnioski, dzielmy się mądrościami tych, któ-
rych spotkaliśmy, mówmy, ile zawdzię-
czamy naszym mistrzom, ale niech nas
samych i naszej złudnej wielkości w tych
wspomnieniach będzie jak najmniej. ©

O. SZYMON HIŻYCKI (ur. 1980) jest
opatem klasztoru benedyktynów w Tyńcu,
patrologiem i badaczem początków monasty-
cyzmu.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym,
pod sygn. akt I Ns 246/17, toczy się postępowanie z wniosku Getin Noble Bank S.A.
w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Brytańczyku, s. Józefa
i Anny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Karolkowej 59/18, ur.
17 kwietnia 1952 r. w Prudniku, zm. 17 kwietnia 2015 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się
niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w prze-
ciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia:

Młodzieńcza polityka



NIE MOGĘ WYJŚĆ Z ZACHWYTU NAD TAKTYCZNYM sprytem duchownych z pobliskiej parafii, którzy wiedząc, iż niemile widziane bywa mieszanie polityki do kazań, pomyślowo wszczepiają partyjne co nieco treści w inne miejsca liturgii. Zwykle – w ogłosze-

nia duszpasterskie, gdy znakomitą okazją, by wyjaśnić owieczkom, który z politycznych charakterów jest czarny, a który lśni bielą niczym sen dziewicy, staje się chwila na promocję katolickich magazynów (zwłaszcza dwóch), zawierających często pokażne dawki partyjnej propagandy. Z ambonki leci wtedy zwyczajowy referacik: pan prezydent jako święty Stanisław i święta Teresa w jednym, umiłowany rząd na drodze krzyżowej do zbawienia nas wszystkich, Piłaci i Herodzi z Brukseli – tę śliczną bajeczkę słyszałem dziesiątki razy, nuda, wrażenia żadnego nie robi.

Co innego poobserwować, jak celebrans próbuje zmieścić wszystko, co mu się publicystycznie ulewa, w wymuszające jednak pewną lakoniczność ramy Modlitwy Powszechnej. Gdy w ubiegłym roku trwały w Polsce protesty przeciwko reformie sądów, osobiście słyszałem (w warszawskiej bazylice św. Krzyża i u służewskich dominikanów) kapłanów modlących się podczas Eucharystii „o opamiętanie dla demonstrowujących”, „o zaprzestanie jętrzenia i siania nienawiści do władz”. Parę tygodni temu w czasie niedzielnej mszy we wspomnianej parafii dodałem zaś do swojej kolekcji inny sympatyczny trick. Wezwanie Modlitwy Powszechnej brzmiało w oryginale: „Módlmy się za rządzącymi naszym krajem, aby zawsze byli wierni wartościom Ewangelii”. W miejscu, w którym autor przewidział kropkę, celebrans ułokował przecinek, dodając: „Tak, jak zresztą starają się to czynić”.

Historia z księdzem, który decyduje się podczas Eucharystii wyznaczyć uczucie władzy świeckiej, zdarza mi się może raz na kwartał. Jednak zawsze, kiedy mnie to spotka, mam wrażenie, jakbym słuchał własnego syna (którego jeszcze nie mam), relacjonującego mi swoją gimnazjalną miłość. Swoje pierwsze, młodzieńcze tożsamościowe identyfikacje („Tatko, nasi mają rację! Ja z nimi razem stawać będę do ostatniej kropli krwi! Wroga z sąsiedniej kamienicy tępić będziemy! Ja nie chcę do szkoły, na studia – polegnę dla honoru podwórka!”). Tak samo u niektórych dziennikarzy i polityków tej opcji – nieodmiennie pobrzmiwa mi w ich odezwach coś nastoletniego. Ani przez chwilę (piszę to na serio) nie wątpię w ich (precyzyjnie: większości z nich) szlachetność, mam jednak wrażenie, że rzeczywistością, którą im powierzono, zarządzając czasem przy pomocy gruczołów dokrewnych. Zamiast obrabiać ją mózgiem i myślą, częściej kierują się swoistymi socjohormonami.

Słowo daję, na starość opracuję tę teorię z detalami. Wykażę, jak na początku XXI wieku w Polsce na śmierć i życie ścierały się ze sobą wisceralna teoria robienia polityki, oparta na zaspokajaniu wyłącznie konsumpcyjnych potrzeb płynących z trzewi, z ową teorią hormonalną. W myśl tej ostatniej społeczne życie to pasmo pobudzeń, a jego sens polega na zarządzaniu cyklem wzmożeń. A przecież gdy się człowiekowi wzmoże, nic innego nie jest zgoła ważne. Nie jest przecież ważne, że pół Polski ma inny pogląd na wszystko, dwie trzecie warszawiaków na pomnik smoleński, 27 krajów Unii Europejskiej na naszą praworządność, USA z Izraelem i większością świata na awanturę wywołaną nieprzemyślaną ustawą – nie jest ważne nic poza tym, co czujemy my, w środku. I dopóki będziemy to czuć, poświęcimy w imię tego wszystko: przyjaźnię, reputację, perspektywę. Mogą nam mówić, że nie warto, ale to jeszcze tylko wzmocze naszą determinację. Bo skoro z nami walczą, to znaczy, że jesteśmy ofiarami. A ofiara z definicji jest moralnie wyższa i szlachetna.

To zresztą w obecnie rządzącym środowisku druga obowiązująca nuta – w iluż już debatach widziałem, że ci ludzie nadal z pełnym przekonaniem lękają, iż tłamszą ich i wypychają do katakumb „elity”, „władze”, „salon”. Zanoszą się lamentem rozszarpywanych na arenie męczenników, nie dostrzegając drobiazgu – tego, że od dwóch lat to oni w Polsce są cezarem. To oni mają stanowiska, nagrody i order, kasę ze spółek, nadwornych poetów, malarzy, muzyków, swoje osobiste media.

Szczerze wierzę w patriotyzm na przykład pana premiera. Obserwując jednak jego zachowanie w ostatnim konflikcie (wokół ustawy o IPN), miewam wrażenie, że mówi przezeń młodzieńiec, który wyniósł z domu szlachetne nastawienie, ale teraz zarządzać musi krajem, a nie drużyną harcerzy o podobnym ideowym DNA. Dobrze, że wierzy w to, iż mamy rację, że chce bronić imienia, że mu zależy. Ciekawe, czy wie już jednak, że na tych wysokościach władzy racji moralnej nie wystarczy mieć, bo trzeba ją jeszcze umieć tak mieć, by to budowało, a nie niszczyło relacje z innymi. Trzeba też wiedzieć, że zajmując się tak dziarsko obroną praw do spraw sprzed lat siedemdziesięciu, nie można przegapić rozpadającej się teraźniejszości. To ważna rzecz – by wiedzieli to przywódcy kraju, który jeszcze nigdy, odkąd rządzi się demokratycznie, nie był tak wewnętrznie i zewnętrznie skłócony. I nie, nie pociesza mnie popularna obecnie refleksja, że przecież w latach 30. XX wieku w Polsce i na świecie było gorzej – wtedy to dopiero był antysemityzm, nierówności społeczne, zamordyzm.

A żeby ten tekst skończyć jednak jakoś do przodu, a nie tylko jęcząc: w poprzednim numerze „Tygodnika Powszechnego” (w Obrazie Tygodnia) o. Jacek Prusak przywołał i analizował (jak dla mnie – rewolucyjną) myśl papieża Franciszka, który powiedział, że wspomniana już Modlitwa Powszechna powinna być nie tyle momentem, w którym prosimy Boga, by spojrział na ten świat naszymi oczami, co naszą próbą spojrzenia na ten świat Jego okiem. Nie wyrzucaniem z siebie pragnień, przekonania i wzburzenia, ale zastanowieniem się nad tym, czego On może dla nas dzisiaj chcieć. A więc może: „Nie od wrogów nas wybaw, ale od nas samych. Ciebie prosimy: Wysłuchaj nas, Panie”.

©

NAPRZÓD, WŁOCHY

Po wyborach 4 marca Italią tak czy owak będą rządzić populiści.
Ci związani z Berlusconiem okazują się
najłatwiejsi do oswojenia.

PAWEŁ BRAVO



POCZĄTEK MARCA BĘDZIE BARDZO WAŻNY dla Europy. Mamy referendum wewnętrzne SPD na temat koalicji rządowej [w Niemczech] i wybory we Włoszech. Najbardziej boję się o te wybory. Musimy być gotowi na najgorszy scenariusz, czyli włoski rząd, który nie będzie w stanie działać. (...) można się spodziewać silnej reakcji rynków w drugiej połowie miesiąca". Nie trzeba było czekać aż tyle, żeby słowa przewodniczącego Komisji Europejskiej Jean-Claude'a Junckera przyniosły pierwsze rynkowe konsekwencje: indeksy giełdy w Mediolanie natychmiast poszły w dół, wzrósł za to spread włoskich obligacji rządowych, czyli różnica w ich oprocentowaniu w stosunku do papierów skarbowych Niemiec.

Skok był niewielki, ale Włochom, ilekroć słyszą tę nazwę, ciarki chodzą po plecach – zbyt świeże są wspomnienia tego, jak wzrost spreadu wyznaczał dla opinii publicznej rytm czarnych dni kryzysu zadłużeniowego strefy euro w 2011 r. Inwestorzy i spekulanci pozbywali się włoskich obligacji i wydawało się, że za chwilę włoskie państwo zbankrutuje, co mogło skutkować załamaniem całej strefy euro. Wszyscy śledzili notowania i prześcigali się w zakładach, ile jeszcze łajba wytrzyma – wiadomo było bowiem, że choć użytkownicy wspólnej waluty uratowali przed niewypłacalnością Irlandię i Portugalie, to Włochy są za dużym krajem i za duża była ich dziura finansowa.

Skutek polityczny był taki, że pod naciskiem partnerów europejskich – czytając: Niemiec, bo to od ich pieniędzy zależało wówczas w Europie wszystko – udało się jesienią 2011 r. przegonić ze stanowiska premiera Silvia Berlusconi. Nie wiadomo dokładnie, co powiedzieli sobie wówczas w rozmowie Angela Merkel z ówczesnym prezydentem Giorgiem Napolitano (oficjalnie pani kanclerz „wyraziła zaniepokojenie, czy ówczesny rząd będzie w stanie przeprowadzić reformy wystarczająco głębokie, by pobudzić wzrost gospodarki”). Faktem jest, że wkrótce po niej prezydent wezwał do siebie premiera, a ten po paru tygodniach, przepchnąwszy przez parlament budżet na następny rok, podał się do dymisji.

Były premier Włoch Silvio Berlusconi, przewodniczący partii Forza Italia, przed studium telewizyjnym w Rzymie, 21 lutego 2018 r.

Młodzi eurosceptycy

Nawet jeśli Włosi raczej nie dawali przez następne lata posłuchu spiskowym opowieściom o Berlusconi obalonym pośrednio przez Berlin i Brukselę, to ostatnia wypowiedź Junckera budzi w Rzymie proste skojarzenia. Dziś co prawda spread jest wciąż na niegroźnym poziomie stu parudziesięciu punktów (w 2011 r. poszybował do 574, a mówiło się, że 600 to ostateczna granica), gospodarka rośnie, choć znacznie wolniej niż w reszcie strefy euro, ale z Brukseli od dawna płyną oznaki niepokoju. Tyle że dziś nie o ryzyko finansowej zapaści idzie, lecz o znacznie trudniejszą do opanowania huśtawkę nastrojów.

Kiedyś był to kraj najbardziej prounijny z grona pierwszych założycieli Wspólnoty: wskaźniki poparcia dla integracji były zawsze powyżej 70 proc., a istotna część klasy politycznej hołdowała ideom pełnego federalizmu (w duchu Altiera Spinello, jednego z wpływowych twórców powojennej demokracji). Dziś dwa z trzech głównych podmiotów liczących się w najbliższych wyborach głosowały w kampanii hasła eurosceptyczne. Co prawda na ostatniej prostej ton uległ złagodzeniu i już nikt poza Ligą Północną nie mówi wprost o porzuceniu wspólnej waluty, ale wszyscy patrzą w sondaże. Na pytanie, czy w ogólnym rozrachunku kraj zyskał na członkostwie w Unii, „tak” odpowiada tylko 39 proc. i jest to najniższy wynik w całym bloku (dla porównania, Polska jest piątą w ranking: 84 proc. odpowiedzi pozytywnych).

Jeszcze gorzej sytuacja wygląda, jeśli spojrzeć się na dynamikę wiekową. Im młodszy Włoch, tym bardziej eurosceptyczny: równo połowa wyborców poniżej 45. roku życia zagłosowałaby w referendum za wyjściem z Unii, podczas gdy wśród starszych wyborców wskaźnik ten wynosi tylko 26 proc. Ma to na pewno związek z tym, że ci młodzi ludzie przez czas swego dojrzewania widzieli właściwie tylko osuwanie się ojczyzny. Od 2005 do 2016 r. dochód na głowę w przeliczeniu na parytet siły nabywczej spadł ze 109 proc. unijnej średniej do 97 proc. (w Polsce w tym czasie wzrósł z 50 do 68). Włochy mają też najwyższy w Unii – wraz z Grecją – odsetek ludzi do 34. roku życia nieuczących się i niepracujących, stąd aż 65 proc. z nich mieszka nadal z rodzicami. Jednym z najgłośniejszych hasel wyborczych był zgłoszony przez centrolewicę projekt zapomogi 150 euro miesięcznie dla każdego

z tych „młodzieńców”, który zdecyduje się usamodzielnic.

Bruksela je żabę

Kiedy pod koniec 2016 r. ówczesny premier Matteo Renzi z Partii Demokratycznej – jedynej, która nigdy nie próbowała nawet flirtować z nastrojami antyunijnymi – postanowił zdjąć gwiazdzone flagi zza stołu, gdzie odbywają się konferencje prasowe, w Brukseli zrozumiano, że Włochy zaczynają się gdzieś wymykać. Stąd też ostatnia wypowiedź Junckera. Należy ją zapewne uznać nie za niefrasobliwe igranie z giełdowym ogniem, tylko za zimno skalkulowaną próbę postraszenia włoskich wyborców: pamiętacie katastrofę spreadową sprzed siedmiu lat? No to teraz bądźcie rozsądni przy urnach i nie zapominajcie, że wasze pieniądze, nawet jeśli narzekacie, że jest ich mało, zależą od nas.

Jedno się tylko zmieniło – kwestia, kto mianowicie ucieleśnia rozsądek. Jest to Silvio Berlusconi, niezatapialny 81-latek o wyglądzie tak podrasowanym przez operacje plastyczne, że wciąż powracające w programach satyrycznych porównania do mumii egipskiej przestają śmieszyć. Niegdyś polityczny parias, wyszydzany jako skandalizujący populistę, uwikłany w gęstą sieć konfliktów interesów i afer obyczajowych, bohater niesmacznych wyskoków, w których nie wstydził się eksploatować antyniemieckie skojarzenia (sławna uwaga o kapo skierowana do Martina Schulza to tylko jeden z wielu przykładów), dziś mówi z kamienną twarzą: „zawsze miałem z panią Merkel znakomite relacje pełne wzajemnego szacunku”. Daje się też fetować przez Junckera i szefa Europejskiej Partii Ludowej Antonia Lopeza. W styczniu podczas dwudniowej triumfalnej wizyty Berlusconi w Brukseli Lopez zapewniał, że EPL jest jego domem, i życzył, aby głos Włoch był lepiej słyszalny w Unii za sprawą „przyszłego rządu”, ten zaś będzie mocny, „dzięki wpływowi Berlusconi”. Dlaczego tylko wpływowi? Bo sam Berlusconi, jako skazany za przestępstwa finansowe, nie może kandydować, za to na liście możliwych premierów pod jego patronatem często wskazuje się obecnego szefa europarlamentu Antonia Tajaniego, który ten wielki *comeback* zorganizował.

Dlaczego zatem w Brukseli postanowiono zjeść tę żabę? Z prognoz przedwyborczych wynika, że tak czy owak Włochy →



ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

→ będą rządzone przez jeden z trzech odłamów populizmu. Ten reprezentowany przez Berlusconi'ego okazuje się najłatwiejszy do oswojenia.

Samotność gwiazd

W sondażach przewodzi Ruch Pięciu Gwiazd, znany na świecie przez skojarzenie z charyzmatycznym pierwszym liderem, komikiem Bepem Grillem, który niedawno jednak odszedł i zerwał kontakty z ugrupowaniem. Zmiana pokoleniowej warty (na czele stoi teraz trzydziestolatek Luigi Di Maio) w niczym nie zmieniła jego charakteru: ma dość nieśpójny antyelitarny przekaz „odzyskiwania kraju z rąk sił” i odcięcia się od dyktatu Brukseli, od niedawna też coraz więcej mówi o obronie przed imigracją i zadbaniu o interesy zwykłego Włocha. Panuje w nim także obsesja demokracji bezpośredniej, co jest tym bardziej ironiczne, że platforma internetowa, na której odbywa się robota partyjna, jest kontrolowana przez małą prywatną firmę nieodpowiadającą przed nikim za swoje manipulacje przy moderowaniu forów i zliczaniu głosów. Im więcej też działacze mówią o czystości moralnej i pogromie politycznego złodziejstwa, tym częściej wychodzą na jaw przekręty, drobne jak na skalę włoskiej systemowej korupcji, ale szalenie szkodliwe wizerunkowo.

Pięć Gwiazd dostało wielką szansę, wygrywając w 2017 r. wybory na burmistrza Rzymu, miasta będącego od kilku kadencji w stanie głębokiego rozkładu administracji i zapaści infrastruktury. Cokolwiek więc sensownego by tam zdziałać, można to było zdyskontować jako dowód, że nowe, niedoświadczone ugrupowanie potrafi skutecznie rządzić. Jednak burmistrzostwo Virginii Raggi okazało się taką samą katastrofą jak jej poprzedników.

Ruch przewodzi we wszystkich sondażach, ale nie uzyska dość głosów, by mieć samodzielną większość. Skoro zapowiedział i obiecuje, że nie zawrze żadnej koalicji z którąś ze starych partii, to nie weźmie udziału w rządzeniu, przynajmniej nie w pierwszym podejściu.

Tylko nie Liga

Brukseli pozostaje więc dogadywanie się zawczasu z tymi, którzy mają największe szanse. A jest to Forza Italia Berlusconi'ego, wspólnie z Ligą Północną, mariaż już wypróbowany w poprzedniej dekadzie, ale po-

tencjalnie chwiejny i niebezpieczny dla unijnego *status quo*.

Liga Północna od zawsze była ugrupowaniem zbudowanym na ksenofobii, z tym że dziś modelowym obcym przestaje być mieszkaniowiec włoskiego południa (choć kraj wcale nie przestał być niedokończonym *de facto* projektem zjednoczenia dwóch bardzo odstających od siebie połówek). Przepaść w poziomie życia i mentalności między północą a południem pozostaje właściwie bez zmian: ostatnio podano, że spodziewana długość życia w Neapolu jest aż o cztery lata krótsza od tego samego wskaźnika w Treviso koło Wenecji. Wydatki na służbę zdrowia i podstawowe parametry opieki medycznej w Kalabrii i na Sycylii są na tym samym poziomie co w Bułgarii.

Przez ostatnie lata, dzięki napływowi ogromnej liczby imigrantów z Afryki Północnej, pojawił się jednak znacznie bardziej podatny na zarządzanie strachem obcy. Jest przy tym oczywistym paradoksem, że w rozwiązaniu problemu z przyjmowaniem i integracją migrantów jedynym wyjściem jest raczej ściślejsza współpraca z Brukselą – nie tylko w kwestii zdobywania pieniędzy na programy pomocowe, lecz interwencje bezpośrednio u źródeł migracji (oraz kontestowane, lecz gwarantujące względną skuteczność porozumienia z podmiotami kontrolującymi Libię, zdolnymi zablokować wybrzeża, z których ruszają do Włoch migranci).

Tymczasem jednak lider Ligi Północnej Matteo Salvini mówi po prostu „dość”, domagając się szybkiej rewizji traktatów z Schengen i z Dublina. Jedyne, w czym zmiękczył swoją retorykę w ciągu ostatnich miesięcy, to kwestia euro – latem 2017 r. wciąż jeszcze żelaznym punktem programu Ligi było wycofanie się ze wspólnej waluty, dziś, przygotowując się do koalicji z umiarkowanym w tej kwestii Berlusconi'm, mówi, że „da jej ostatnią szansę”, cokolwiek by to miało znaczyć.

Liga Północna bywa też oskarżana o konszach na szczeblu lokalnym z ugrupowaniami wprost faszystowskimi. Obecność tych ostatnich na ulicach i w samorządach jest we Włoszech znacznie bardziej widoczna, niż przystoi w drugiej dekadzie XXI w. – począwszy od regularnych demonstracji (nieraz odwołujących się bezpośrednio do rytuałów i rocznic faszystowskich), najść na redakcję prasowe, aż po akty skrytobójstwa politycznego. Warto dodać, że Salvini protestował prze-

ciw przyjętej latem ubiegłego roku ustawie zaostrzającej ściganie aktów użycia symboliki faszystowskiej w przestrzeni publicznej.

Obrazu dopełniają dość typowe dla populistycznej prawicy w Europie sympatie do Putina (i udział działaczy partii w różnych sponsorowanych przez Kreml inicjatywach), a także ostra retoryka antyszczepionkowa. Kwestia obowiązkowych szczepień nabrała w tej kampanii ciężaru jak nigdzie dotąd w Europie. Kiedy w 2017 r. w Europie wybuchły ogniska odry, Włochy były na drugim miejscu po Rumunii (ok. 5 tys. przypadków). Według danych ONZ współczynnik wyszczepialności dzieci w północnych, bogatych regionach Włoch wynosi ok. 85 proc., czyli grubo poniżej granicy, która zapewnia bezpieczeństwo całej populacji.

Berlusconi tymczasem osobiście i gorąco poparł program rozszerzenia szczepień, mówiąc, że jest on widocznym miernikiem cywilizacji i leży „w żywotnym interesie niepełnoletnich obywateli”.

Znormalizować populistów

Ponieważ w wielu sondażach Liga Północna i Forza Italia szły łeb w łeb – z paropunktową zaledwie przewagą tej drugiej – nie dziwi, że aż do najbliższej niedzieli Bruksela będzie robić wszystko, by wzmocnić Berlusconi'ego kosztem znacznie mniej spolegliwego koalicjanta. W interesie wszystkich w Europie jest, by z całej puli centroprawicowych głosów jak najwięcej zgarnął zgrany, ale jednak przewidywalny blagier, a nie prawie o połowę młodszy, głodny władzy cynik spod znaku nowej skrajnej prawicy.

Bułgarski politolog Ivan Krastev pisuje ostatnio o dwóch możliwych reakcjach liberalnego establishmentu na populizm: można dać się populistom „znormalizować”, pozwolić wejść w codzienność rządzenia, w której ich wzmożenie w sferze emocji i symboli okaże się bezradne wobec praktyki władzy. Albo popaść w alarmistyczne tony, podbijając bębenek emocji, które są jedyną istotną płaszczyzną, na której partie populistyczne zdobywają poparcie. Krastev odnosi się wprawdzie raczej do Europy Wschodniej, jednak wydaje się, że jego diagnoza została usłyszana także przez tych, którzy zrozumieli, kto po najbliższych wyborach będzie rządził Włochami.

Trzeba wybierać.



ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Nowy kanclerz Austrii i lider Partii Ludowej Sebastian Kurz (z prawej) oraz przewodniczący FPÖ Heinz-Christian Strache wraz ze swoimi partnerkami, w drodze na ceremonię zaprzysiężenia nowego rządu, Wiedeń, 18 grudnia 2017 r.

Maskowanie ekstremy

DARIUSZ KAŁAN Z WIEDNIA

Europa pogodziła się z tym, że Austrią współrządzi partia skrajnej prawicy, której korzenie sięgają nazizmu, a która dziś ma silne więzi z Rosją.

WOLNOŚCIOWA PARTIA AUSTRII (FPÖ) to na naszym kontynencie fenomen. Jeśli bowiem spojrzeć na inne ugrupowania skrajnie prawicowe, okaże się, że są zjawiskiem stosunkowo nowym. Powstały na fali nastrojów antyunijnych albo antyimigranckich, a ich wynik wyborczy zależy – w większym stopniu niż w przypadku partii tradycyjnych – od osobistej popularności lidera. Zwykle też, mimo krzykliwych haseł i prostych recept, nie rządzą, lecz jedynie straszą w opozycji.

Tymczasem FPÖ założono dawno – w 1956 r., na kilka lat przed boomem go-

spodarczym w Europie Zachodniej, który napędził pierwszą falę migracji zarobkowej z Turcji i Bliskiego Wschodu. Poprzedniczka Unii – Europejska Wspólnota Węgla i Stali – dopiero raczkowała.

Ponadto FPÖ jest zorganizowana wokół programu, a nie wyrazistego lidera. No i już trzykrotnie smakowała władzy. Współrządziła zarówno z socjalistami, jak też z konserwatystami.

Z tymi ostatnimi weszła po raz drugi do koalicji w grudniu 2017 r. – dwa miesiące po tym, jak w wyborach parlamentarnych zajęła trzecie miejsce, zdobywając jedną piątą wszystkich głosów.

Z radykałami do pierwszej ligi

To kryzys migracyjny sprawił, że FPÖ nabrała wiatru w żagle. Jeszcze w 2006 r. cieszyła się poparciem pół miliona obywateli w niemal 9-milionowym społeczeństwie. W ciągu kolejnej dekady zyskała ponad dwa razy tyle nowych wyborców. Jej sukces nie zaskakuje, bo od czasu referendum w sprawie brexitu ugrupowania antyimigranckie przekroczyły próg wyborczy w Bułgarii, Niemczech, Francji, Holandii i Czechach.

Jednak współczesny dylemat nie polega na tym, czy wejdą one do parlamentu, czy nie, lecz jaką rolę będą w nim odgrywać. Mogą być izolowane – jak na Słowacji. Albo zapraszane do rządzenia – jak w Austrii.

W czasie kampanii zarówno konserwatyści z Partii Ludowej (ÖVP), jak też „wolnościowcy” z FPÖ wspólnie chcieli „zatrzymania islamizacji”. Przeworsowali zakaz noszenia burek w miejscach publicznych – choć w Austrii dotyczy on tylko 0,03 proc. społeczności.

Mimo to koalicja rodziła się w bólach. Lider konserwatystów i nowy kanclerz ➔

→ Sebastian Kurz mówi radykalne rzeczy z uśmiechem na ustach i trudno przewidzieć, co z tego naprawdę zrealizuje. FPÖ nie paliło się do rządzenia także dlatego, że w opozycji łatwiej utrzymać wysokie poparcie – mówi „Tygodnikowi” Reinhard Heinisch, politolog z Uniwersytetu w Salzburgu.

To konserwatyści bardziej potrzebowali FPÖ niż FPÖ konserwatystów. Migranci migrantami, ale 31-letni Kurz (najmłodszy szef rządu w Europie) obiecał Austriakom cywilizacyjny skok: ograniczenie świadczeń socjalnych, uproszczenie podatków, wzmocnienie dyscypliny fiskalnej, deregulację i reformy administracyjne nastawione na poprawę konkurencji i ułatwienie życia przedsiębiorcom. Zapowiedział, że wprowadzi Austrię do gospodarczej pierwszej ligi Europy.

Dlatego Kurz nie chciał słyszeć o ponownym sojuszu z socjalistami (SPÖ). Przez ostatnie cztery lata jako minister spraw zagranicznych w rządzie „wielkiej koalicji” obserwował, jak ambitne projekty tonęły w partyjnej szamotaninie i biurokratycznym impasie. Potrzebował kogoś, kto nie będzie się wtrącał. I wykazał się nadspodziewaną łaskawością: widząc wahania FPÖ, ofiarował jej aż 6 z 13 resortów, w tym sprawy zagraniczne oraz ministerstwa „siłowe” (spraw wewnętrznych i obrony) oraz nadzór nad służbami specjalnymi. Był gotów oddać „wolnościowcom” także resort sprawiedliwości, ale na to nie zgodził się prezydent.

– W koalicji jest jasny podział. Konserwatyści odpowiadają za gospodarkę, a FPÖ za bezpieczeństwo. To dziedziny, na których obie partie mogą zyskać największą popularność przed kolejnymi wyborami – podsumowuje politolog Heinisch. – Jednak Kurz nie przewidział jednego: że jego zmiany w gospodarce mogą uderzyć w tradycyjnych wyborców FPÖ, którzy wywodzą się z klasy robotniczej.

Pytania na dzisiaj brzmią więc, czy FPÖ zgodzi się na ustępstwa, które wywołają gniew jej elektoratu, i czy w zamian zażąda kolejnych profitów.

Brunatne korzenie

Na razie „wolnościowcy” wywołują kolejne skandale. Pod koniec stycznia 32-letni Udo Landbauer, wschodząca gwiazda FPÖ z landu Dolna Austria, znalazł się na cenzurowanym, kiedy wyszło na jaw, że jako wiceprzewodniczący bractwa studenckiego „Germania” akceptował

Bliskie relacje polityków FPÖ z Rosją niepokoją

– tym bardziej że w nowym rządzie kontrolują oni

MSZ, służby specjalne i obronność.

śpiewnik zawierający piosenki antysemickie i propagujące nazizm.

Liderzy FPÖ są na tym tle szczególnie przewrażliwieni, bo długi cień nazizmu unosi się nad partią od samego początku. Jej założycielem i pierwszym przewodniczącym był bowiem Anton Reinthaller, były członek NSDAP i minister hitlerowskiego rządu, który sprawował władzę tuż po Anschlussie Austrii przez III Rzeszę w 1938 r.

W ciągu kolejnych sześciu dekad FPÖ odbijała się od wielu ścian. Był czas, gdy zwracała się w stronę centrum, pozując na nowoczesnych liberałów. Kiedy barometr nastrojów społecznych przesunął się na prawo, dawała schronienie antysemitom, otwartym negacjonistom i głosicielom wyższości kultury niemieckiej nad austriacką.

Był to czas, gdy władzę w Austrii – na szczeblu federalnym oraz landach – dzielili między sobą konserwatyści i socjaliści, na przemian obejmując rządy i przechodząc do opozycji (wraz z każdą taką zmianą w kraju zmieniała się też obsada personalna instytucji publicznych, choć były to zmiany łagodne, np. dyrektor publicznego radia czy jakiejś spółki skarbu państwa z nadania socjalistów oddawał fotel swemu zastępcy pochodzącemu z nadania konserwatystów – lub na odwrót).

FPÖ pozostawała poza tym czerwono-czarnym „systemem proporcji” (jak go nazywano) – trwała na politycznym marginesie, traktowana jako swego rodzaju polityczne kuriozum.

Prywatna partia Haidera

Z „szufladki” tej wyszła dopiero w latach 90. XX w. Stała się wtedy partią prywatną Jörga Haidera – legendarnego premiera kraju związkowego Karyntii i charyzmatycznego apostoła współczesnego populizmu.

To Haider nadał jej antyeuropejski, antyelitarny i antyimigrancki sznyt – z tym że

w tamtym czasie wrogiem numer jeden byli przybysze z Europy Wschodniej. I najważniejsze: Haider wprowadził ją do rządu. W 1999 r. FPÖ pod jego wodzą uzyskała najlepszy w historii wynik wyborczy (prawie 27 proc.) i weszła do gabinetu tworzonego przez konserwatystów. Ku rozczarowaniu krajów członkowskich Unii, które na osiem miesięcy zamroziły stosunki z Austrią.

Niechciana koalicja okazała się początkiem końca Haidera. Nagle wyparował z niego cały radykalizm. Po pięciu latach wewnętrzna opozycja w FPÖ dokonała rozłamu, tłumacząc, że lider dał się omotać i pozwolił konserwatystom zepchnąć się do centrum. Jego popularność w kraju stopniowo topniała, choć nigdy nie pozwolił sobie odebrać swojego księstwa udzielnego w Karyntii, która do dzisiaj pozostaje bastionem FPÖ (w ostatnich wyborach zdobyła tam najwięcej, bo prawie 32 proc. głosów).

Haider zginął prawie dekadę temu w wypadku samochodowym. – Obok kanclerza Brunona Kreisky’ego był prawdopodobnie najbardziej charyzmatycznym politykiem austriackim drugiej połowy XX w. – twierdzi Ruth Wodak, emerytowana profesor Uniwersytetu w Lancaster i autorka książek o prawicowym populizmie. – Łączył w sobie cechy intelektualisty i gwiazdy pop. Ale jego chimeryczna osobowość osłabiała FPÖ. Potrafił zniknąć na kilka dni, pogrążał się w depresji.

Mainstream skręca na prawo

Zasługą obecnego przewodniczącego partii, 48-letniego Heinza-Christiana Strache’go, z zawodu dentystry, jest skonsolidowanie rozbitej FPÖ. Dzisiaj to partia zdyscyplinowana, ze spójnym programem, z własnymi mediami, profesjonalnym zapleczem prawnym i biznesowym oraz efektywną siecią pozyskiwania młodych.

Z nazistowskim dziedzictwem Strache nie chce mieć nic wspólnego – a przynajmniej o nim głośno nie wspomina. Haider potrafił pochwalić III Rzeszę za politykę pełnego zatrudnienia. Obecnie apologetci przeszłości kończą jak Landbauer, który musiał zrezygnować z wejścia do rządu kraju związkowego Dolnej Austrii.

Strache ma dużo szczęścia, bo epoka i tak wybaca mu więcej niż poprzednikom. Niby mówi o imigrantach to samo co Haider, ale dopiero teraz trafił z tym przekazem do mainstreamu, który

w ciągu dwóch dekad zdążył przesunąć się mocno na prawo.

– W porównaniu z Haiderem Strache jest bardziej stabilny i lepiej zorganizowany, ale nie tak porywający retorycznie – twierdzi Manès Weisskircher, politolog z Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie.

Chociaż FPÖ podkreśla, że jest przeciwko elitom, to sama ma charakter bardzo elitarny. Jako naturalną kuźnię kadr Strache traktuje bowiem bractwa studenckie, w tym wspomnianą „Germanię” czy słynną „Olympię”, pangermański macztnik pravicowych radykałów założony w połowie XIX w. w Wiedniu.

– Ich członkowie są lojalni i lepiej przygotowani niż ci, których promował Haider. Ale jednocześnie bractwa uważa się za silniej osadzone w świecie pravicowej ekstremy, bardziej ideologiczne – wyjaśnia Weisskircher. – Wygląda to tak, że liderzy regularnie potępiają nazistowską przeszłość i starają się zbudować dobre relacje z rządem Izraela, a raz na jakiś czas wyskakują taki Landbauer ze swoim śpiewnikiem i wszystko psuje.

Chłopcy z ferajny

Zmienił się także model przywództwa. Strache to nie guru i jedyna wyrocznia w stylu Haidera, lecz sprawny administrator, otoczony wianuszkami silnych graczy, którzy poskromili ambicje na rzecz wspólnego sukcesu.

Kim są pozostali liderzy FPÖ? To niemal wyłącznie 40-, 50-letni mężczyźni. Wyssoko stoją akcje wiceprzewodniczącego Norberta Hofera, obecnie ministra transportu, innowacji i technologii w rządzie Kurza. Dwa lata temu minimalnie, w atmosferze kontrowersji (drugą turę wyborów trzeba było powtarzać), przegrał rywalizację o prezydenturę kraju z byłym liderem Zielonych, Alexandrem Van der Bellenem. Mimo porażki pozostaje – obok Strachego – najbardziej rozpoznawalną twarzą FPÖ.

Za kampanie wyborcze odpowiadał Herbert Kickl, niespełna 50-letni były autor przemówień Haidera i wielu jego słynnych bon motów. Cieszy się opinią strategicznego geniusza. To on 13 lat temu wypromował Strachego na lidera FPÖ. Jesienią Kickl wszedł do rządu i objął stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

Interesów partii w Parlamencie Europejskim pilnuje Harald Vilimsky, wpływowy sekretarz generalny i lider eurodeputowanych FPÖ. To „zły policjant”

Retoryka antyimigracyjna

może się podobać
rządzącym w Polsce,
ale nadzieje,
że Austria stanie się naszym
partnerem, są płonne.

Strachego: twardy, brutalny, nie gryzie się w język. Chociaż jest posłem do PE dopiero jedną kadencję, zdążył wyrobić sobie markę skutecznego i kompetentnego. Utrzymuje dobre relacje z przedstawicielami każdej frakcji, przyjaźni się z Marine Le Pen, liderką francuskiego skrajnie pravicowego Frontu Narodowego.

Natomiast „łącznikiem rosyjskim” jest były wiceburmistrz Wiednia Johann Gudenus. Spotykał się z prezydentem Czeczenii Ramzanem Kadyrowem i politykami z bliskiego kręgu Putina, a w marcu 2014 r. pojechał na Krym jako jeden z obserwatorów zorganizowanego przez Rosjan – i nieuznawanego przez Ukrainę oraz ONZ – referendum, które miało legitymizować zabór półwyspu przez Putina. Gudenus mówi płynnie po rosyjsku. Często odwiedza też Republikę Serbską – wspieraną przez Rosję część składową federacji Bośni i Hercegowiny, skąd pochodzi jego żona.

Niebezpieczne związki

Bliskie relacje FPÖ z Rosją mogą niepokoić – tym bardziej że radykalowie obsadzili ministerstwa spraw zagranicznych i obrony oraz dostali kontrolę nad służbami specjalnymi.

Szefową MSZ została Karin Kneissl, zawodowa dyplomata, specjalistka od Bliskiego Wschodu. Kanclerz Kurz przezornie odebrał jej z portfolio sprawy europejskie, nad którymi będzie osobiście sprawował pieczę. To znaczy, że nawet jeśli FPÖ wzywa do cofnięcia sankcji nałożonych na Rosję, nie będzie mogła nic w tej sprawie zrobić.

Ryzykowniejsze jest powierzenie FPÖ służb specjalnych. W 2014 r. oficer austriackiego kontrwywiadu w bezprecedensowym kroku poinformował opinię publiczną, że Rosja podjęła działania, aby dotrzeć do wysoko postawionych osób ze świata polityki. Nie zdradził, o kogo chodzi, ale media sugerowały, że o FPÖ. Strache potwierdził te rewelacje dwa lata póź-

niej, podpisując umowę o partnerstwie z Jedną Rosją, partią Putina. Według kontraktu ich przedstawiciele mają się regularnie spotykać, wymieniać informacje i edukować młodzież w celu krzewienia patriotyzmu i ducha współpracy.

– Istnieje szczególna więź polityczna między Rosją a FPÖ. Jeśli chodzi o finansowanie, możemy tylko spekulować. Nie znaleźliśmy na to dowodów – opowiada Bernhard Weidinger, historyk i współautor raportu o relacjach austriackiej skrajnej prawicy z Kremlm.

Weidinger przypomina też, że każdej austriackiej partii zależy na życzliwości Rosji. Austria nie jest przecież członkiem NATO, a z Rosją łączy ją twarde interesy, np. austriacki koncern OMV jest jednym z czołowych partnerów Gazpromu przy budowie gazociągu Nord Stream 2.

Jakby uspokajając tych, którzy obawiają się, że przez Wiedeń będą teraz przeciekać informacje do Moskwy, anonimowy pracownik wywiadu w rozmowie z dziennikiem „Der Standard” powiedział, że współpraca z partnerami z Zachodu jest i tak *de facto* zamrożona, bo austriackie służby od dawna mają opinie nieprofesjonalnych.

Europa się pogodziła

To jeden z powodów, dla których na nowy rząd w Wiedniu nieufnie powinna patrzeć Polska. Ostra retoryka antyimigracyjna gabinetu Kurza może się podobać decydom obozu rządzącego w Polsce, ale nadzieje, że Austria stanie się naszym partnerem, są płonne.

– Kurz i Strache uważają się za sojuszników Viktora Orbána, który zresztą niedawno złożył wizytę w Wiedniu. Ale oprócz imigrantów, Austria ma inne interesy niż kraje wszechradzkie, np. w kwestii swobodnego przepływu pracowników. Niedawno rząd zaproponował ograniczenie wsparcia dla dzieci pracowników, które nie mieszkają w Austrii – mówi Bernhard Weidinger.

Europa pogodziła się z obecnością FPÖ w koalicji rządowej i inaczej niż za czasów Haidera nie roztacza nad Austrią „kordonu sanitarnego”. Jeśli Kurz i Strache nie będą atakować niezależnego sądownictwa i wolnych mediów, i nie storpedują kluczowych reform w Unii – będą uważani za przewidywalnych partnerów.

W czasach narodowego wzmożenia w Europie to właśnie tacy jak oni rozdają karty.

© DARIUSZ KAŁAN

Przypadki Jacoba Zumy

WOJCIECH JAGIELSKI

Usunięty właśnie z urzędu prezydent RPA miał być najlepszym przywódcą w dziejach kraju. Lepszym niż Nelson Mandela, którego rodacy wielbili, ale trochę się go bali. Zuma miał być taki jak oni.

MOŻE WŁAŚNIE Z TEGO POWODU BUDZIŁ aż tak wielkie emocje? Nie dlatego, że zamiast być przywódcą najlepszym, okazał się najgorszym, że wprawiał ojczyznę Mandeli w zakłopotanie, i że niewiele brakowało, aby doprowadził ją do bankructwa.

Zanim zawiódł, Jacob Zuma rozbudził tak wielkie nadzieje w Republice Południowej Afryki, gdyż wielu odnajdywało w nim oraz w jego losach zarówno swoje własne słabości, jak też zalety – oraz własne marzenia o wielkości. Dlatego wszystkich zabolalo, gdy okazał się tak wielkim rozczarowaniem.

Odczarowany „Lud Tęczy”

Wybrali go na prezydenta niemal dekadę temu, bo wierzyli, że jak nikt inny zrozumie i przejmie się ich troskami, będzie przywódcą sprawiedliwym i wrażliwym. A przecież już Mandela, który nie krył swojej słabości do Zumy, kręcił z niezadowolaniem głową, gdy ten zostawał wiceprezydentem. Arcybiskup Desmond Tutu, okrzyknięty drugim po Mandeli sumieniem narodu, mówił wprost, że Zuma na przywódcę się po prostu nie nadaje.

Rodacy Zumy mają powody, żeby mu złorzeczyć, ale winni mu są też wdzięczność za to, że uwolnił RPA od narzuconej jej przez przywódców Zachodu niemożliwej do spełnienia roli prymuski, wzoru do naśladowania. Południowa Afryka miała już na zawsze nosić oblicze Mandeli – ikony walki z apartheidem (segregacją rasową i dominacją białej mniejszości), rycerza bez skazy. Nawet na następcę Mandeli, Thabo Mbekiego – zapatrzonego w zachodnie mody – kręcono w Waszyngtonie, Londynie czy Paryżu nosem i narzekano, że Mbeki nie jest Mandelą, że za słabo się stara, by mu dorównać. „Mam się dać wsadzić na 30 lat do więzienia, a potem urosnąć pół metra i nosić te dziwaczne koszule?” – odpowiadał poirytowany Mbeki.

„Staniemy się teraz zwyczajnym afrykańskim krajem jak Nigeria, Kenia czy Mozambik” – powiedział mi 10 lat temu Pallo Jordan, jeden z przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), partii Mandeli, Mbekiego i Zumy. Ten ostatni obejmował wtedy właśnie stanowisko wiceprezydenta. „Może przestanie się od nas oczekiwać cudów. Paru dokonaliśmy, ale wy żądacie ich od nas codziennie. Nikt temu nie sprostą” – mówił wówczas Jordan.

Faktycznie – teraz, po dziewięcioletnich rządach Zumy, nikt już nie będzie wymagał od Południowej Afryki, aby mierzyła się z narzuconym jej ideałem „Ludu Tęczy”.

Baśń o brzydkim kaczątku

„Mandela był kimś nie z tej ziemi, supermanem. Mbeki pół życia spędził w Anglii i mawiano o nim, że owszem, ma czarną skórę, ale duszę ma białą – stwierdził Jeremy Gordin, biograf Zumy, gdy ten obejmował prezydenturę. – W pewnym sensie to Zuma będzie naszym pierwszym prawdziwie rdzennym prezydentem. Patrząc na niego ludzie pomyślą, że skoro ktoś taki tyle w życiu osiągnął, to i oni nie są tacy do niczego. I że każdy może dokonać czegoś wielkiego”.

W istocie – przez trzy czwarte swego 75-letniego dziś życia Jacob Zuma mógł uchodzić za południowoafrykańską wersję baśni o brzydkim kaczątku. Albo o biedaku, który został królem.

Urodził się w 1942 r. w wiosce Nkandla, w kraju Zulusów – tych samych, którzy pod rządami królów Szaki i Dingaana stworzyli w XIX stuleciu potężne imperium, pokonane dopiero przez Brytyjczyków. Wyrósł w biedzie, wychowywany wraz z braćmi przez samotną matkę, która zarabiała na życie sprząając u białych państwa. Musiał pasać kozy i krowy, żeby pomóc w wyżywieniu rodziny. Nie poszedł do szkoły, sam nauczył się pisać.



W Południowej Afryce obowiązywał wtedy ustrój apartheidu, przeciw któremu zaczęła buntować się czarnoskóra większość ludności. Jako nastoletni chłopak Zuma przystał do Afrykańskiego Kongresu Narodowego – największego ugrupowania sprzeciwiającego się rządowi białej mniejszości. Aby stłumić zamieszki i strajki, władze kraju wprowadziły stan wyjątkowy, zakazały działalności Kongresu, a jego przywódców – wraz z Mandelą – wtrąciły do więzienia na wyspie Robben.

Dwudziestoletni Zuma zgłosił się wówczas do formującej się za granicą kongresowej partyzantki. Ale gdy w 1963 r. przekradł się do Mozambiku, wpadł w ręce policji. Skazany na 10 lat, został zesłany



Rządy Zuma nazwano zmarnowaną dekadą, bo zajmował się on głównie tym, aby utrzymać się u władzy i wyciągnąć z niej największe korzyści. Na zdjęciu: antyprezydencki protest w Pretorii, kwiecień 2017 r.

wołał biały rząd, aby w bratobójczych walkach wykrwawić przeciwników i przeprowadzić demontaż apartheidu na własnych warunkach.

Zuma sprawił się znakomicie. W 1994 r., na tydzień przed pierwszymi wolnymi wyborami, w których głos czarnych miał się liczyć tak samo jak białych, Zulusi złożyli broń i zgodzili się wziąć udział w elekcji. Mandela został pierwszym czarnoskórym prezydentem kraju, a Zuma ministrem od gospodarki i turystyki w prowincji KwaZulu-Natal. Otrzymał też partyjny awans: został jednym z sześciu najważniejszych przywódców Kongresu, a potem wiceprzewodniczącym partii.

Pięć lat później powierzono mu godność wiceprezidenta. Jako zastępca szefa państwa w stosownym czasie sam miał zostać wyniesiony na najwyższy urząd.

W ten sposób on, Jacob Zuma, dawny pastuch i wojownik, który do wszystkiego doszedł sam, jako pierwszy Zulus od czasów królów Szaki i Dingaana miał objąć we władanie Południową Afrykę.

Rewolucyjna pożyczka

Zdaniem jego biografa Jeremy'ego Gordina w życiu Zuma bywało tak, że po niezwykłych wzlotach następowały jeszcze niezwyklesze i fatalne upadki, do których Zulus zawsze się w jakiś sposób sam przyczyniał.

I tak, nie zdążył się rozsiać na wiceprezydenckim fotelu, gdy opozycyjni posłowie, a za nimi gazety podniosły lament, że ministrowie biorą łapówki. Poszło o największe w historii kraju zakupy broni dla południowoafrykańskiego wojska. Władze przeznaczyły na to astronomiczną sumę pięciu miliardów dolarów, które zwiodły na pokuszenie zagraniczne koncerny zbrojeniowe oraz miejscowych polityków i urzędników.

Rządowe kontrakty podpisano za prezydentury Mbekiego, ale targi prowadzono jeszcze wtedy, gdy rządził Mandela. Wśród łapówkowiczów znaleźli się pierwszy czarnoskóry dowódca południowoafrykańskiej armii (został zdymisjonowany), →

do kolonii karnej – tej na wyspie Robben. I to właśnie więzienie stało się dla niego polityczną akademią: poznał przywódców ANC, a jednym z jego nauczycieli stał się sam Mandela.

Droga na szczyty

Uwolniony po 10 latach, wrócił w rodzinne strony w KwaZulu, gdzie próbował założyć konspiracyjną siatkę. Kiedy jednak w Soweto wybuchło powstanie przeciw białemu rządowi, a ten odpowiedział nowymi represjami, Zuma uciekł z kraju. Śmiały, energiczny i lubiany, szybko awansował do kongresowych władz na uchodźstwie. Został szefem wywiadu i służb bezpieczeństwa w partyzanckiej armii.

Pod koniec lat 80. XX w. biały rząd – osłabiony strajkami i rozruchami, a przede wszystkim międzynarodową izolacją – uznał, że nie da rady utrzymać apartheidu i musi ułożyć się z czarnoskórą większością, wypuścić Mandelę z więzienia i podzielić się władzą. Nie odbyło się to rzecz jasna z dnia na dzień.

W 1990 r. Zuma, szef kongresowego wywiadu i bezpieczeństwa, jako pierwszy wrócił z wygnania do Południowej Afryki, żeby rozeznaczyć się w sytuacji i przygotować bezpieczne lądowanie reszcie kierownictwa ruchu wyzwolenczego. Kiedy Mandela wyszedł na wolność, powierzył Zumie zadanie przerwania wojny między jego rodakami Zulusami i zwolennikami Kongresu. Tę wojnę pomiędzy czarnymi wy-

ALEX PRETORIUS / GALLO IMAGES / GETTY IMAGES

→ przewodniczący parlamentarnej komisji obrony (skazano go na cztery lata więzienia) i dwa tuziny kongresowych dygnitarzy.

Wśród podejrzanych padło też nazwisko Zuma. W zamian za 100 tys. dolarów, wpłacane co roku na jego konto, miał jako wiceprezydent dbać o interesy jednego z koncernów zbrojeniowych. Za 300 tys. dolarów miał zaś załatwiać rządowe kontrakty swojemu zaufanemu księgowemu Schabirowi Shaikowi. Shaik został skazany na 15 lat więzienia, ale Zuma wszystkiego się wyparł. Pieniądże od Shaika – tłumaczył – były „rewolucyjną pożyczką”, a nie łapówką. W końcu korupcyjne zarzuty przedstawiono jednak i Zumie.

Sprawa – to my

Nie był już wiceprezydentem, Mbeki zwolnił go z posady. Działo się to na samym początku drugiej i ostatniej kadencji Mbekiego, po której miał ustąpić prezydenturę Zumie. Ale Mbeki nie zamierzał na to pozwolić. Uważał Zumę za prostaka, parweniusza i głupka, niegodnego tego, aby stanąć na czele państwa. Wcześniej wziął go na zastępcę tylko po to, żeby zjednać sobie Zulusów.

Rubaszny Zuma wprowdzał go w zakłopotanie. Mbeki pogardzał jego przywiązaniem do wioskowych tradycji, upodobaniem do śpiewów, tańców i strojów z lamparcich skór oraz wielożeństwa. Zamiast Zumy, na następczynię upatrzył sobie... jedną z jego żon – Nkosazane, lekarzkę.

Zuma zaprzeczał twardo oskarżeniom. „Nie zrobiłem nic złego” – przysięgał. I chyba sam w to święcie wierzył. Nie tylko on, ale wielu jego towarzyszy z partyzantki oraz z ruchu wyzwolenczego nie przywiązywało znaczenia do buchalterii. W czas walki bez wahania przyjmowali pieniądze ofiarowane na walkę i sprawę, przez duże „S” – i nierzadko, nie widząc w tym niczego zdrożnego, przeznaczali je także na prywatne potrzeby. Poświęcili się dla tej sprawy, więc i swoich prywatnych potrzeb nie umieli od niej oddzielić. Stały się w ich przekonaniu tożsame z tym, o co walczyli.

Księgowymi, zausznikami i adiutantami Zumy byli w czasach walki czterej bracia Shaikowie, potomkowie imigrantów z brytyjskich Indii. Schabir dbał o finanse. Spełniał wszystkie życzenia szefa (a ten zawsze lubił sobie dogadzać, dobrze się ubierać, wygodnie mieszkać), płacił jego rachunki, zarządzał kontami banko-

Ćwierćwiecze Południowej Afryki

1994: po pierwszych wolnych wyborach, w których głos czarnoskórych liczył się tak samo jak głos białych obywateli, Zuma zostaje ministrem gospodarki w rodzinnej prowincji KwaZulu-Natal.

1999: Thabo Mbeki, który przejmując prezydenturę od Nelsona Mandeli, wybiera Zumę na swojego zastępcę.

2005: Mbeki zwalnia Zumę ze stanowiska wiceprezydenta.

2007: Zuma pokonuje Mbekiego w wyborach na szefa rządzącej partii, Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC).

2008: Zuma zmusza Mbekiego do ustąpienia ze stanowiska prezydenta przed upływem drugiej i ostatniej kadencji, kończącej się dopiero w 2009 r.

2009: Zuma zostaje prezydentem.

GRUDZIEŃ 2017: w wyborach nowego szefa ANC wiceprezydent Cyril Ramaphosa pokonuje faworytkę Zumy (i zarazem jego eksmałżonkę) Nkosazane.

LUTY 2018: Ramaphosa wymusza na Zumie rezygnację ze stanowiska prezydenta, które ten formalnie mógł sprawować do 2019 r. © P WJ

wymi. Zuma o pieniądze nie dbał, choć zawsze mu ich brakowało. Ale to było już zmartwienie Shaika. Zuma nie zastanawiał się, skąd fundusze pochodzą, ani że w zamian winien będzie jakąś przysługę.

Kiedy Kongres przejął władzę, a Zuma awansował na wiceprezydenta, Schabir został jego doradcą od finansów. Z kolei drugi z braci otrzymał dyrektorską posadę w ministerstwie obrony, trzeci w wywiadzie, a czwarty założył firmę, która żyła z rządowych kontraktów.

Gdy potem Zuma został prezydentem, braci Shaików zastąpili inni Hindusi, bracia Guptowie: Atul, Ajay i Rajesh. Teraz to oni spełniali wszystkie zachcianki Zumy i jego licznej rodziny, a korzystając z zażyłości z prezydentem, zbijali fortunę, wygrywając rządowe kontrakty i przetargi. Pod koniec panowania Zumy zdobyli tak wielkie wpływy, że dyktowali prezydentowi, kogo ma uczynić ministrem finan-

sów. Gazety w Johannesburgu i Kapsztadzie pisały, że Guptowie przejmują na własność południowoafrykańskie państwo.

Następca tronu

Niewykluczone, że gdyby nie został prezydentem, trafiłby za kratki jako aferzysta i złodziej. Niewykluczone, że wyładowuje tam teraz, gdy prezydentem być przestał i znów grożą mu zarzuty – stare, a także nowe, których dorobił się już jako szef państwa. Chcą go więc sądzić za dawną korupcję, ale także za to, że braciom Guptom oddał państwo pod zastaw, że łamał konstytucję, nadużywał władzy, że za państwowe miliony rozbudował wiejską rezydencję w rodzinnej Nkandli. Nic dziwnego, że do końca walczył o prezydenturę jak o życie, że tak bardzo nie chciał się z nią rozstać.

Wtedy, ponad dekadę temu, Mbeki odebrał mu posadę wiceprezydenta, ale nie przekonał Afrykańskiego Kongresu Narodowego, aby wyrzucić go z partii. Jacoba Zumę powszechnie lubiano. Pogodą i bezpośredniością ujmował partyjnych towarzyszy, rodaków, dziennikarzy, zagranicznych gości. „Swoją chłop” – tak wszyscy o nim mówili. Inaczej było z Mbekim: wyniosły i przemądrzały, choć szanowany za kompetencje, miał zawsze więcej wrogów niż przyjaciół.

Choć więc to Zuma oskarżany był wtedy o korupcję, a na dodatek o gwałt na córce przyjaciela (*sic!*), przekabacił wszystkich na swoją stronę. Przekonywał, że wysuwane przeciw niemu zarzuty są wynikiem intryg Mbekiego, który nie chce dopuścić go do urzędu prezydenta. Skarżył się, że pozbawiony wiceprezydenckiej pensji nie ma za co żyć.

Zuma przejął więc rolę ofiary, a Mbekiego obsadził w roli swojego przesładowcy. I choć wrogowie Mbekiego podzielali jego negatywną opinię o Zumie, to stanęli jednak po stronie Zulusa, żeby utrzymać nosa prezydentowi-zarozumiałcowi. Nie tylko nie usunęli Zumy z partii, lecz wybrali go na szefa ANC i oficjalnego następcę tronu.

Aby ukreślić łeb wciąż grożącym mu sądowym procesom, które mogły udaremnić mu intronizację, Zuma – jako szef rządzącej partii – zmusił Mbekiego do dymisji. A gdy sam przejął już rządy, mianowany przez niego prokurator natychmiast wycofał z sądu stare oskarżenia. Jacobowi Zumie już nic nie zagrażało. Przynajmniej do czasu.



AFP / EAST NEWS

Przez trzy czwarte
swojego życia Jacob
Zuma mógł uchodzić za
południowoafrykańską
wersję baśni
**o biedaku,
który został królem.**
Potem było już gorzej.

*Jacob Zuma jako prezydent,
Pietermaritzburg, RPA, wrzesień 2008 r.*

Kochliwy prezydent

Podobno obiecywał, że będzie rządzić tylko jedną kadencję – tak jak Mandela, który sam zrezygnował z drugiej „pięcioletki” (z powodu wieku). Ale nawet jeśli tak było, szybko o tej obietnicy zapomniał. A ci, którzy mu o niej nie przypominali, są dziś współwinnymi jego fatalnym rządami.

Inna sprawa, że takie przypominanie nie byłoby proste. Jako prezydent Zuma błyskawicznie pozbył się przeciwników oraz dobrodziejów-wierzyteli, a obsadziwszy najważniejsze stanowiska w partii i państwie swoimi ludźmi zapewnił sobie spokojne panowanie. I dotrwałby pewnie do końca dwóch kadencji, gdyby nie upadki, jakie w jego życiu następowały zaraz po zadziwiających wzlotach.

Zaczął wspaniale. Ruszył w podróż po kraju, spotykał się z ludźmi, rozmawiał, słuchał. Nawet ci, którzy witali jego prezydenturę z najgorszymi przeczuciami, kiwali z uznaniem głowami. Ale już w drugim roku prezydentury, gdy kraj gościł piłkarskie mistrzostwa świata, Zuma zaliczył pierwszy upadek. Przed otwarciem mundialu gazety podały, że prezydent uwiódł córkę przyjaciela Irvina Khozy, przewodniczącego komitetu organizacyjnego mundialu i spłodził z nią potomstwo.

Było to już dwudzieste dziecko Zumy, którego kochliwość wprawiała rodaków w zakłopotanie. Wstydzili się, że ich prezydent, wierny zuluskiej tradycji wielożenstwa, poślubił cztery żony (piąta po-

pełniła samobójstwo, a szósta, Nkosazana, rozwiodła się z nim), a i tak wciąż wdaje się w niezliczone romanse.

Zmarnowana dekada

Potem, z każdym kolejnym rokiem, sprawy w Południowej Afryce miały się gorzej i gorzej. Nie za wszystko winę nosił Zuma. Jego prezydentura zbiegła się ze światowym kryzysem gospodarczym, który w RPA spowodował pierwszą od lat recesję.

Zamiast lepiej, ludziom żyło się gorzej, rosło bezrobocie, korupcja, kumoterstwo, pogłębiła się jeszcze bardziej przepaść dzieląca biedotę i bogaczy – tych starych, z czasów apartheidu, i tych nowych, których znaczną część stanowili uwłaszczający się dawni rewolucjoniści. Rządy Zumy nazwano zmarnowaną dekadą, bo podczas swojej prezydentury zajmował się głównie tym, aby utrzymać się u władzy i wyciągnąć z niej największe korzyści.

W 2013 r., podczas pogrzebu Mandeli, Zuma został wygwizdany na oczach milionów ludzi z całego świata, oglądających w telewizji żałobne uroczystości. Opozycyjni posłowie przerywali jego przemówienia w parlamencie i wszczynali awantury, gdy próbował wygłaszać doroczne orędzia o stanie państwa. Rodacy coraz głośniej narzekali na prywatę, korupcję, niekompetencję, bałagan. W 2016 r. zagłosowali w wyborach samorządowych na opozycję, a ta odebrała Kongresowi wła-

dzę nie tylko w Kapsztadzie (gdzie rządzi od dawna), ale także w Johannesburgu i Pretorii. Kongresowi przywódcy zaczęli się niepokoić, że Zuma stał się dla nich obciążeniem, i że o wygraną w kolejnych wyborach w 2019 r. może być trudniej niż kiedykolwiek.

Upadek ostateczny

Dopiero wtedy Kongres postanowił pozbyć się Zumy. W grudniu 2017 r. na partyjnym zjeździe na nowego przywódcę i następcę Zumy wybrano Cyryla Ramaphosę, chociaż Zulus robił, co mógł, aby – jak kiedyś Mbeki – na swoją dziedziczkę namaścić byłą żonę Nkosazanę i w ten sposób zapewnić sobie święty spokój na emeryturze. Przegrał tak jak Mbeki – i tak jak kiedyś odsunął od władzy Mbekiego, tak teraz, w lutym 2018 r., sam został zmuszony do dymisji przez swojego niecierpliwego następcę Ramaphosę.

Rozstanie Jacoba Zumy z polityką jego rodacy przyjęli z ulgą. Stracili jednak poczucie bezpieczeństwa biorące się z wiary, że przywódca jest jednak kimś wyjątkowym, mądrzejszym i mającym pojęcie, dokąd i po co zmierza.

Spadek, jaki otrzymali po Zumie, uświadamia im, że przywódcą może zostać także ktoś zupełnie przypadkowy, w wyniku zbiegu okoliczności. A ktoś, kto przywódcą zostaje nominalnie, wcale nie musi się nim stać faktycznie.

©P WOJCIECH JAGIELSKI

ANDRZEJ

Stasiuk: Kaspj



MIAŁEM JAK WSZYSCY PISAĆ NA TEMAT OJCZY-
zny, ale mi się google maps otworzyło nie-
chcący. „A co ja będę... – pomyślałem. – Pro-
chu nie wymyślę, kraju nie zbawię”. I klik-
nąłem sobie myszą, a potem w lewo prze-
sunąłem, w prawo. Klikasz i już. Na satelitę
przełączasz. Psią budę można wypatrzyć w Koluszkach, boisko
orlik w Iwoniczu-Zdroju, Studio Urody w Kazimierzy Wiel-
kiej, jeśli się ma życzenie. No ale, jak wspominałem, chwilowo
straciłem serce dla ojczyzny i zniosło mnie gdzieś między Tan-
daj i Akkystau.

Kierowcy nam powiedzieli, że to dobry skrót, a ja chciałem jak
najprędzej dojechać nad morze. Na mapie może i był to skrót,
ale w rzeczywistości gehenna. Kiedyś pewnie leżał tu jakiś as-
falt, ale droga wyglądała jak po trzęsieniu ziemi albo bombar-
dowaniu. Dwadzieścia, trzydzieści na godzinę i trzeba się było
trzymać kierownicy, żeby nie grzmocić głową w sufit. Za au-
tem ciągnęła chmura pyłu. Termometr pokazywał 35 stopni.
Nawigacja minus 25 metrów. Pierwszy raz w życiu jechałem
przez depresję. Wyobrażałem sobie, że to niecka, zagłębienie
w ziemi, w którym zbierają się żar i kurz. I ten gliniasty, pyli-
sty kolor wszystkiego. Wznosił się z ziemi i przesłaniał niebo.
Przez dziesiątki kilometrów nie było nic, tylko te wyrwy w dro-
dze i od czasu do czasu jakiś krzak wyglądający na skamienie-
linę, jakby trwał od tysiącleci. No i cmentarze. Żadnych domów,
żadnych osad, jakby przywozili swoich zmarłych Bóg wie skąd,
gdzieś zza widnokregu.

Nekropolia. To było dobre słowo, bo te cmentarze przypomina-
ły miasta. Właściwie były miastami.

Domy, wieże, bramy, mury, ażurowe kopuły z żelaznych prę-
tów zwieńczone zardzewiałymi półksiężycami. Wszystko ści-
śnięte, spiętrzone, jedno na drugim, że trudno się było prze-

cisnąć. Tak. Małe miasta z domostwami trzy na trzy kroki.
Z grobowymi basztami na trzy metry. Parki miniatur śmierci.
Wszystko w tym żółtoszarym, syplem kolorze, z gliniastego
materiału, który powoli rozwiewał gorący wiatr. Cegły, nie-
gdyś zapewne krawędziaste i geometryczne, stopniowo traciły
swe zarysy, i starsze groby wyglądały jak usypane z piasku albo
odlane z jakiejś płynnej materii. Dziwna była ta ciasnota, to że
grób przylegał do grobu, a wokół ciągnął się bezkres po hory-
zont. Może cmentarz miał przypominać rzeczywistą wieś, żeby
zmarli nie czuli się samotni? Ale daleko od wsi, by duchy nie
nawiedzały żywych.

Przejechaliśmy jakąś osadę. Stanęliśmy, żeby wydać ostatnie
kazachskie pieniądze. Pod sklepem piach był do kostek i pa-
rzył. Na stacji benzynowej Helios powietrze w dotyku przypo-
minało rozgrzaną blachę. Pojechaliśmy dalej. Po lewej wyglą-
dałem wód, ale nic nie było widać, tylko niebo wydawało się
ciemniejsze. Wypatrzyłem skręt i pojechałem przez pas wydm.
Autem rzucało jak w głębokim śniegu, ale w końcu zobaczy-
łem największe jezioro świata, przez niektórych zwane mor-
zem. Wyglądało jak niebieskawe, lekko matowe lustro. Leżało
nieruchomo. Bez zmarszczki, bez skazy. Ominąłem zdradliwy
grząski grunt pokryty białą solą i wyjechałem na twardy, wygła-
dzony przypływem piach.

W oddali widać było wielbłądy. W idealnie płaskim, pu-
stynno-wodnym krajobrazie wyglądały pięknie i nierzeczy-
wiście. Jakby linia horyzontu ułożyła się w ciąg ruchomych
pagórków. Gorące powietrze wyciągało w górę ich drżące syl-
wetki. Woda była płytka i ciepła. Szedłem i szedłem i było do
kostek. Po stu metrach nie sięgnęła nawet kolan. Brzegiem na-
deszło stado pstrokatych kóz. Położyły się na piachu. Nigdzie
nie było śladu cienia, ale od morza ciągnął chłodniejszy po-
wiew. Pomyślałem, że mógłbym tu zostać. Rozbić namiot, albo
i nie, i patrzeć na ten najprostszy pejzaż. Patrzeć, jak upływa
czas przesiąknięty rozgrzanym światłem i z dna kaspijskiej de-
presji podnoszą się miraż. Wśród miast-cmentarzy na odlu-
dziu, z baktrianami na rozedrganym widnokregu, o dziesięć
kroków od ciepłego, nieruchomego lustra wód. Pomyślałem
też, że w takim miejscu dobrze by było wyglądać końca. Bo w ja-
kiś tajemny i nieodparty sposób to miejsce przypominało dzie-
ciące marzenie, gdy zaczynaliśmy pierwszy raz śnić o dalekich
krajach, o tysiącu i jednej nocy, i o tym, jak bardzo chcielibyśmy
kiedyś zobaczyć fatamorganę. Tak. ©

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

GLIWICE, środa 7 marca

16.30 – Msza św. z homilią z okazji
5. rocznicy powstania Klubu „Tygodnika
Powszechnego” w Gliwicach w katedrze
św. Piotra i Pawła;
17.30 – spotkanie autorskie w auli
Centrum Edukacyjnego
im. św. Jana Pawła II,
ul. Górnych Wałów 3A.

KRAKÓW, czwartek 8 marca

19.00 – spotkanie w ramach Sztuki
Myślenia „Dlaczego Jezus wyrzucił
Polaków ze świątyni?”
w Teatrze im. Juliusza Słowackiego.
Ze względu na możliwy brak miejsc
zapraszamy do śledzenia spotkania na
stronie powszech.net/sztukamyshlenia

Msze św. i spowiedź:

Msze św. – kościół zgromadzenia
marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9,
Warszawa), **soboty godz. 18,**
niedziele godz. 8.30.
Spowiedź – bazylika św. Floriana
(ul. Warszawska 1b, Kraków),
wtorki godz. 18-19.

■ Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: kuczminska@tygodnik.com.pl

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU”:

marzec. 50 lat później

W obszernym dodatku m.in.:

- Aleksander Smolar o Żydach, komandosach, więzieniu, emigracji i niepamiętaniu Marca
- Piotr Paziński o drugim życiu marcowego gadania
- Dariusz Stola o wielkim wypędzeniu
- Ewa Winnicka o roku '68 na prowincji
- Dariusz Kosiński o legendarnych „Dziadach” Dejmka
- Justyna Koszarska-Szulc i Natalia Romik o rocznicowej wystawie „Obcy w domu”
- Krzysztof Kozłowski o wydarzeniach marcowych w komunistycznym Sejmie – historyczna relacja po raz pierwszy bez cenzury

Fragmenty muralu przygotowanego przez Muzeum POLIN
na rocznicę Marca 1968

PARTNERZY
WYDANIAHEINRICH BÖLL STIFTUNG
WARSZAWA

DOFINANSOWANIE



REKLAMA

JEZIORO ŚLABĘDZIE

ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH
ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

14.10.2018 - COS Torwar - Warszawa
 15.10.2018 - CKK Jordanki - Toruń
 16.10.2018 - Sala Ziemi - Poznań
 17.10.2018 - Hala Stulecia - Wrocław
 18.10.2018 - Dom Muzyki i Tańca - Zabrze
 19.10.2018 - ICE KRAKÓW Congress Centre
 20.10.2018 - Klub Wytwórnia - Łódź
 21.10.2018 - Gdynia Arena

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK



INNI ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

Opór komunizmowi stawili – i to nie tylko po II wojnie światowej
– również ludzie polskiej lewicy niepodległościowej.
Dziś coraz bardziej popadają w zapomnienie.

REMIGIUSZ OKRASKA

PIERWSZEGO MARCA JUŻ PO RAZ SIÓDMY obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, ustanowiony przez ponadpartyjną większość sejmową. Tymczasem z roku na rok „wyklęci” są coraz bardziej zawłaszczani przez obóz rządzący po 2015 r. I coraz silniej akcentowany jest ten nurt oporu, który – w uproszczeniu – nazwać można prawicowym. W efekcie ze zbiorowej świadomości znikają inne nurty sprzeciwu wobec komunistycznej ideologii i władzy.

Największą białą plamą jest brak świadomości istnienia oporu lewicowego.

Bez złudzeń

Nie zaczął się on w 1945 r., lecz znacznie wcześniej. Właściwie – istniał od początku. Główna siła krajowej lewicy, Polska Partia Socjalistyczna, przez całą II RP krytykowała Związek Sowiecki, bolszewizm i rodzimych komunistów [patrz tekst „Lewica przeciw bolszewikom”, „TP” nr 43/2017 – red.].

Dzień 17 września 1939 r. potwierdził linię PPS. A Sowietom mieli świadomość, że polscy socjaliści są ich wrogiem. Już kilka dni później we Lwowie NKWD aresztowało znanego działacza PPS Artura Hausnera (zmarł w sowieckim więzieniu w 1941 r.). Podobny los spotkał lwowskiego lidera tej partii Bronisława Skalakę i Mieczysława Mastkę, byłego posła PPS

i działacza lewicowych związków. Pierwszego więziono na Łubiance, skazano na 8 lat łagru – stąd, już ciężko chorego na gruźlicę, wypuszczono po układzie Sikorski-Majski. Drugi, zwolniony z więzienia, zmarł po niespełna roku.

Posel PPS Zygmunt Piotrowski został aresztowany podczas próby przejścia z okupowanego Lwowa przez Węgry na Zachód; słuch o nim zaginął. Po latach jego nazwisko odnaleziono na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej – rozstrzelanych w podkijowskiej Bykowni. W Kowlu NKWD aresztowało Stanisława Grylewskiego – byłego posła PPS i lidera kolejarskich związków zawodowych; zmarł po miesiącu w celi. Więzienie, brutalne śledztwo i łagier przeszedł Jan Kwapiński – legendarny bojowiec PPS, dowodzący atakiem na carski pociąg z pieniędzmi w Rogowie, katorżnik. Do sowieckich więzień trafili znani działacze ugrupowania ze wschodu Polski, m.in. Jan Szczyrek, Franciszek Hałuch, Stanisław Talarek.

Tam diabeł, tu belzebub

Od początku sowieckiej okupacji socjaliści angażowali się w konspirację. W październiku 1939 r. we Lwowie powstał Rewolucyjny Związek Niepodległości i Wolności, założony przez PPS-owców i lewicowych ludowców, przeciwnych sowieckim porządkom. Współpracował z emigracyj-

nymi władzami i podziemiem: Służbą Zwycięstwu Polsce i ZWZ.

W Wilnie na początku listopada 1939 r. powstała Organizacja Niepodległościowo-Socjalistyczna „Wolność”. Jej manifest głosił: „ZSSR wbrew głoszonym do ostatniej chwili hasłom walki z faszyzmem i hitleryzmem współdziała czynnie z Niemcami hitlerowskimi. (...) W polityce zagranicznej ZSSR stosuje hitlerowskie metody nacisku i agresji wobec państw słabszych, na zewnątrz zaś stosuje terror wobec ruchu socjalistycznego”.

Na terenie okupowanych przez Niemców główną siłą lewicy – i jednym z fundamentów Państwa Podziemnego – była założona przez część liderów PPS organizacja Wolność Równość Niepodległość (nazwana tak dla zmylenia Niemców). Na czele PPS-WRN stanęli znani socjaliści-antykomuniści: Kazimierz Pużak, Zygmunt Zaremba i Mieczysław Niedziałkowski. Już w październiku 1939 r. w podziemnym piśmie ostrzegli przed wybieraniem między „hitlerowskim diabłem a sowieckim belzebubem”.

Trzy dni po podpisaniu układu Sikorski-Majski – umowy polsko-sowieckiej, zawartej po ataku Hitlera na Stalina – WRN wydała odezwę: „Umowa polsko-sowiecka nie gwarantuje całości Rzeczypospolitej Polskiej i nie rozwiązuje najważniejszych spraw stanowiących treść stosunków



Warszawa, 5 listopada 1948 r.

Przed Rejonowym Sądem

Wojskowym rozpoczyna się proces pokazowy działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej – Wolność Równość Niepodległość. Na ławie

oskarżonych: Kazimierz Pużak, Tadeusz Szturm de Sztrem, Józef Dziegielewski, Feliks Misiowski, Ludwik Cohn, Wiktor Krawczyk. Składowi sędziowskiemu przewodniczy ppłk Staszycza; oskarżają prokuratorzy płk Zarakowski i płk Karliner.

Oskarżonych bronią adwokaci: Niedzielski, Maślanko, Rettinger, Wagner i Palatyński. Za stołem m.in. adwokaci Niedzielski (pierwszy z lewej) i Maślanko, w drugim rzędzie oskarżeni Józef Dziegielewski (z lewej) i Tadeusz Szturm de Sztrem, w trzecim rzędzie Wiktor Krawczyk (z lewej) i Cohn oraz w ostatnim rzędzie Pużak (w okularach).

polsko-sowieckich, lecz dopiero otwiera drogę do ich uregulowania. (...) Wyrażone przez gen. Sikorskiego (...) skłonności do szukania oparcia o Rosję i ubieranie tego we frazeologię słowianofilską stanowi przejaw niebezpieczny”.

Na początku 1943 r. NKWD zamordowało Wiktora Altera i Henryka Erlicha, liderów Bundu – partii żydowskich socjalistów w Polsce, współpracującej z PPS. Wkrótce na jaw wyszła zbrodnia w Katyniu. Adam Pragier, PPS-owiec i członek emigracyjnej Rady Narodowej, wspominał: „Wniosłem w lecie r. 1942 (...) rezolucję wzywającą rząd, by przedłożył rządowi sojuszniczym notę (...) stwierdzającą, że rząd polski żadną miarą nie może odnaleźć kilkunastu tysięcy oficerów, którzy przebywali w obozach jenieckich w Sowietach i przepadli bez śladu. (...) Znależenie tysięcy oficerów w grobach masowych pod Katyniem [w 1943 r.] było potwierdzeniem przeświadczenia (...) że

wiadomości o ich losach, podawane przez władze sowieckie, były kłamliwe”.

Wobec nowej okupacji

Aleksy Bień – przed 1939 r. prezydent Sosnowca z ramienia PPS, potem w konspiracji – tak raportował latem 1944 r. z Lubelszczyzny, zajętej przez Armię Czerwoną: „NKWD otworzyło swe posterunki we wszystkich gminach, miastach i wsiach (...) i rozpoczęło masowe aresztowania (...). Do obecnej chwili aresztowanych jest ponad 50 tys. osób na Lubelszczyźnie (...). Sądy wojenne na rozprawach niejawnych działają i zasądzają działaczy AK i stronnictw na karę śmierci oraz na długoletnie więzienie. (...) Na wolności przebywa (...) niżej podpisany, za którego wyznaczono nagrodę 5 milionów”.

24 lipca 1944 r., w reakcji na manifest PKWN-u – załączka rządu podporządkowanego Stalinowi – wspólną odezwę wydały władze WRN i Stronnictwa Ludowego: →

→ „Wojska sowieckie nie wkraczają na nasze ziemie w porozumieniu z naszym Rządem (...); stoimy wobec groźby zabrania połowy ziem Rzeczypospolitej Polskiej, narzucenia Polsce rządów partii rosyjskiej oraz uzależnienia lub nawet wcielenia Polski do ZSRR”.

Podczas powstania warszawskiego wspomniany Zaremba tak pisał w PPS-owskim „Robotniku”: „Rząd Polski wielokrotnie usiłował nawiązać z rządem rosyjskim porozumienie, obejmujące chociażby problemy współdziałania wojskowego. Wszelkie propozycje polskie rozbiły się zawsze o tendencję polityki Sowietów, zmierzającą do wymuszenia na Rządzie Polskim akceptacji czwartego rozbioru i narzucenia nam na kierowników Państwa ludzi miłych Sowietom”.

Tymczasem, usiłując stworzyć wrażenie pluralizmu, komuniści zaczęli tworzyć kontrolowane przez siebie partie, z udziałem drugorzędnych przedwojennych działaczy socjalistycznych i ludowych. Wedle tej logiki we wrześniu 1944 r. powstała w Lublinie fake’owa (jak byśmy dziś powiedzieli) Polska Partia Socjalistyczna.

W tym czasie legendarny działacz PPS, Tomasz Arciszewski, po objęciu funkcji szefa Rządu RP na Uchodźstwie mówił: „Niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej jest dla nas niewzruszonym kanonem. Nikt w świecie nie może nam narzucać ani rządu, ani reżimu, którego lud polski sobie nie życzy”. Po konferencji w Jalcie rząd Arciszewskiego protestował przeciw jej ustaleniom. A w kraju Pużak komentował: „Cios (...) przygotowany przez zmwę nowego Świętego Przymierza (...) był aktem wielkiej krzywdy wyrządzonej Polsce, (...) której nasz naród (...) nie może zapomnieć”.

Nierówna walka

Pozostała tylko nadzieja, że obiecane w Jalcie utworzenie w Polsce „rządu jedności narodowej” pozwoli wpływać na bieg wydarzeń środowiskom niekomunistycznym. Dlatego przyjęto zaproszenie do rozmów z Sowietami. 27-28 marca 1945 r. przedstawiciele polskich władz podziemia i stronnictw przybyli na spotkanie – i jak wiadomo, zostali aresztowani i przewiezieni do Moskwy. Wśród nich socjaliści – Pużak jako lider WRN i Antoni Pajdak jako minister w krajowych strukturach rządu londyńskiego.

W „procesie szesnastu” pierwszego skazano na półtora roku więzienia, a w wy-

Aresztowani, torturowani, skazywani, mordowani:

polscy socjaliści, ludzie lewicy niepodległościowej, płacili po 1945 roku wysoką cenę za sprzeciw wobec komunizmu.

niku amnestii wypuszczono po 4 miesiącach i pozwolono wrócić do kraju. Drugi otrzymał wyrok pięciu lat – w sowieckiej celi i na zesłaniu syberyjskim spędził dekadę, zanim wrócił do Polski w 1955 r.

Legalni, wykluczani

Część WRN-owców prowadziła dalej działalność konspiracyjną, m.in. Pużak, Zaremba, Ludwik Cohn, Józef Dziegielewski, Marian Bomba. Zaremba publikował podziemne pismo „AS” i ulotki z odezwami. 23 czerwca 1945 r. WRN wydała oświadczenie: „Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej ma wejść w urzędowanie, a sojusznicy zachodni mają cofnąć swe uznanie legalnego rządu Rzeczypospolitej, czyli faktyczną władzę będzie całkowicie rozporządzał ów rząd powołany na moskiewskich naradach. W tej sytuacji niezależny polski ruch socjalistyczny (...) będzie musiał znaleźć nowe drogi swego działania”. Dwa tygodnie później rząd Arciszewskiego w Londynie stracił uznanie międzynarodowe, a uznany został prosowiecki rząd warszawski.

Pętla się zaciskała. Gdy 3 czerwca 1945 r. odbywał się w Katowicach wojewódzki zjazd lubelskiej PPS, komunistyczna bezpieka aresztowała połowę jego uczestników pod zarzutem przynależności do WRN. Kilku skazano na więzienie.

Zasłużony socjalista i przedwojenny lider „czerwonych” związków zawodowych (warto tu dodać, że czerwień od początku była kojarzona z ruchem socjalistycznym), Zygmunt Żuławski, zawarł w imieniu części niezależnych lewicowców w lipcu 1945 r. umowę z lubelską PPS. Na jej mocy działacze WRN miano dokooptować do zarządu lubelskiej PPS, a ujawniający się WRN-owcy mieli otrzymać gwarancje bezpieczeństwa. Niezależni socjaliści postulowali też amnestię dla „leśnych”.

Władze lubelskiej PPS przerwały negocjacje. Żuławski próbował więc zareje-

strować Polską Partię Socjalno-Demokratyczną. 14 października 1945 r. delegacja w składzie Żuławski, Bień, Antoni Zdąnowski i Stanisław Garlicki zawiadomiła władze o założeniu partii. Edward Osóbka-Morawski – socjalista, który stanął po stronie Stalina i został premierem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej – krzyczał: „Chcecie pogрузić się w przepaści? Dobrze, staczajcie się! Nie liczcie na nową amnestię! Będziecie wyłapani! Zniszczeni!”. Bezpieka dokonała rewizji u osób z komitetu założycielskiego. Odmówiono rejestracji partii. Było to pogwałcenie postanowień jałtańskich, gwarantujących Polsce system wielopartyjny i swobodę tworzenia stronnictw o demokratycznym programie.

Żuławski zdecydował się więc na akces do lubelskiej PPS na gorszych warunkach niż poprzednio. Uważał, że to jedyna szansa na ocalenie jej przed całkowitą uległością wobec komunistycznej PPR. Zaremba i Pużak byli przeciw, choć liczyli na pozytywne efekty manewru. Ale władze lubelskiej PPS dokooptowały nie 12, jak obiecywały, lecz zaledwie sześciu zwolenników Żuławskiego – i groziły, że wyrażanie „linii WRN” zakończy się czystkami personalnymi. Żuławski zrezygnował z działalności w lubelskiej PPS.

Przed tzw. kongresem zjednoczeniowym z PPR – na którym w grudniu 1948 r. wyłoniła się PZPR, rządząca Polską do 1989 r. – usunięto z lubelskiej PPS ponad 80 tys. osób. Wśród nich Bienia, Józefa Grzechnarowskiego (przedwojennego prezydenta Radomia) i Jana Bielnika (działacza PPS na Śląsku i w Zagłębiu).

Terror uderza w lewicę

W marcu 1946 r. Zaremba z fałszywymi dokumentami uciekł z Polski do Francji, ostrzeżony, że bezpieka zamierza go aresztować. Podobnie uczynił inny ważny działacz WRN Franciszek Białas, od lutego 1944 r. lider Społecznego Komitetu Antykomunistycznego przy Radzie Jedności Narodowej (podziemnym parlamencie).

Wkrótce aresztowano m.in. Zofię Pajdakową, Pużaka, Cohna, Bombę, Zdąnowskiego, Tadeusza Szturm de Sztrema (był w kontakcie z Witoldem Pileckim), Józefa Dziegielewskiego, Feliksa Misiorowskiego, Wiktora Krawczyka, Adam Obarbskiego, Antoniego Wąsika, Stefana Zbrożynę, Kazimierza Rysiewicza, Stanisława Sobolewskiego... Uwięziono ok. 200 osób.

W procesie przywódców PPS-WRN zarzucono im organizowanie zakonspiro-

wanej partii i próbę „obalenia przemocą ustroju” (wtedy klasyczny zarzut). Komunistyczni sędziowie mówili – wobec ludzi narażających życie w antyhitlerowskiej konspiracji – że „w okresie okupacji WRN (...) cały swój wysiłek skierowała przeciwko ZSRR i jego Armii Czerwonej (...) przygotowywała masy nie do walki z Niemcami, lecz (...) z wyzwolenczą Armią Czerwoną”. Pużak i Szturm de Sztrem otrzymali wyroki 10 lat, Dziegielewski i Krawczyk – 9 lat, Cohn i Misiowski – 5 lat (czterem pierwszym amnestia obniżyła wyroki, dwóm ostatnim pozwoliła uniknąć więzienia). W innych procesach Obarski otrzymał 15 lat, Zbrożyna, Rysiewicz i Wąsik – 6. Bomba dwa lata spędził w celi śledczej bez wyroku.

67-letni Pużak zmarł w więzieniu w Rawiczu, bity i pozbawiony pomocy medycznej. Pajdakowa poniosła śmierć, wyskakując z okna podczas przesłuchania (niewykluczone, że był to mord). Zdanowski był przez pół roku więziony i torturowany. Wypuszczony w stanie agonalnym, zmarł dwa dni później. Dziegielewskiego po bestialskim śledztwie wypuszczono po trzech latach z zaawansowaną gruźlicą – zmarł rok później. Misiowski był torturowany, doznał w więzieniu zawału, nie udzielono mu pomocy lekarskiej, co przyczyniło się do przedwczesnej śmierci po uwolnieniu. Aresztowania, tortury, wyrzucanie z pracy, zabór mienia były codziennością socjalistów sprzeciwiających się nowemu systemowi.

Naj na polu walki

Bywało, że zdesperowani socjaliści sięgali po broń przeciw komunistom.

Tak było ze Stanisławem Wenclem juniorem, PPS-owcem z Zawiercia. Pochodził z rodziny socjalistów zaangażowanych w antycarską konspirację. W II RP był działaczem PPS i Czerwonego Harcerstwa oraz korespondentem partyjnego dziennika „Robotnik”. Walczył w kampanii wrzesniowej, później pod pseudonimem „Twardy” był żołnierzem Gwardii Ludowej WRN (tę nazwę komuniści też później ukradli). Słynął z odwagi. Po scaleniu GL WRN z Armią Krajową został dowódcą oddziału likwidującego agentów Gestapo; wykonali 80 wyroków śmierci. Później dowodził oddziałem leśnym, brał udział w wielu akcjach i bitwach.

Ujawnił się i złożył broń po wkroczeniu Armii Czerwonej. Kilka dni później był przesłuchiwany przez UB, po wypuszcze-

niu inwigilowany i śledzony. Wrócił do lasu, gdzie sformował kilkunastoosobowy oddział na Jurze i w Częstochowskim. Rozbił on posterunek milicji i zastrzelił okrutnego funkcjonariusza bezpieki.

Aby zmusić Wencła do wyjścia z podziemia, UB uwięziło jego matkę. Tak zrobił. Brutalnie przesłuchiwany, dostał 7 lat. Wyszedł na wolność po interwencji Osóbki-Morawskiego, jego kolegi sprzed wojny. Później działał w lubelskiej PPS, gdzie głosił antysowieckie poglądy – i został wyrzucony przed „zjednoczeniem” z PPR.

Opór (także) robotniczy

67-letni Żuławski zdecydował się na start w wyborach z listy mikołajczykowskiego PSL w Krakowie i uzyskał mandat poselski w styczniu 1947 r. Wygłosił kilka przemówień sejmowych. 8 lutego 1947 r. rzucał w twarz komunistom: „O słuszności nie może decydować siła fizyczna (...), lecz wyrok większości, ustalony w swobodnej wymianie argumentów”. W debacie budżetowej krytykował sytuację robotników: „samo upaństwowienie nie usunie jeszcze krzywdy społecznej i nie wyzwoli człowieka z jarzma drugiego człowieka. Dla ludzi kwestia, kto ich wyzyskuje – kapitał czy państwo – jest obojętna. (...) Tylko nie jest obojętne dla nich, ile mają pracować, jaką otrzymując zapłatę za ich pracę, ile muszą płacić za towary, i nie jest dla nich obojętny stopień władzy jednych nad drugimi i stopień ich wolności”.

Bo także robotnicy stawili opór nowej władzy. Podczas lokalnego zjazdu lubelskiej PPS w 1946 r. w Katowicach jeden z delegatów mówił: „Za Niemców fabryka szła. Gdy przyszli wyzwoliciele, wyzwolili nas z maszyn, zaś obecnie dyrektor wyzwała nas z miedzi i niklu, nic w zamian nie wypłacając”.

Krytykowano nowe porządki: wywóz maszyn do Związku Sowieckiego, dyrektorów z nadania PPR, szykanowanie związków zawodowych, brak podwyżek, śrubowanie norm wydajności. W maju 1946 r. w Łodzi strajkowało 30 tys. ludzi, stanęło kilkadziesiąt zakładów. W sierpniu strajk i zamieszki w gdańskim Nowym Porcie stłumiła dopiero dywizja piechoty. „Łącznie w 1946 r. miało miejsce 565 strajków, a więc ponad 47 miesięcznie. Podobną aktywność polscy robotnicy wykazali dopiero w okresie lat 1980-81” – pisał historyk Łukasz Kamiński (później prezes IPN).

We wrześniu 1947 r. miał miejsce strajk powszechny w przemyśle włókienniczym

w Łodzi. Pracę porzuciło kilkadziesiąt tysięcy osób, a ruch zakładów przywrócono po dwóch tygodniach. Władze sięgały po najbardziej brutalne metody, jak lokaut, połączone z użyciem milicji i bezpieki do rozbijania protestów.

Łącznie w ciągu kilku lat po 1945 r. miało miejsce ponad 1200 strajków. Tylko w 1946 r. odmówiło pracy 340 tys. ludzi. Postulaty płacowe i socjalne stanowiły ok. 85 proc. wszystkich, a 35 proc. obejmowało żądanie podwyżek.

Ciąg dalszy nastąpi!

Wraz z postępami stalinizacji wszystkie te formy oporu były coraz trudniejsze. Ciężar lewicowej krytyki PRL przejęły emigracyjne struktury PPS: we Francji, Anglii, USA, RFN czy Włoszech (tam działał w nich Gustaw Herling-Grudziński). Alarmowały Zachód o realiach za żelazną kurtyną. Przemycane do kraju PPS-owskie publikacje były przez lata jednymi z niewielu niezależnych publikacji. Z czasem, gdy terror osłabł, nasiliły się kontakty socjalistycznej emigracji z krajowymi towarzyszami, którzy nie ulegli komunie. Z PPS wywodziła się część obrońców więźniów politycznych. Gdy apel założycielski KOR podpisało 14 osób, było wśród nich pięcioro dawnych PPS-owców: Aniela Steinsbergowa, Edward Lipiński, Antoni Pajdak, Adam Szczypiorski i Ludwik Cohn.

Po dramacie poznańskiego Czerwca 1956 r. organ PPS w Niemczech Zachodnich, pismo „Przedświt”, komentował: „Manifestacja w Poznaniu wykazała jedną niezbitą prawdę: najniebezpieczniejszym dla komunizmu jest robotnik”. Zaś emigracyjny lewicowiec Adam Uziembło pisał w paryskiej „Kulturze”: „Poznań (...) stanowi przykład zachęcający. (...) A co do ofiar? W krajach przez absolutyzm rządzonych zawsze znajdzie się zastęp takich, którzy »poległym ciałem« gotowi są »dać inny szczebel do sławy grodu«. A wśród tego zastępu znajdą się ludzie, którzy dobrze zastanowią się nad strategią walki robotniczej. I wyniki podadzą innym. W pewnym momencie (...) znajdą środki po temu, by solidarną akcją sparaliżować maszynę (...) dyktatury”. I dalej: „Każdy totalizm jest organizmem nietrwałym. Jest on zawsze zagrożony przez solidarność mas ludowych. Gdzie ta solidarność krzepnie – tam odwilż staje się potopem”.

Ćwierć wieku później te słowa okazały się prorocstwem.

© REMIGIUSZ OKRASKA



Inspirowana kryptowalutami ekspozycja „bitcoinowej wanny”, Los Angeles, 15 lutego 2018 r.

GORĄCZKA WIRTUALNEGO ZŁOTA

Jedni traktują je tylko jako narzędzie spekulacji.
Dla innych to ucieleśnienie marzeń o wolności w epoce internetu.
Czym są kryptowaluty i skąd się wzięły?

PIOTR SZOSTAK

PIERWSZE MONETY W HISTORII CYWILIZACJI miały wytłoczone dwie informacje: ile kruszcu zawierają i jaki król gwarantuje tę zawartość. W przeciwieństwie do sztab metalu nie trzeba było ich ważyć przy każdej transakcji ani obawiać się, że są fałszywe. Ich zawartość była poświadczona przez władzę.

Pieniądz pozwolił łatwo wymieniać jedno rzeczy na drugie oraz przechowywać majątek. Umożliwił integrację i współpracę obcych, nieufających sobie i mieszkających daleko od siebie ludzi. Dla użytkownika jego wartość była umowna – według historyka Yuvala Noah Harariego miała źródło w zbioro-

wej wyobraźni. Człowiek wierzył, że kawałek metalu ma określoną wartość, bo jego sąsiad w to wierzył. Sąsiad wierzył, bo wiarę tę podzielali król i kapłani, którzy zbierali podatki w tym metalu. Za ich niepłacenie grozili karą: więzieniem lub piekłem. Pieniądz wytwarzał i wymuszał zaufanie.

Przekraczał też granice. Rzymski denar w I wieku n.e. zawędrował aż do Indii i stał się tam środkiem wymiany, mimo że granica imperium leżała tysiące kilometrów dalej. Lokalni władcy uwierzyli w niego na tyle, że reprodukowali go razem z podobizną cesarza Rzymu. Pieniądz był też tolerancyjnym pośrednikiem między wrogimi religiami – chrześcijanie i muzułmanie handlowali ze sobą, bo, jak twierdzi Harari, „o ile religia każe nam w coś wierzyć, o tyle pieniądz każe nam wierzyć, że inni ludzie w coś wierzą”.

Aż przestają.

Jak zaufać jeszcze raz

Miesiąc po bankructwie banku inwestycyjnego Lehman Brothers w 2008 r., które zapoczątkowało światowy kryzys finansowy, niejaki Satoshi Nakamoto opublikował pierwszy artykuł o bitcoinie, cyfrowej walucie. Nie wiadomo, kim był ani nawet czy był jedną osobą – tekst napisano w liczbie mnogiej. Nakamoto zaprojektował tę kryptowalutę w atmosferze kompromitacji instytucji publicznych, które za pieniądze podatników wykupiły prywatne banki odpowiedzialne za kryzys.

Bitcoin jest również taką samą umową między użytkownikami, co tradycyjne pieniądze. W przeciwieństwie do dolara, euro czy funta, nie stoi jednak za nim żaden bank centralny.

Nakamoto wyobrażał sobie bitcoina jako cyfrowy odpowiednik złota. Górną granicę liczby bitcoinów ustalił arbitralnie na 21 milionów – „złoża” bitcoinów miały być ograniczone, tak jak złoża złota w naturze. Część internautów miała pełnić rolę „górników”: udostępniając swoje komputery do badania wiarygodności transakcji – w miejsce banków centralnych i państw – byliby nagradzani nowymi bitcoinami. Im więcej wydobyto bitcoinów, tym więcej prowadzono transakcji i tym trudniej było zdobyć następne. Tak zaprojektowany system w założeniu miał przeciwdziałać atakom: bardziej opłacało się użyć mocy obliczeniowej do kopania kryptowaluty.

Sercem bitcoina jest technologia blockchain. To baza danych wszystkich transakcji (osoba A przelała osobie B kwotę C) przechowywana nie w jednym serwerze, ale przez wszystkich posiadaczy waluty jednocześnie. Użytkownicy bitcoina udostępniają swoje komputery, na których kod automatycznie dodaje kolejne wpisy do bazy danych i sprawdza wiarygodność

poszczególnych transakcji. Tak zaprojektowany system jest odporny na manipulacje. Ponadto kolejne wpisy są dzielone na tzw. bloki, szyfrowane i łączone chronologicznie w łańcuch, dzięki czemu wszystkie przelewy są bezpieczne i nieodwracalne. Z jednej strony transakcje są transparentne, z drugiej, dzięki kryptografii, posiadacze waluty są dla siebie – do pewnego stopnia – anonimowi.

Potencjał blockchaina wykracza jednak poza finanse. Mechanizm może być bazą danych: dowodów tożsamości (zrobiła to Szwajcaria), głosów w wyborach czy kart pacjentów. Może być alternatywą dla ksiąg wieczystych (projekt tego typu powstaje w Ghanie). Może reprezentować też akcje spółek czy być rejestrem diamentów. Technologia ta może zmieniać sektory gospodarki, w których jest dużo pośredników. Może przebudowywać organizację podmiotów o zhierarchizowanej strukturze. W blockchainie prawników, urzędników i bankierów zastępuje kod programu, który zabezpiecza współpracę między obcymi sobie ludźmi. Dlatego nazywany jest maszyną do wytwarzania zaufania.

Prorocstwo

W 2009 r. Nakamoto pisał: „Może warto kupić kilka bitcoinów, na wypadek gdyby w przyszłości ta waluta miała się przyjąć – jeśli pomyśli tak odpowiednio wiele osób, będzie to samospełniającą się przepowiednią”.

No i się udało – z czasem świat ogarnęła gorączka kryptowalut. W 2011 r. cena bitcoina przekroczyła jednego dolara. W samym 2017 r. chwilowo wzrosła dwudziestokrotnie. Kurs skoczył do 20 tys. dolarów, by na początku lutego 2018 r. spaść nawet do 6,5 tys. – po czym znów zaczął rosnąć. Wiara w potencjał inwestycyjny bitcoina przyciąga kolejnych uczestników systemu, co winduje cenę, ale rozchwiana, niestabilna wartość i coraz wyższe koszty transakcyjne (pod koniec roku średni koszt przelewu wyniósł ponad 50 dolarów) pozbawiły go praktycznie funkcji płatniczej (poza nielegalnymi transakcjami). Bardziej opłaca się go trzymać.

Poza tym dla przeciętnego użytkownika jest zbyt skomplikowany i powolny. Dostrzegając ograniczenia i wady bitcoina (także jego wpływ na środowisko – do wydobywania wirtualnego złota „górnicy” zużywają już więcej prądu niż cała Irlandia), część programistów i specjalistów od kryptografii zaczęła tworzyć własne

kryptowaluty. Pierwowzór miał otwarty kod źródłowy, który każdy mógł analizować i modyfikować. Dziś liczba wszystkich kryptowalut przekracza tysiąc. Niektóre to tylko klony bitcoina o nieco zmienionych parametrach albo pozbawione „górnictwa”. Inne to duże, innowacyjne projekty, wykraczające poza świat finansów, jak np. Ether. Ta druga największa kryptowaluta jest paliwem w Ethereum – platformie dla tzw. zdecentralizowanych aplikacji (*dapps*) i inteligentnych kontraktów (*smart contracts*).

Zdecentralizowane aplikacje nie są kontrolowane przez jeden prywatny podmiot, ale przez wszystkich użytkowników: można sobie wyobrazić np. Ubera, w którym kierowcy kontaktują się bezpośrednio z pasażerami, a wszystko między nimi automatycznie zabezpiecza inteligentny kontrakt – kod aplikacji, bez udziału firmy. Albo portal społecznościowy wolny od cenzury, na którym żadna firma nie może kasować postów. Albo platformę, na której muzycy otrzymują za każde odsłuchanie piosenki tantiemy bezpośrednio od użytkowników: bez Spotify, YouTube czy ZAiKS-u.

Ethereum otworzyło nowe możliwości pozyskiwania kapitału przez młode spółki technologiczne. Start-upy tworzące zdecentralizowane aplikacje zaczęły emitować własne kryptowaluty, specjalne tokeny, w procesie nazywanym ICO (*initial coin offering*) – w pewnym sensie analogicznie do IPO (pierwszej oferty publicznej na giełdzie). Jeśli taka firma rozwinię w przyszłości innowacyjny produkt lub usługę, wartość jej waluty wystrzeli w górę, a jej posiadacze zarobią. Tradycyjnie start-upy pozyskują kapitał od funduszy, do których zwykli śmiertelnicy nie mają dostępu. ICO ma „demokratyzować” ten proces – w dobrze zapowiadającą się spółkę, na zasadzie crowdfundingu, mogą inwestować anonimowi posiadacze kryptowalut z całego świata. Tokeny mogą być reprezentacją udziałów, swego rodzaju odpowiednikami akcji, ale bez prawa głosu, mogą też być walutą, którą będzie można w przyszłości płacić za usługę lub produkt takiej zdecentralizowanej aplikacji.

Kryptokotki

Blockchain, ICO i inteligentne kontrakty rozbudziły nadzieję na ponowną decentralizację internetu – bez wielkich pośredników: Google’a, Amazona czy Facebooka. Internetu eksterytorialnego, wolnego od ➔

→ cenzury. Tak prezentowany potencjał blockchaina – trochę marzenie libertarian, geeków i futurystów, trochę romantyczna nostalgia za pierwszymi start-upami powstającymi w kalifornijskich garażach – służy jako uzasadnienie do pozyskiwania wielomilionowych ICO. Vitalik Buterin, współtwórca Ethereum, sprowadził tę wizję na ziemię, pytając środowisko blockchainowe w grudniu 2017 r.: „Ilu ludziom pozbawionym dostępu do banków zapewniłoby go? (...) Ile stworzyliśmy zdecentralizowanych aplikacji, które są użyteczne? (...) Ilu Wenezuelczyków uchroniliśmy przed hiperinflacją?”. Jego zdaniem dotychczasowe osiągnięcia twórców zdecentralizowanych aplikacji nie wystarczają, żeby usprawiedliwić wartość wszystkich kryptowalut (0,5 biliona dolarów).

Zamiast aplikacji wywracających głazę gospodarki, na Ethereum powstały na razie np. wirtualne kotki. Gra CryptoKitties, która w pierwszym tygodniu zatkała całą sieć Ethereum, polega na kolekcjonowaniu i hodowaniu kotków o unikalnym, wirtualnym DNA zapisanym na blockchainie. Po sparowaniu kotków na kocięta przechodzą cechy ich rodziców – oznacza to, że z drogich kotków raczej lęgną się drogie młode – co powiększa nierówności w kocim świecie (a może tylko odwzorowuje nasz). W pierwszym miesiącu na CryptoKitties zarejestrowało się 180 tys. użytkowników, którzy wydali 20 mln dolarów w etherze. 10 najdroższych kryptokotków sprzedano za ponad 100 tys. dolarów od sztuki.

Marząc o nowym otwarciu internetu, trzeba bowiem pamiętać o bańce techno-

Główną siłą kryptowalut
nie jest to, czym są w istocie,
ale to, jak wiele obiecują sobie
po nich ich użytkownicy.

logicznej z końca lat 90. Euforia na rynkach była wtedy tak duża, że fundusze inwestowały praktycznie we wszystkie firmy technologiczne – nie zawsze weryfikując, czy w przyszłości będą one zdolne wypracować zysk. Kiedy bańka pękła i firmy straciły dostęp do gotówki, mnóstwo start-upów upadło, a z rynku wyparowało 6 bilionów dolarów. Np. wartość akcji Pets.com, z kapitalizacji na giełdzie na poziomie 300 mln dolarów, spadła do zera. Niektóre przetrwały sztorm: w trakcie bańki akcje Amazona kosztowały 100 dolarów, po krachu spadły do 7 dolarów – ale dziś są warte ponad tysiąc. Ze start-upami w ekosystemie blockchaina może być podobnie.

Piramida

Podczas bańki internetowej IPO firm technologicznych musiały przechodzić *due diligence* – weryfikację prawnobiznesową. Dzisiaj, żeby zrobić ICO i zebrać miliony dolarów, wystarczy stworzyć tzw. *white paper* – dokument, w którym twórcy kryptowaluty przedstawiają swoje, często odległe, plany biznesowe, i pokazać trochę kodu programu. Na takiej obietnicy przyszłego zysku powstały setki krypto-

walut, którymi handlują dzisiaj dziesiątki giełd. Zazwyczaj najwięcej określonej kryptowaluty mają jej twórcy, dlatego wzrost jej wartości jest zawsze w ich interesie. W tym kontekście idea decentralizacji, stojąca za blockchainem, jest realna tylko do pewnego stopnia. To w tym środowisku programistów i matematyków rozumiejących wszystkie mechanizmy funkcjonowania kryptowalut krążą najcenniejsze informacje o tym, które z nich naprawdę mają potencjał wzrostowy.

Powodzenie przedsięwzięcia ostatecznie zależy jednak od tego, czy do zakupu nowej waluty uda się nakłonić internautów na masową skalę. Niektórzy robią to np. zapraszając celebrytów, przyciągających następne fale uczestników, coraz częściej traktujących kryptowaluty jako hazard. W ten sposób tworzy się niemal wzorcowa piramida spekulacyjna.

Marzenia o szybkim zysku przewijają się w poradnikach samozwańczych ekspertów – i mają przyciągnąć następnych spekulantów, doł piramidy. Niektórzy płacą nawet za dostęp do zamkniętych kanałów, na których eksperci dzielą się radami. Na przykład niejaki Wolf, którego na Twitterze obserwuje ponad 100 tys. osób, za dostęp do swojego prywatnego kanału bierze 600 dolarów miesięcznie. Informacje, które Wolf oferuje, przy tak wielkim audytorium, stają się w zasadzie samospełniającą się przepowiednią. Są też grupy, które celowo i w złośliwym celu manipulują rynkiem i np. w zorganizowany sposób rozsiewają fake newsy, żeby wpływać na kurs, np. or-

Co można kupić za bitcoiny

KRYPTOWALUTY ŁATWO MOŻNA upłynnić – wiele giełd oferuje ich wymianę na bitcoiny (BTC), które bez trudu można sprzedać za tradycyjne pieniądze. Coraz więcej sprzedawców oferuje także produkty i usługi, które można nabyć bezpośrednio za kryptowaluty. Bitcoinami można płacić za m.in.:

JEDZENIE. Kanadyjskie KFC przez ograniczony czas oferowało tematyczny zestaw kryptowalutowego smażonego

kurczaka – „The Bitcoin Bucket” – ale zamawianego na dowóz. 50 różnymi kryptowalutami zapłacimy z kolei za pizzę w serwisie pizzaforcoins.com.

NIERUCHOMOŚCI. Za same bitcoiny albo bitcoiny i tradycyjne waluty w Dubaju kupimy apartament położony 20 minut od centrum miasta. W ofercie kawalerki (w cenie kilkunastu BTC), za większe zaś mieszkanie z dwoma sypialniami zapłacimy już ponad 30 BTC.

OPROGRAMOWANIE. Sklep Windows oraz sklep Xbox, należące do Microsoftu, akceptują płatności w bitcoinach za aplikacje, filmy i gry.

PODRÓŻE. W serwisie CheapAir w bitcoinach zapłacimy za hotel i bilet lotniczy. Bardziej ambitni mogą polecieć w kosmos z Virgin Galactic.

ZŁOTO oraz inne produkty mennicze – platynowe sztabki, srebrne monety w serwisie jmbullion.com.

BROŃ. W Teksasie bitcoinami (oraz Etherami, ETH) zapłacimy za broń albo kursy jej obsługi.

Przy okazji: 3 proc. zniżki na zakupy w bitcoinach oferuje zakład pogrzebowy crescenttide.com.

WYKSZTAŁCENIE. Na Uniwersytecie w Nikozji można zostać magistrem w dziedzinie kryptowalut. Za studia zapłacimy w bitcoinach.

KOZĘ. Choć jeszcze nie teraz – serwis Ari.farm, będący czymś w rodzaju funduszu inwestycyjnego handlującego zwierzętami hodowlanymi w Somalii, pozwala zapisać się na listę oczekujących na zakup kozy za bitcoiny. ©P

ganizując tzw. *pump and dump*, praktyki nielegalne na regulowanych giełdach. To zorganizowane akcje, w których uczestnicy dostają na zaszyfrowanych komunikatorach dokładną godzinę, o której muszą kupić określoną kryptowalutę. W wyniku wielu ustawionych, następujących po sobie i narastających transakcji cena rośnie, przyciągając drugą falę, tym razem nieświadomych zwojów inwestorów. Wtedy „pompujący” szybko sprzedają, a cena po chwili spada, na czym tracą ostatni inwestujący. Oczywiście system ten może się utrzymywać tylko przez jakiś czas – w pewnym momencie liczba kolejnych graczy potrzebnych do utrzymania płynności systemu staje się tak duża, że nikt nie jest w stanie zaprosić aż tylu. Wtedy pojawia się kryzys kredytowy – ale ci, którzy mieli na procederze zarobić, już dawno cieszą się z napływu realnej gotówki.

Tylko czym różni się to od sytuacji na tradycyjnych giełdach, zdominowanych dziś przez komputery dokonujące milionów mikrooperacji kupna-sprzedaży na sekundę? Do tzw. handlu wysokich częstotliwości, w którym algorytmy dokonują transakcji z prędkością nanosekund, dostęp również mają nieliczni, najbogatsi gracze. W porównaniu z tradycyjną giełdą świat kryptowalut zaferował jednak małym graczom pewne poczucie sprawczości: tutaj jestem kimś i przynajmniej mam szansę wygrać.

Kryptowaluty mają pewien twórczy potencjał. Ich posiadacze zainwestowali w start-upy i czekają na możliwość zebrania owoców. W ekosystemie blockchaina jest wielu idealistów, którzy wierzą w transformacyjny potencjał tej technologii. W końcu powstaną dzięki nim projekty, które – jeśli przetrwają ewentualny kryzys kryptowalut – mogą mieć w przyszłości duże znaczenie, choćby polski start-up Golem, który buduje dostępny dla każdego, zdecentralizowany superkomputer rodem z powieści Stanisława Lema. Główną siłą kryptowalut nie jest to, czym są w istocie, ale to, jak wiele obiecują sobie po nich ich użytkownicy.

© PIOTR SZOSTAK

Dylemat inwestora

ŁUKASZ KWIATEK

Tybetańczycy twierdzą, że wolą synów, ale większe zasoby przeznaczają na córki. Bo dziś to pewniejsza inwestycja.

TROSZCZĄC SIĘ O POTOMSTWO – ZAPEWNIĄC mu pożywienie i bezpieczeństwo – rodzice częściowo dbają o własne geny, które przekazali synom i córkom (ponieważ oni mogą przekazać je kolejnym pokoleniom). Dlatego w przyrodzie wyewoluowało wiele rodzajów opieki rodzicielskiej. U wielu gatunków są to zachowania automatyczne i bezrefleksyjne, u ludzi opierają się na skomplikowanym mechanizmie emocjonalnego przywiązania i miłości – ale u ich podłoża leży ta sama ewolucyjna logika.

Biolodzy używają nieco bezdusznego terminu „inwestycji rodzicielskich”. Taka inwestycja może mieć różną „stopę zwrotu” dla obu płci w konkretnych warunkach środowiska: np. w społecznościach, w których zasoby kontrolowane są przez mężczyzn żeniących się z wieloma kobietami jednocześnie, rodzicom bardziej opłaca się dbać o synów. Prawdopodobnie spłódzą oni bowiem dzieci z wieloma żonami, zapewnią więc swoim rodzicom większą liczbę wnuków niż ich córka, która będzie mieć szansę zostać zaledwie jedną z kilku żon jakiegoś mężczyzny. Gdy te same warunki będą się dłużej utrzymywać przez wiele pokoleń, takie racjonalne z punktu widzenia ewolucji preferencje mogą utrwalić się w społeczności w postaci normy społecznej lub wręcz moralnej, kształtującej kolejne zwyczaje.

Gdy mężczyźni żenią się z wieloma kobietami i rywalizują o nie swoim majątkiem, to ich przyszli teściowie mogą domagać się od kandydatów na zięciów opłaty za możliwość poślubienia córki, które będą wówczas dla rodziców źródłem dochodu. W społecznościach zawierających małżeństwa monogamiczne to mężczyźni często mogą domagać się od rodziców swojej wybranki posagu – cały majątek i tak zostanie odziedziczony przez potomstwo ich córki.

W pasterskich społecznościach w tybetańskim regionie Amdo, wśród których swoje badania przeprowadziły nie-

dawno Juan Du i Ruth Mace („Behavioral Ecology”, styczeń/luty 2018), spotyka się obecnie zarówno małżeństwa poligamiczne, jak i monogamiczne. Badaczki interesowało to, jakiej płci dzieci pragnęli mieć rodzice. Większość twierdziła, że woli synów, co może odzwierciedlać minione losy całej społeczności – przez wiele pokoleń tybetańskim rodzicom w istocie bardziej opłacało się inwestować w synów. Zbadanie rzeczywistych wskaźników takich preferencji (m.in. długości okresu karmienia piersią dzieci, śmiertelności w dzieciństwie i częstości dawania podarunków pieniężnych) przyniosło jednak przeciwne wyniki do deklarowanych – okazało się, że faworyzowane są córki.

Zmiana, która nastąpiła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, jest pokłosiem przemian, które zaszły w regionie. Przed okresem komunizmu w regionie bogactwo było nierównomiernie dystrybuowane, a mężczyźni w roli pasterzy i wojowników odgrywali kluczową rolę w zabezpieczaniu majątku, co promowało poligamię i w efekcie – preferowanie przez rodziców synów. Komunizm doprowadził do równiejszego podziału dóbr, a wycofanie się z kolektywnej gospodarki po kilkudziesięciu latach – do zmniejszenia roli mężczyzn w zapewnianiu bogactwa. M.in. dlatego, że pastwiska, które przydzielono każdej rodzinie, zostały ogrodzone, co zmniejszyło zapotrzebowanie na mężczyzn-wojowników.

Rola kobiet w zabezpieczaniu majątku za to znacznie wzrosła, m.in. dlatego, że wraz z ogrodzeniem pastwisk zwiększył się dystans do źródeł wody, a pojenie stada należało do ich obowiązków.

Ponadto kobiety są bardziej skłonne rewanżować się w przyszłości za otrzymaną w dzieciństwie opiekę i udzielać rodzicom zarówno finansowego, jak i emocjonalnego wsparcia – co także, jak twierdzą badaczki, może mieć wpływ na to, że tybetańscy rodzice zaczęli bardziej inwestować w córki.

© P



DUMA I WYPRZEDZENIE

Susan Sontag należała do ostatniego pokolenia, które szukało w kulturze absolutu, wierzyło w skuteczność myślenia i dążyło do wyzwolenia na drodze intelektu.

ELIZA KĄCKA

GDY MIAŁAM PIĘĆ LAT, OZNAJMIŁAM (...), że zdobędę Nagrodę Nobla”. Nie było to marzenie typowe dla dziewczynek w roku 1938. Jednak w 1966 r. – „w życia wędrownie, na połowie czasu” – 33-letnia Susan Sontag z właściwą sobie rzetelną oschłością oceniła w dzienniku: „Wiem, że miałam – że mam – dobry umysł, może nawet potężny. Nie jestem jednak genialna. Zawsze o tym wiedziałam”.

Wydała już wtedy, prócz powieści, znakomity tom esejów „Style radykalnej woli” (1966), który ukazał się właśnie w polskim przekładzie Dariusza Żukowskiego. Opublikowała także sensacyjnie przyjęte studium „Notatki o kampie” (1964). Jeśli przyjąć, że nie ma większej chwały dla intelektualisty, niż uchwycić nienazwany, lecz wszechobecny fenomen kultury i bezbłędnie go zdefiniować, takiej chwały Sontag niewątpliwie dostąpiła. To więcej niż zadekretowanie tej czy owej mody. Sontag wyabstrahowała zjawisko „kampu”, od stulecia już wówczas obecne w kulturze zachodniej, wciąż jednak pozbawione nazwy: podskórny prąd twórczości, kształt wrażliwości, projekt estetyczny o wielkiej sile wpływu. Lecz i tego było jej mało. Rola krytyka kultury nie zadowalała jej, marzyła się jej rola prowadawczyny zbiorowej wyobraźni.

I miała na to zadatki, umiała bowiem nie tylko myśleć, lecz i widzieć. Właśnie

kamp trzeba było zobaczyć: w zawijasach rokoka, *horror vacui* preraphaelitów, meandrach secesji, szparagowatych damach z lat 20. ubiegłego wieku. Jej spojrzenie umiało spleść w jedno nienaturalność, pretensjonalność, kicz (tego pojęcia nie używała), bombastyczność, perwersję – chudego Edgara Allana Poe’go z tłustym Oskarem Wilde’em.

Z uwagi na gust tego drugiego pojęcie kampu zawłaszczyli dziś sobie przedstawiciele męskiej mniejszości seksualnej, lecz Sontag pojmowała je inaczej. Nie przypadkiem za jednego z wynalazców kampu uznała jednak Poe’go. Kampowi są miniaturowy kabotyn Wagner i mięsisty Marlon Brando. Są i kampowe kraje, na przykład Polska, będąca, jak wiadomo, krzyżówką pawia i papugi, o czym naście lat temu (nie wiem, czy i teraz) nawet uczono w szkołach.

Ślepa plamka

To zresztą ciekawy przypadek: odkrywczyni kampu była wręcz antykampowa. Pamiętamy, jak pozowała do fotografii: w dzinsach i sweterkach, jak prawdziwa *american girl*. Ale i w takim wizerunku nie mogła za bardzo się ustalić, uczynić go zbyt łatwą i oswojoną legitymacją – jako adeptka radykalizmu. Jeśli się zastanowić, co znaczyła dla niej postawa radykalna – ta z tytułu tomu esejów – trzeba mieć w pamięci pewien właściwy dla Sontag zakład. Być genialną lub nikim – tak

można go streścić. Była dumna i chciała wyprzedzać innych. Kto szuka osi, wokół której obraca się świat dziennika zmarłej w 2004 r. pisarki, tu ją znajdzie.

Osobiste zapiski, wydane decyzją syna, dają nam wgląd w jej życie duchowe, a zarazem komentarz do tekstów eseistycznych. Sontag analizuje, ocenia i denuncjuje w nich siebie z bezwzględną szczerością. Ze świadomością, o co idzie gra. W gruncie rzeczy to postawa religijna. Sontag, już jako przedstawicielka mniejszości, należy do ostatniego pokolenia, które szukało w kulturze absolutu, wierzyło w skuteczność myślenia, dążyło do wyzwolenia na drodze intelektu. Nic w niej nie ma z rozmędlania hipisów, nic z tumiwisizmu czy antyintelektualizmu, na które uskarżała się w rozmowach z Jonathanem Cottom („W latach sześćdziesiątych przerażał mnie antyintelektualizm ruchu, hipisów i bystrych ludzi, z którymi w różnych politycznych sytuacjach stałam ramię w ramię”). Bliżej jej do Simone Weil niż do Williama Burroughsa, do Edyty Stein niż do Richarda Rorty’ego. Może stąd łaska humoru nie była jej dana.

Powaga Sontag czyniła jej świat zarazem głębokim i płaskim: wnikliwość sąsiaduje u niej bowiem z brakiem lekkości i autoironii. Świat widziany przez pryzmat jej tekstów okazuje się wyzbyty tajemnic, zagadek i podszewek, złożony jest z zadań do wypełnienia. Zostaje jeden tryb gry w istnienie: serio.



Susan Sontag, 1979 r.

→ Czytając niedawno Jerzego Stempowskiego, zauważyłam, że w esejach i listach, gdzie sprawy szwajcarskie wciąż cisną mu się pod pióro, brak konsekwentnie dwóch pisarskich nazwisk: Maksa Frischa i Friedricha Dürrenmatta. Zdołał nie dostrzec dwóch największych pisarzy szwajcarskich jego czasów. Widać każdy ma w oczach taką ślepą plamkę. I właśnie to, czego się nie widzi, daje poznać formację umysłową. Także u Sontag, latami obcujałej z dziedzictwem światowej awangardy literackiej, filmowej, fotograficznej i wszelkiej innej, warto doszukać się ślepej plamki. Jest nią wykluczony z obszaru jej wrażliwości surrealizm. Dlaczego? Przypuszczam, że odpowiedź dał mimochodem w jednym z esejów Kot Jeleński: „Nadrealizm jest jedynym ruchem intelektualnym, który wziął rewolucję na serio, nie mając przy tym złudzeń co do ludzkiej natury”. Susan Sontag zaś była po stronie utopii, a bez złudzeń co do ludzkiej natury utopia są niemożliwe.

Skandalistka bezpośredniości

Sontag dysponowała rzadkim darem: cokolwiek powiedziała, było społecznie słyszalne. A nie brakło okazji do zabrania głosu. Jej biografia była przecież rozpięta między prześladowaniem „lewaków” przez senatora McCarthy’ego (Susan miała wtedy lat 20) a zamachami z 11 września (miała lat 67). Po drodze były zaś rewolucja kubańska, zabójstwo prezydenta Kennedy’ego, Czarne Pantery, pastor Martin Luther King, wojna w Wietnamie, afera Watergate i upadek sowieckiego komunizmu. Była słyszalna, bo jako publicystka i zaangażowana myślicielka posiadała instynkt prawdy, którego nie dawało się zlekceważyć. Wielu rzeczy, jakie planowała, nie udało się jej dokonać (nie napisała na przykład żadnej wybitnej powieści), ale temu instynktowi nie sprzeniewierzyła się nigdy. Ten właśnie instynkt nieomylnie odnajdywała w ludziach sobie pokrewnych, takich jak Simone Weil.

Szło jej zatem nie o poglądy (tych nie mogłyby uwspólnić), lecz o świadectwo bezkompromisowości myślenia i namietności prawdy, wspólnych świętym i bohaterom. A także o to, że można być bohaterem bez cienia świętości, radykałem bez piętna fanatyzmu. Gdy jednak po 1968 r. załamała się wiara Sontag w utopię, groziło, że w jej życiu nastanie pustka. Wypełniła ją choroba. Jako metafora losu.

Gdy załamała się
wiara Sontag w utopię,
 jej życiu groziła pustka.
 Wypełniła ją jednak choroba.
 Jako metafora losu.

Styl radykalny, właściwy autorce „Notatek o kampie”, prezentuje godna wspomnienia historia znana z dwóch źródeł: jej dziennika „Jak świadomość związana jest z ciałem” i zbioru rozmów Słomona Wołkwa z Josefem Brodskim „Świat poety”. Mianowicie w roku 1977 Sontag z Brodskim odwiedzili w Wenecji Olgę Rudge, towarzyszkę życia Ezry Pounda. Sontag odnotowuje „wielkie popiersie Pounda” na podłodze i – z ciężkim jak ono samo niesmakiem – odprowadzany wobec gości rytuał zdejmowania z Pounda zarzutu kolaboracji. Co się tam stało naprawdę, opowiada Brodski, którego ta wizyta przyprawiała o depresję, paraliżując wolę sprzeciwu. Ale do czasu.

Gdyż wtem do akcji wkroczyła Sontag. „Aż tu nagle Susan mówi... A rzec trzeba, że Susan ma pewien piorunujący dar – gdy dyskusja wygasa i szybko się uspokaja, każdy wrócił do równowagi – hups! Jak u Dostojewskiego... A więc Susan rżnie nagle wprost w oczy Oldze taki tekst: »Chyba nie myślisz, Olga, że Amerykanie byli tak wściekli na Pounda za te radiowe pogadanki. Gdyby rzecz szła o same audycje, nie znaczyłby nic więcej, niż jeszcze jedna 'Tokijska Róża'«. (...) »Cóż więc tak obrzydziło Amerykanom Ezrę?« A Susan, krótko: »No, to proste – antysemityzm Ezry«». I tak rozpoczęta szarżę opisuje Brodski z zachwytem, jaki zwykł towarzyszyć ruszającej na odsiecz kawalerii Stanów Zjednoczonych w westernach. Cała scena wzbogaca portret Sontag o dwa wyraziste rysy, które zwykle chodzą w parze, o ile nie są wprost tym samym: bezkompromisowości i donkiszoterii. Otóż to: była skandalistką bezpośredniości.

Albowiem nie zamierzała budzić swojej generacji grzecznie. Do tego stopnia, że okazała się modelową tępiciełką wampirów w komiksie Julia Cortàzara („Fantomas przeciw międzynarodowym wampirem”, przeł. Zofia Chądzyńska). Na kogo zresztą wyrosnąć mogła szesnastolatka, która w 1949 r. zapisała w zeszytach notatek z wywiadu: „Komentarze autora swoją banalnością zdradzają jego książkę”? A od-

pytywanym był nie kto inny jak Tomasz Mann! Ta dziewczyna nie знаła strachu, ale tego typu odwagi nie da się oddzielić od naiwności.

Wewnętrzna uczciwość jest tu namiętnie łączona z intelektualną ostrością widzenia. „W co bardziej podniosłych momentach myślę, że zajmuję się ścinaniem głów tak jak Herkules, który ścinał głowy Hydrze, wiedząc przecież doskonale, że dokładnie takie same fałszywe, demagogiczne przekonania odrodzą się gdzieś indziej” – zdradziła Cottowi. Toczyła boje z demagogiami całego świata. A o to, że Hydrze odrastają głowy, obwiniła siebie. Syn, David Rieff, pisał, że z dzienników wylania się „surowy i nieupiększony obraz Susan Sontag jako młodej kobiety, która z pełną świadomością i determinacją tworzy osobę, jaką pragnie zostać”. Na leżała do ludzi, których świat wewnętrzny nigdy nie jest gotowy.

Między Logosem a Erosem

Jej lekturom towarzyszą: „ekstaza intelektualna”, „pożądliwość intelektu” i inne podobne konstrukcje. Zamieszkiwanie w świecie książki wiąże się dla niej z nieznaną większości śmiertelników skalą podnieci: drażnieniem, kołysaniem, uwodzeniem sprzecznością.

W czytaniu – i nie tylko w nim – chce godzić ekstremę wizji i obróbki analitycznej. Biegun miłosny i chłodnego dystansu. Antynomię kontroli i utraty panowania. Rzec można, prawdziwa „neurotyczna osobowość naszych czasów”. Zdolna do brawury, a jednocześnie przeglądająca się w setkach takich wpisów: „Czy nie umiałam sobie wyobrazić, że ktoś już mnie wcześniej dostrzegł? (...) Umiejętne pomniejszanie się, przycinanie było tylko kwestią sprytu i zdolności obserwacji”. Spostrzeżenia na temat relacji z matką, wojen małżeńskich, które „są pełnym przeciwieństwem, antytezą ostrych, bolesnych starć kochanków”, wreszcie związków z partnerkami spisywała raz jak kobieta znająca życie, to znów jak seminarzystka robiąca skrętne notatki.

W osobowości Sontag było bowiem coś pensjonarskiego: seminarium jako metafora życia... Sążniste, spisane w zeszytach listy lektur są ilustracją niegasnącej chłonności. Dość przejrzyć te maniakckie listy książek i filmów niepoznanych oraz już zaliczonych.

Jej dzienniki to wyciąg z procesów samokształcenia i z wiwisekcji. Z tego, co dać jej

mogą na przemian Logos i Eros. Gdyż taka rozpiętość ma swoją cenę. By tak przeżywać świat, trzeba się do niego odwrócić swoją miękką stroną. Tak odczytuję program zawarty w przedostatnim zdaniu eseju „Przeciw interpretacji”: „Bardziej bezpośrednio doświadczać tego, co jest”. Trzeba zaryzykować cierpienie. I nie tylko. Także błędy.

Każda generacja sama tworzy supeł, nad którym potem siedzi. Zaspokajanie Sontag tkwi w tym, że była jeszcze z kultury pisma i już z kultury audiowizualnej. Książki są dla niej równie ważne jak filmy, a filmy jak fotografia. A wraz z tą ostatnią – zamieść obrazów kultury masowej, kolejne wyzwanie dla dyżurnej intelektualistki. Wypuszczona, zarazem cierpi od nadmiaru bodźców, który zdaje się przekraczać pojemność jednej biografii. A jednak doskonale wie, że gdyby wybrała, przestałaby być sobą.

Zaangażowanie

Sontag rzuciła się łapczywie na wszystko, co nie znaczy, że o wszystkim miała wyrobiony sąd. Miała jednakże pogląd na literaturę jako zjawisko społeczne. Interesowała ją tylko sztuka będąca tekstem – należała bowiem do Ludu Księgi. Jak jednak ktoś taki wystąpić mógł przeciw procedurze interpretacji? Wszak myśl rozmnaża się przez interpretację! A właśnie ten dogmat humanistyki podważa wspomniany jeden z jej najważniejszych esejów. Słowem, pod koniec pierwszej połowy lat 60.

Sontag powtarza swój niedawny chwyt z eseju o kampie: tam atakowała megalomanię sztuki wysokiej, tu – uroszczenia intelektualizmu, który chce w gruncie rzeczy upokorzyć twórczość. Dobrze się wczuła w resentymenty ówczesnych nowojorskich *highbrow* i „mandarynów” paryskich.

Chodzi więc o obronę sztuki, literackiej i wszelkiej (poza może muzyką), przed trybunałem intelektu, który wmawia odbiorcy, że bez jego pomocy nie zdoła on nic pojąć, mało tego – że wszelkie spontaniczne reakcje są nieważne albo wprost reakcyjne. Gdyż bez aktualizującego komentarza rozumienie dzieła sztuki jest nieaktualne, czyli niepostępowe, czytaj: – reakcyjne. Polscy nieczytnicy Sontag z roku 1964 ten kurs zaliczyli dekadę wcześniej – za socrealizmu.

W oczach Sontag jest to jeden wielki kant. Najpierw bowiem te lub owe gremia uznają, że istnieje jakiś kanon, który dla wyższych celów trzeba, począwszy od szkoły, konsumentom dzieł sztuki narzucać. Potem przyjmuje się z cicha, że konsumenta, zazwyczaj z różnych względów przymusowego, ów kanon śmiertelnie nudzi. Toteż w tym punkcie do dzieła przystępuje interpretator, który nie ma innego wyjścia, jak wyjaśnić, że prawdziwy sens jest skryty pod zniechęcającą formą. Jest prawdziwy dlatego, że ukryty, i jest ukryty dlatego, że prawdziwy. „Współcześnie interpretacja jest jak niszczące wykopaliska. Drajy »pod« tekstem, by odnaleźć

prawdziwy pod-tekst. (...) Wszystkie obserwowalne zjawiska ujmuję się w nawias jako, by przywołać słowa Freuda, *t r e ś ć j a w n ą*. Sonduje się ją i odsuwa na bok, by odnaleźć pod spodem prawdziwe znaczenie – *t r e ś ć u t a j o n ą*. Impuls do rozpoczęcia interpretacji stanowią dla Marksa wydarzenia społeczne, takie jak rewolucje i wojny, a dla Freuda – zdarzenia z życia jednostki”. Krótko mówiąc, drodzy czytelnicy bądź widzowie, to, co rozumiecie, tylko ludzi was zrozumiałością. Żeby faktycznie zrozumieć, trzeba mieć technikę wnioskowania, czyli tak zwaną teorię. A kto ma monopol na teorię? My, intelektualiści. Tym sposobem wiedza uzurpuje sobie władzę. Władzę, której skądinąd odmawiają jej politycy jako z reguły zakompleksione gbury, uwzględniające jedynie motywacje prostackie.

Tak mniej więcej daje się odtworzyć myśl w pojęciu Sontag radykalna. Lecz, ma się rozumieć, za bardzo sama była intelektualistką, by przestać interpretować. Przeciwnie, interpretowała jak szalona wszystko, czego mogła osiągnąć. To nie jedyna sprzeczność, która nadaje wyrazistość jej życiu. Miała ambicję wymykać się modom intelektualnym, lecz łapczywie śledziła aktualność. Żyła jak rasowa feministka, a upierała się zachowawczo przy nadpłciowości literatury. Specjalistka od kontrowersji, poświęcała się konwersji spraw niejasnych na *common sense*. Wyznawczyni dobroczynnej magii lektury, potrafiła ją zwrócić przeciw irracjonalnej logice systemów totalitarnych. Ciało zdradzała z duchem, ducha – z ciałem. Spontanizność ze spekulowaniem. Kontemplację z sylogizmem. Jej biografia dowodzi, że wiedza nie daje szczęścia, ale też szczęście bynajmniej nie pogłębia wiedzy. I jak to jest, kiedy pragnie się obu? Trzeba żyć w szczelinie między nimi i obwarować się w niej autonomią. Wypracowała sobie technikę myśli zdolną do wyostrażania sprzeczności, mając za tajny ideał życie sprzeczności godzące. To bardzo absorbująca kontrowersja, można zapełnić nią całą biografię. A tymczasem coś, do czego było się może powołanym, z wolna się wymyka.

Eskimosi, jak wiadomo, są ludem najlepiej przystosowanym do życia w warunkach polarnych. Ale nie oni odkryli biegun. „Społeczeństwo spektaklu” też napisał kto inny.

© ELIZA KĄCKA

Susan Sontag: „Jestem pisarką adwersarzem, autorką polemiczną”

Była jedną z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych intelektualistek amerykańskich ostatnich dekad XX w. Jej teksty, takie jak „Notatki o kampie”, „Przeciw interpretacji”, „O fotografii”, „Choroba jako metafora”, „AIDS i jego metafory”, „Widok cudzego cierpienia”, należą do klasyki współczesnej humanistyki i krytyki kultury.

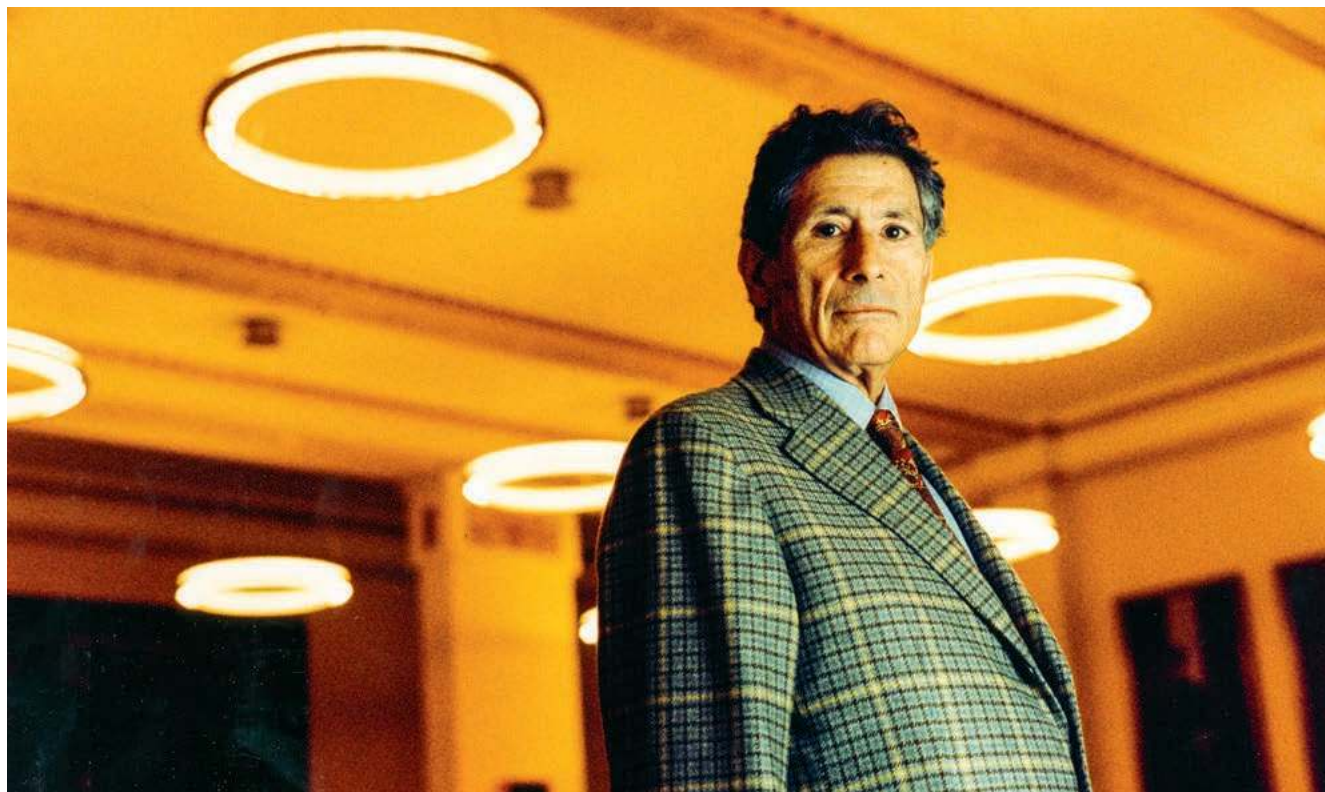
Łączyła przenikliwość i oryginalność analiz z zaangażowaniem w życie publiczne i obronę praw człowieka: w latach 80. wspierała ruch Solidarności, podczas wojny w byłej Jugosławii pojechała do

obłożonego Sarajewa, by w tamtejszym teatrze wyreżyserować „Czekając na Godota” Samuela Becketta, krytykowała reakcję władz amerykańskich na zamach 11 września. Powiedziała kiedyś o sobie: „Jestem pisarką adwersarzem, autorką polemiczną. Piszę, by opowiedzieć się za tym, co jest atakowane, i by atakować to, co budzi aprobatę”.

W Polsce ukazały się trzy jej powieści („Zestaw do śmierci”, „Mitośnik wulkanów”, „W Ameryce” – pierwowzorem bohaterki tej ostatniej jest Helena Modrzejewska). Od kilku lat wydawnictwo Karakter udostępnia sukcesywnie eseistykę Sontag i jej dzienniki (tom 1 – „Odrodzona. 1947–1963”, tom 2 – „Jak świadomość związana jest z ciałem. 1964–1980”), opublikowało też tom jej rozmów z Jonathanem Cottem „Myśl to forma odczuwania”.

© TP TF

Susan Sontag, **STYLE RADYKALNEJ WOLI**, przeł. Dariusz Żukowski, Karakter 2017



FRANCIS TSANG / GETTY IMAGES

Edward Said, 2007 r.

Umysł na wygnaniu

DOROTA KOZIŃSKA

Nadchodzi chwila, w której artysta przestaje odnosić się do czegokolwiek poza własnym doświadczeniem i własną niemożnością. Edward Said pisał o tym w ostatnich dniach życia.

WSZYSCY SIĘ NA NIEGO POWOŁUJĄ, ALE czy ktoś go zrozumiał? W sławnym „Orientalizmie” pisał, że zarówno Wschód, jak i Zachód to pojęcia, za którymi stoi długa tradycja myśli i wyobrażeń – są jak dwa byty równoległe i poniekąd symetryczne. Zrozumiano z tego tylko tyle, że Zachód stworzył obraz Wschodu, w którym zachodni styl dominacji odbił się jak w zwierciadle, obraz fałszywy, naznaczony piętnem władzy i przewagi nad dzikim Orientem.

Zastrzegając, że nie sposób mówić o poważnym badaniu jakichkolwiek kultur, idei oraz historii, jeśli pominiemy leżące u ich sedna układy sił. Zapamiętano z tego tyle, że Zachód nie jest zainteresowany poznaniem Wschodu, a jedynie wyodrębnieniem różnic dzielących Orient od znajomego porządku świata.

Uświadamiał, że przedmiotem powszechnej wymiany kulturalnej nie jest prawda, lecz jej przedstawienie. Wyciągnięto stąd wniosek, że zachodni orientalizm nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, jest zaledwie interpretacją realnego świata Wschodu, i to – na domiar złego – interpretacją niesprawiedliwie wartościującą.

Najbardziej znaną pracę Edwarda Saida, wydaną w 1978 r. przez Pantheon Books i spolszczoną dwukrotnie (w roku 1991 przez Władysława Kalinowskiego i 14 lat później przez Monikę Wyrwas-Wiśniewską), uznano za przełomową wykładnię imperializmu kulturowego, jego autora zaś – za współzałożyciela i jednego z najistotniejszych teoretyków postkolonializmu.

Polscy humaniści z upodobaniem podpierają się wyrwanymi z kontekstu cyta-

tami z „Orientalizmu”, roztrząsając dylematy naszej własnej narodowej tożsamości. Powołują się nań rodzimi orędownicy sprawy palestyńskiej. Zawłaszczają go nasi lewicowi intelektualisci, nie dostrzegając, że Said – w głębi wykluczonej ze wsząd duszy – był niepoprawnym konserwatystą. Czytamy Saida powierzchownie, na wrywki, z reguły w przekładach, których wciąż jest załóżnie niewiele. Z pięciu do niedawna dostępnych w Polsce tytułów zaledwie dwa plasują się w głównym nurcie jego spuścizny: „Orientalizm” i późniejszy o 15 lat zbiór esejów „Kultura i imperializm”.

Mózg wie lepiej

Kim był Edward Said, który zmarł w 2003 r., nieco ponad dwa lata po atakach na nowojorskie wieże WTC? Kiedy recenzowałam polskie wydanie jego rozmów z Danielem Barenboimem („Paralele i paradoksy”), nie mogłam napisać z czystym sumieniem, że to dialog Palestynczyka z Żydem, bo koleje losu obydwu były znacznie bardziej skomplikowane. Barenboim przyszedł na świat w Buenos Aires, wychował się w Izraelu, karierę pianistyczną i dyrygencką rozpoczął w Wielkiej Brytanii, kontynuował ją w Stanach, w końcu osiadł w Niemczech. Said urodził się wprawdzie w Jerozolimie, ale w zangielizowanej i schrystianizowanej rodzi-

nie. Obydwaj mieli pretensje do swoich rodaków – Barenboim nie znosił ciasnoty umysłowej Izraelczyków o skrajnych poglądach, Said nie mógł wybaczyć Arafatowi porozumień z Oslo. Barenboim czuł się najlepiej w „idei” Jerozolimy. Jedno z pierwszych wspomnień Saida wiązało się z pragnieniem, żeby być gdzie indziej.

Jego palestyński ojciec, Wadie Said, walczył w I wojnie światowej pod dowództwem Johna Pershinga – w Amerykańskim Korpusie Ekspedycyjnym. W uznaniu zasług wojskowych został uhonorowany obywatelstwem Stanów Zjednoczonych. Po wojnie otworzył sklep papierniczy w Kairze, wkrótce potem zaczął prowadzić interesy w Jerozolimie, od 1922 r. stolicy Brytyjskiego Mandatu Palestyny. W 1932 r. ożenił się z młodszą Libanką o imieniu Hilda – podobnie jak jej mąż, arabską chrześcijanką, doskonale wykształconą panną z dobrego domu, która urodziła mu sześćoro dzieci. Wszystkie – włącznie ze zmarłym w niemowlęctwie Geraldem – dostały angielskie imiona. Na wszelki wypadek, gdyby Palestyna przestała istnieć.

Mały Edward, urodzony w 1935 r., spędził pierwsze lata życia kursując między Kairem a Jerozolimą. Kiedy rozpoczął naukę w St. George's School, prowadzonej przez brytyjskich anglikanów w stolicy Palestyny, poczuł, że nigdzie nie jest u siebie: ilekroć odzywał się po angielsku, mózg nieubłaganie tłumaczył jego słowa na arabski, i na odwrót. W Victoria College w Aleksandrii, dokąd uczęszczał ramieniem w ramię z Michele Chalhoubem, znanym później jako Omar Sharif, oraz przyszłym królem Jordanii Husejnem ibn Talalem, dojrzał w nim nastoletni bunt.

Relegowany ze szkoły w 1951 r. za złe sprawowanie, wylądował w Stanach Zjednoczonych, w prywatnej Mount Hermon School w stanie Massachusetts. Doskonałym wynikiem w nauce towarzyszyło narastające poczucie wyobcowania. Wielojęzyczny, uwikłany w splót kultur, tęskniący nie wiadomo za czym Edward zyskiwał kolejne stopnie i posady naukowe: licencjat obronił w Princeton, magisterium i doktorat na Uniwersytecie Harvarda, karierę akademicką związał na zawsze z Columbia University w Nowym Jorku.

Mało kto w Polsce wie, że Said zajmował się nie tylko teorią literatury, lecz także muzyką – oraz znacznie szerszą, zachodzącą na obydwie dyscypliny refleksją nad autokreacją: „samostwarzaniem”

autora w dziele i działaniem za pośrednictwem własnej twórczości. Mało kto wie, że muzyka była dlań punktem odniesienia we wszelkich badaniach tradycji i praktyk kulturowych.

Said – między innymi dzięki matce – znakomicie grał na fortepianie, pisywał recenzje muzyczne do prestiżowych czasopism, śledził najnowsze tendencje w muzykologii. Umiał słuchać, interpretować muzykę i o niej rozmawiać. Aparat pojęciowy do swoich studiów komparatystycznych czerpał ze świata dźwięków. Pisał o kontrapunktycznych, rozwijających się bez tematu przewodniego prądach współczesnej humanistyki; rozważając konteksty społeczne, nawiązywał do „Śpiewaków norymberskich” Wagnera; znaków tożsamości dopatrywał się w liniach melodycznych pieśni Schuberta.

Przestrzegał przed nadmierną swobodą interpretacji, przed obsesyjnym poszukiwaniem „siebie”, które prowadzi do agresji wobec Innego, przed myleniem przystępności ze zrozumiałością. Żarliwie bronił kulturę przed zalewem nowego barbarzyństwa.

Zagadka stylu późnego

Najpiękniej i najboleśniej czynił to w późnych esejach o stylu późnym, zainspirowanych wziętym od Theodora W. Adorna pojęciem *Spätstil* – „tym, co ma miejsce, gdy w obliczu rzeczywistości sztuka nie rezygnuje ze swoich praw”. Zbiór tekstów pisanych przez Saida przed śmiercią po długiej walce z białaczką – porwanych, niedokończonych, nieuporządkowanych – ukazał się właśnie w znakomitym przekładzie. Said po mistrzowsku rozwija – i dookreśla – myśl Adorna, że twórczość dojrzała manifestuje się często egzystencjalnym lękiem, niezgodą na świat zastany, świadomym powrotem do oswojonego systemu wartości. Tłumaczy, skąd bierze się zwięzłość Konstandinosa Kawafisa i gorzki humor Eurypidesa. Dlaczego Ryszard Strauss – po nowatorstwie partytur „Salome” i „Elektry” – skrył się na powrót w „sztuczny” kokon XVIII stulecia. Dlaczego Glenn Gould wolał nagrywać, niż występować przed publicznością. Dlaczego reżyserzy tajemniczej opery Mozarta „Così fan tutte” nie powinni nawiązywać ani do „bezpowrotnej minionej przeszłości”, ani do „ekscentrycznej, uprzywilejowanej i niepoważnej teraźniejszości”.

Said pisze to wszystko jak nomada zagubiony między dwoma światami, rozpięty

między przeciwstawnymi biegunami paradoksu postrzegania, zakleszczony w pułapce odesłanej do lamusa erudycji, która jeszcze niedawno była chlebem powszednim każdego wykształconego człowieka. Kieruje swą refleksję do współczesnego humanisty, nie mając złudzeń, że trafia w próżnię, bo dziś „intelektualista właściwie nie wie nic o wykonawstwie muzycznym, rzadko grywa na jakimś instrumencie, nie uczył się solfeżu, nie studiował teorii”. Gorzko brzmią te słowa Saida, który zbudował swój warsztat badawczy na sztuce kontrapunktu i fugi, analizie tonalności funkcyjnej, roztrząsaniu muzycznych kategorii dysonansu i konsonansu.

Wszystkie jego przemyslenia prowadzą w gruncie rzeczy do jednej konkluzji: styl późny to swoiste wygnanie. Ten etap twórczości, w którym autor ostatecznie zdaje sobie sprawę, co zdoła osiągnąć, a z czym już nigdy się nie rozprawi. Moment pogodzenia albo buntu. Chwila, w której artysta przestaje odnosić się do czegośkolwiek poza własnym doświadczeniem i własną niemożnością. Gorzka konstatacja, że tej Palestyny, bądź innej ojczyzny, nigdy nie było. Że nie ma powrotu donikąd – poza garścią wyrwykowych, ulotnych wspomnień minionego czasu.

Szkice „O stylu późnym” powstawały w ostatnich miesiącach życia Edwarda Saida. Książkę dokończyli zań przyjaciele, przede wszystkim Michael Wood, profesor Uniwersytetu Princeton, który przygotował materiał do ostatecznego wydania. Sam później przyznał, że Said wolał pozostawić te eseje w postaci otwartej. Niewykluczone, że zdanie z pierwszego rozdziału, w którym Said definiuje styl późny jako „doświadczenie całkowicie pozbawione harmonii”, jako „celowo nieproduktywną produktywność p o d p r ą d”, zabrzmiałoby dosadniej, gdyby Wood go nie poprawił. Bo w papierach Saida zostało po prostu: „*unproductive productiveness going against...*”. Skierowaną przeciw czemu? Arogancji nieuważnych czytelników „Orientalizmu”? Bałamutnym interpretacjom wystąpień Saida w sprawie palestyńskiej? Bezradności zwykłego człowieka w walce z nieuleczalną chorobą? Ironii losu wiecznego wygnańca? Nie wiadomo. Zagadka stylu późnego wciąż czeka na rozwiązanie. ©

Edward Said, O STYLU PÓŻNYM. MUZYKA I LITERATURA POD PRĄD, przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska, Ossolineum, Wrocław 2017

Władza i gwałt

DARIUSZ KOSIŃSKI Z PRAGI

Kłata wydobywa z Szekspira tęsknotę za miłosierdziem, zrozumieniem i przebaczeniem, których coraz mniej.

DIVADLO POD PALMOVKOU NIE NALEŻY dziś do pierwszej ligi czeskiego teatru. Po zniszczeniach spowodowanych przez powódź popularny niegdyś praski teatr wznowił działalność w roku 2015. Przeważają tu popularne sztuki mieszczańskie, ale od czasu do czasu przygotowuje coś eksperymentalnego, adresowanego do młodszej widowni. To tutaj Jan Kłata wystawił „Miarkę za miarkę” Williama Szekspira – pierwszy spektakl po zakończeniu misji w Starym Teatrze.

Losing my religion

Praska „Miarka...” to spektakl „Kłatyczny”: łączy czasy i kostiumy, miesza znaczenia i aluzje tak do współczesności politycznej (otwierająca spektakl scena, w której Książę Wiednia przegląda teczkę podaną mu przez agenta wiadomych służb), jak i kulturowej (seksualny pomocnik Lucjo ubrany tylko w czerwone szorty i wyglądający jak postać ze „Słonecznego patrolu”). Zaplątanej intrygi nie darzy się tu specjalną estymą i skraca ją beczelnie, trafnie i funkcjonalnie.

Nad spektaklem wisi zagadka, atmosfera jest lepka i męcząca na sposób isticie gombrowiczowski. Dotyczy ona przede wszystkim Księcia (Jan Vlasák) – starego, szczwanego lisa, snującego ważną, a zarazem przewrotnie bawiącą go intrygę, której regułę długo nie będzie nam dane poznać. W pierwszych scenach upudrowany, w anachronicznym stroju i peruce, sprawia wrażenie nieco groteskowe. Ale gdy ukrywa się pod zakonnym habitem, pozwala sobie na ujawnienie perwersyjnej przyjemności, jaką czerpie z manipulowania innymi. Nie o władzę chodzi Księciu, lecz o przyjemność czerpaną z podglądania i manipulowania innymi, przyjemność – powtórzę – gombrowiczowską, podsiąkniętą tą samą ciemną erotyką, jaka kierowała bohaterami „Kosmosu” i „Pornografii”. To ona prowadzi Księcia do więzienia, gdzie jako spowiednik skazańców może się swobodnie rozkoszować ich nagością – tą prawdziwie go podniecającą, która pojawia się, gdy zdjęte zostają kulturowe kostiumy, starte makijaże.

Uwięzieni w pleksiglasowych celach śpiewają „*Losing My Religion*” R.E.M.

Premiera spektaklu „Miarka za miarkę”, Praga, 27 stycznia 2018 r.

w wersji stylizowanej na chorał gregoriański. Wtedy spod powierzchni zdarzeń tryska jakby ciemny nurt spektaklu: temat religii. Na zewnątrz obecny niemal jedynie jako kostium, zestaw standardowych ról, słów i gestów, pod spodem pulsuje tęsknotą za miłosierdziem, zrozumieniem i przebaczeniem, których coraz mniej.

Nic nie rzekła aniołowi

W nieoczywisty, spleciony, a zarazem silnie afektywny sposób temat religii i związanej z nią władzy łączy się u Kłaty z tematem władzy seksualnej, dotkliwie rozgrywanym w dwóch kulminacyjnych sekwencjach spektaklu – dwóch gwałtach.

Pierwszy to gwałt Angela na podstawie mu zamiast Izabeli Mariannie. Nie ma w tej scenie żadnego miłosnego uniesienia. Jest wykonywany niemal na zimno akt wzięcia w posiadanie, wyciskania dominacji na ciełe zmuszonym do podległości. To scena z tych, na które patrzy się, pragnąc, by już się skończyła. Ale właśnie dlatego trwa długo i jest rozgrywana precyzyjnie w każdym szczególe. Spokój i rosnąca pewność Angela, który sprawia wrażenie, jakby działał w imię jakiegoś wyższego porządku. I milczenie Marianny, która nie ma słów i rozgrywa cały dramat zniewolenia i ponizienia gestami rąk, napięciami ciała, skrzywieniem twarzy.

Słów nie ma też Izabela w finałowej scenie niszczącej Szekspirowski *happy end*, w którym oświadcza się jej „sam Książę”. Po wypowiedzeniu ostatnich słów na scenie zostają tylko Książę i Izabela. On zaczyna się rozbierać, obnażając stare ciało aktora. Zostaje w slipach z czerwonym napisem „Amor” (z tyłu wspak: „Roma”). Nawilża dłonie żelem i kładzie się obok sterującego na podłodze sztucznego fallusa. Wolno gładzi go dłonią, patrząc spokojnie na coraz bardziej przerażoną Izabelę. O to w końcu chodziło. By bezkarnie, w pełni, a zarazem beczelnie, bezdotykowo pojąć to młode ciało. W ciemnym nurcie spektaklu pozbawiona miłości religia zlewa się we wzburzony wir z pozbawionym miłości cielesnym posiadaniem.

Gdy scena się kończy, publiczność czym prędzej zaczyna klaskać, starając się zagłuszyć jej echo. Ale ono trwa. Słychać je, gdy wychodzimy z metra w samym centrum i idziemy przez most Karola, obok całujących się par robiących sobie *selfie* pod figurą Ukrzyżowanego. Jutro jest 14 lutego. W tym roku walentynki i Popielec przypadają tego samego dnia. ©



MARTIN ŠPELDA / DIVADLO POD PALMOVKOU

Twarze Berlinale

ANITA PIOTROWSKA Z BERLINA

Nagrodzony Srebrnym Niedźwiedziem najnowszy film Małgorzaty Szumowskiej wydaje się idealnie skrojony pod zakończony właśnie Międzynarodowy Festiwal Filmowy.

TA IMPREZA MA DLA POLAKÓW SZCZEGÓLNE znaczenie, nie tylko ze względu na bliskie sąsiedztwo i ważne nagrody przyznawane tu w ostatnich latach Andrzejowi Wajdzie, Agnieszce Holland, Tomaszowi Wasilewskiemu czy – również w tym roku, podczas 68. edycji imprezy, za „Twarz” – Małgorzacie Szumowskiej. Na placu Poczdamskim, w miejscu dawnego muru, gdzie Wschód symbolicznie spotyka się dziś z Zachodem, można poczuć bardziej niż gdziekolwiek indziej na filmowej mapie świata, że Polska ciągle jest w Europie.

Dlatego przyszłość berlińskiego festiwalu filmowego powinna leżeć nam na sercu. Tymczasem nerwowe pytanie „Co dalej z Berlinale?” padało w tym roku nader często i nie tylko w kontekście przyszłorocznego odejścia wieloletniego dyrektora, Dietera Kosslicka, ale i ewentualnych zmian programowych. Zróżnicowany werdykt tegorocznego jury dał nadzieję, że festiwal nie zastygnie w przewidywalnym kształcie – gdzieś pomiędzy kinem głównego nurtu a tym powierzchownie zaangażowanym czy niestrawnie artystowskim.

Zestaw do składania

W natłoku tytułów fabularnych i dokumentalnych oraz wydarzeń branżowych skupionych wokół prężnego European Film Market konkurs główny, będący solą tego typu imprez, również często, co poruszenie, mógł wywołać wzruszenie ramion. Chętniej stawiał na nazwiska i problemy, bądź przyznawał „punkty za pochodze-



Małgorzata Szumowska podczas gali wręczenia nagród, Berlin, 24 lutego 2018 r.

nie”, zamiast poszukiwać świeżej krwi. Gdzie, jak nie na festiwalach, mają się objawiać nowe twarze i języki filmowe? Na pewno nie w Berlinie – mówią wieloletni bywalcy, odsyłając raczej do Cannes czy Sundance. Albo do licznych sekcji pozakonkursowych, przeznaczonych dla zbieraczy osobliwości. Taka polityka festiwalowa sprawia, że od pewnego czasu powstają filmy wręcz skrojone pod berliński konkurs.

Tak właśnie jest z najnowszym dziełem Małgorzaty Szumowskiej, uhonorowanym drugą co do ważności nagrodą i stanowiącym pod wieloma względami idealną twarz Berlinale. Opowieść o chłopaku, który po przeszczepie twarzy wraca do rodzinnej wsi na Sądecczyźnie, gdzie doświadcza, z nielicznymi wyjątkami, negatywnych reakcji w postaci odrzucenia, wyśmiewania, a nawet demonizowania jego ułomności, przez samą reżyserkę na łamach gazety festiwalowej został obwołany alegorią współczesnej Polski.

Czyżby również zagraniczni juryzy odnaleźli w tym filmie spełnienie najczarniejszych wyobrażeń o naszym kraju? Nawet jeśli trochę tak było, to trzeba zauważyć coraz większą bie-

głość realizacyjną polskiej reżyserki. Należy też pochwalić zdjęcia Michała Englerta, którego kamera naśladuje zniekształconą w wyniku wypadku percepcję, dostrzec charakterystyczny geniusz Waldemara Pokromskiego, który stworzył aktorowi Mateuszowi Kościukiewiczowi drugą twarz, nie mówiąc o samym aktorstwie, zwłaszcza Małgorzaty Gorol i Agnieszki Podsiadlik. Tym trudniej jednak oprzeć się wrażeniu, że film Szumowskiej, skupiającej wokół siebie wyjątkowo zgrany zespół utalentowanych ludzi, ostatecznie poszedł na łatwiznę i zredukował przebogatą metaforę związaną z twarzą (jako „gębą”, emblematem tożsamości czy inności) do jednego tylko wymiaru. Wykluczenie głównego bohatera zderzone zostało z przasną polskością dostarczoną nam w gotowym pakiecie. A w nim obowiązkowo musiało znaleźć się miejsce na ksenofobię, seksistowskie żarty, obrzędowy katolicyzm na czele z księdzem pazernym i obłęsnym, rodzinne piekielko przy świętym stole i na dokładkę groteskową scenę egzorcyzmów. Nad wszystkim zaś unosi się gigantyczna figura Chrystusa Króla. Słowem: sama świeżość!

FABRIZIO BENSCH / REUTERS / FORUM

→ Już w pierwszej scenie, niczym w słynnym dokumencie „Czeski sen”, widzimy, jak wygłodniały motłoch szturmując hipermarket, a następnie wyskakując z ubrań, by wziąć udział w „promocji dla golosów”. Wśród nich jest mężczyzna, który na tylnej części slipów prezentuje nazwę ojczyzny tego kraju. Nic dziwnego, że spotkany tuż po pokazie prasowym polski dziennikarz o zdecydowanie lewicowych poglądach wyznał, że czuł się podczas seansu niczym prawnik publiczny. Na szczęście Szumowski nie brak w tym wszystkim poczucia humoru wykraczającego chwilami poza protekcjonalną „szyderę”, a wplecione w tkaninę filmu sceny oniryczne czy baśniowe sugerują, że ten przerysowany obraz rzeczywistości ma wiele cech okrutnej fantazji.

Artyzm i „artyzm”

Rzeczywistość zaskrzeczała najboleśniej przy okazji filmu „Utøya 22 lipca” Erika Poppego, niesłusznie pominiętego przez jury. Wywołał on najwięcej dyskusji na temat tego, co i jak można pokazać na ekranie, a w tym przypadku na temat sensowności inscenizowania traumatycznych wydarzeń z nie tak odległych lat. Masakra na norweskiej wyspie to dla widza doświadczenie ekstremalne: nakręcona została w jednym ujęciu (72 minuty bez żadnych cięć), dając wrażenie bezpośredniego uczestnictwa i przejmując całkowicie punkt widzenia nastoletniej ofiary uciekającej przed zamachowcem. Co ciekawe, Poppe w swoim „spektakularnym minimalizmie” wyprowadza całą upostaciowioną grozę poza kadr, rzucając na pastwę naszej wyobraźni jedynie odgłosy strzelaniny. I choć stężenie suspensu i emocji nie pozwala na chwilę wytchnienia, wzbudzając chwilami podejrzenia o eksploatację tematu, trudno o bardziej radykalny gest solidarności z ofiarami zamachu. Oto bowiem twórcy całkowicie wycięli z tego spektaklu postać niejakiego Andersa Brei-

Złoty Niedźwiedź
dla „Nie dotykaj mnie”
to pozytywne zaskoczenie.
Filmu, który tak odważnie
mówiłby o cielesności,
jeszcze nie było.

vika – odbierając sprawcy nie tylko twarz, ale i nazwisko.

Jakże odmienne spojrzenie na terroryzm przyjął José Padilha („Elitarni”, „Narcos”) w pozakonkursowym filmie „Siedem dni w Entebbe”. Jest rok 1976. Zanim dojdzie do odbicia zakładników na ugandyjskim lotnisku przez izraelskie służby specjalne, oglądamy całą operację ze wszystkich możliwych stron. Głos dostają i porywacze, i porwani, ugandyjski dyktator Idi Amin i francuski kapitan samolotu, premier Icchak Rabin i minister obrony Szimon Peres, rozgrywający przy tej okazji wewnętrzny spór polityczny, a swoje racje i emocjonalne reakcje przedstawiają zarówno zdeterminowani terroryści arabscy, jak i ci z RFN, którzy segregując i trzymając na muszce żydowskich pasażerów, chcąc nie chcąc wchodzą w buty nazistowskich oprawców. Zrobiony „po amerykańsku” thriller z gwiazdorską obsadą nakręca w kulminacyjnych momentach wykorzystana twórczo choreografia Ohada Naharina z Batsheva Dance Company. Nie ma innej drogi w walce z terroryzmem, jak tylko rozmowa – konkluduje film niejako wbrew samej „Operacji Piorun”, która była przede wszystkim popisem przebiegłości i siły. Żeby jednak rozmowa była w ogóle możliwa, muszą do niej zasiąść wszystkie zainteresowane strony. Polifoniczny film Padilha jest próbą takiej właśnie rozmowy. W przeciwieństwie do szarpiącej trzewia „Utøyi” pokazuje, że w trakcie ataku terrorystycznego wszyscy, w tym również

zamachowcy i politycy, stają się zakładnikami sytuacji. A my razem z nimi.

Choć terror nie był bynajmniej tematem wiodącym, berliński konkurs od lat wyróżnia się zatroskaniem palącymi bądź niedostrzeganymi sprawami tego świata; czasem przyrzuca się przy tym oko na stronę artystyczną zatroskanych dzieł. Dlatego główny werdykt w tym roku okazał się nadspodziewanie odważny. Międzynarodowe jury pod wodzą Toma Tykwera („Biegnij, Lola, biegnij”, „Babylon Berlin”) nagrodiło co prawda filmy typowo „berlińskie” – jak wspomniana już polska „Twarz” czy „Las herederas” („Dziedziczki”) Marcela Martinessiego, przybliżające europejskiemu widzowi kinematografię paragwajską, tudzież problemy tamtejszego społeczeństwa z jego drastycznymi podziałami i konserwatywnym rozkładem ról płciowych (Srebrny Niedźwiedź Alfreda Bauera, nagroda FIPRESCI dla aktorki Any Brun) – jednakże Złoty Niedźwiedź przyniósł całkowite zaskoczenie, bardzo pozytywne. Od czasu „Intymności” Patrice’a Chéreau, nagrodzonego w Berlinie w 2001 r., nie było bowiem filmu, który tak odważnie mówiłby o naszej cielesności, a po prawdzie – nie było takiego w ogóle.

„Touch Me Not” („Nie dotykaj mnie”) Adiny Pintilie, pochodzącej z Rumunii debutantki, związanej dotychczas ze sztukami wizualnymi, wchodzi na grzaskie terytorium pomiędzy filmem fabularnym z udziałem aktorów a dokumentalną „filmoterapią”, w której biorą udział autentyczni ludzie z problemami seksualnymi, takimi jak lęk przed dotykiem czy, dla odmiany, rozpaczliwie pragnący bliskości, ale niezdolni do niej, na przykład z powodu niepełnosprawności, niestandardowego wyglądu czy niekonwencjonalnych upodobań. Reżyserka wchodzi z kamerą pomiędzy nich, lecz sama też odsłania swoją twarz i swoje psychofizyczne deficyty – jak gdyby bohaterowie, ci realni i ci fikcyjni (choć granice te ulegają w filmie zatarciu), stanowili jakąś część niej samej, a przynajmniej pomagali jej nazwać po imieniu jej własne zahamowania i kompleksy.

Gdyby nie ten film, wyznacznikiem „artyzmu” na tegorocznym Berlinale stałby się najprawdopodobniej Philip Gröning ze swą trzygodzinną pseudomedycyną pod tytułem „Mój brat ma na imię Robert i jest idiotą”. Właściwie można by poprzestać na samym tytule i spuścić nań kurtynę

Sąd Rejonowy we Wrześni, I Wydział Cywilny, pod sygn. I Ns 216/17, prowadzi postępowanie z wniosku Eweliny Wachowiak i Hanny Frąckowiak, o stwierdzenie zasiedzenia z dniem 23 marca 2017 r. własności udziału w wysokości 1/16 części w nieruchomości położonej we Wrześni przy ul. Powstańców Wlkp. 1, zapisanej w KW nr PO1F/00000906/5 Sądu Rejonowego we Wrześni, IV Wydziału Ksiąg Wieczystych w tej części jako własność Leonarda Dzieciuchowicza.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swe prawa pod rygorem pominięcia w postępowaniu.

milczenia, gdyby jego twórcą nie był reżyser zrealizowanej przed ponad dekadą dokumentalnej „Wielkiej ciszy”. Tym razem wytacza armaty znacznie cięższe niż w fabularnym debiucie „Żona policjanta”, każąc swoim bohaterom, nastoletnim bliźniakom płci obojga, buszować w trawie z filozofią Heideggera na podorędziu. Bycie i czas jeszcze nigdy nie znalazły na ekranie tak trywialnego spełnienia, miotając się pomiędzy *słowem* a wczesnym Michałem Haneke. Jeśli ktoś twierdzi, że filozoficzny wykład z samej definicji nie nadaje się do sfilmowania, niechaj sięgnie po kino Erica Rohmera, które potrafiło być bezpretensjonalnie filozoficzne, a zarazem naturalnie zmysłowe. Gröning w swoich papierowych spekulacjach okazuje się wtórny i fałszywie drapieżny.

W całej krasie

Nie chcąc tracić cennego miejsca na jeszcze inne wpadki berlińskiego konkursu, lepiej skupić się na tym, co było dobre. Weźmy choćby nagrodzonego za scenografię i kostiumy „Dowłatowa” Aleksieja Germana Młodszego (statuetkę otrzymała Elena Okopnaja), który stara się odmalować wewnętrzny pejzaż zapoznanego pisarza z Leningradu, choć koniec końców odtwarza głównie klimat jego epoki. Sowieckie lata 70. zostały uchwycone z całą ich materialną substancją: są tu zapchane i mocno zapachniałe komnaty, w których na przykład wszytkiemu melorecytuje się wiersze, są zburokratyzowane sowieckie wydawnictwa, które oddają na przykład nieprawomyślną literaturę, są i fabryki, gdzie odrzucany pisarz chałturzy w zakładowej gazetce. Kamera Łukasza Żala, nominowanego do Oscara za „Idę”, zachwyca nie tylko choreografią, szukającą odrobiny wolności w klaustrofobicznych przestrzeniach, ale i wyblakłą urodą świata, w którym mimo wszystko dało się barwnie żyć, co próbuje udowodnić filmowy Siergiej Dowłatow czy Josif Brodski, zanim znikną z tego pejzażu na zawsze, a zarazem poniosą go w sobie gdzieś dalej.

Siła i słabość takich festiwali jak Berlinale, skupiających wszelkie możliwe formy kina, flirtujące z komercją i tolerujące artystyczne brzmuchomówstwo, wiodące na anarchistyczne barykady (szwedzki „Real Estate” Axela Petersena i Månsa Månssona), to znów zafik-

sowane na wydumanych problemach pierwszego świata (patrz: „Eva” Benoita Jacquota z Isabelle Huppert, grającą od lat tę samą perwersyjną rolę), polega na tym, że w jednym szeregu stoją tytuły z pozoru do siebie nieprzystające, a jednak zbliżone w swej wymowie. Jak choćby wysmienita animacja lalkowa „Wyspa psów” Wesa Andersona (nagroda za reżyserię) z istic hollywoodzkim dubbingiem, a tuż obok, choć już w innej konkurencji, dokumentalne „El dorado” Markusa Imhoofa, które przedstawia błędne koło kryzysu uchodźczego z perspektywy lokalnej i globalnej, osobistej i zbiorowej. I oba filmy, wbrew wszelkim różnicom, brzmią w Berlinie podobnym głosem: pierwszy traktuje o gatunkowej, choć w podtekście rasowej odmienności, drugi natomiast pokazuje problem uchodźstwa w ujęciu historycznym i ekonomicznym. Podglądając ukrytą kamerą niewolniczą pracę afrykańskich imigrantów na włoskich plantacjach zarządzanych przez mafie, trudno będzie przełknąć pomidora pochodzącego z tej części Europy. Dołóżmy do tego mniej udany niemiecki „Transit” Christiana Petzolda, przerzucający pomost między żydowskimi uciekinierami z czasów II wojny światowej a dzisiejszymi uchodźcami z dotkniętych wojną zakątków świata, czy krążący wokół tematu obcości film Szumowskiej, a tendencyjny charakter berlińskiej selekcji objawi się w całej krasie.

Być może na takie festiwale jeździ się po to, by samodzielnie zbaczać z wyznaczonych ścieżek, a punktów wspólnych szukać wcale nie tam, gdzie je wyznaczono. Zwłaszcza że między „Sezonem diabła” Filipińczyka Lava Diaza, czyli czterogodzinny czarno-biały epos historyczny z elementami musicalu, a płaskim thrillerem „Niepocztałna” Stevena Soderbergha, nakręconym przy pomocy smartfonu, berliński festiwal oferuje naprawdę wiele. I niech tak zostanie. Oby jeszcze swoją główną i najbardziej reprezentatywną sekcję wprowadził z wielkiego supermarketu, zarządzanego przez producentów czy dystrybutorów, i spróbował dogodzić festiwalowemu widzowi nie tyle pozorną różnorodnością, co jakością swej oferty. Polskie sukcesy na Berlinale będą wówczas lśnić jeszcze większym blaskiem.

© ANITA PIOTROWSKA

WARTO ZOBACZYĆ W TV [3 – 9 III]

1. Tsunami: Po katastrofie



Miniserial,
reż. Bharat Nalluri,
Wielka Brytania/USA
2006, cz. I, HBO2, 7 III,
21.00, HBO, 9 III, 16.25

Dwuczęściowy film produkcji HBO opowiada o następstwach kataklizmu, który dotknął w 2004 r. Azję Południowo-Wschodnią. Bohaterami są poszukujący zaginionych bliskich oraz ci, którzy po tsunami próbują na nowo ułożyć sobie życie. W obsadzie pojawiają się m.in. Sophie Okonedo, Chiwetel Ejiofor, Toni Collette i Tim Roth.

2. Młynarski-Masecki Jazz Band



Koncert, TVP Kultura,
4 III, 21.55
Wydana niedawno płyta
„Jazz w wielkim mieście”
przypomniła o najlep-
szych kompozytorach

muzyki rozrywkowej polskiego międzywojnia. Jan Emil Młynarski i Marcin Masecki na nowo zinterpretowali ich utwory, przywołując klimat dawnych warszawskich kabaretów i dąsingów.

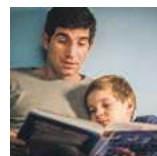
3. Oscary



Gala, Canal+, 4/5 III, 1.30
„Trzy billboardy za Ebbing,
Missouri” czy „Kształt
wody”? Po raz czwarty
Meryl Streep czy po raz
drugi Frances McDormand?

Który z laureatów wygłosi ze sceny Teatru Dolby najbardziej polityczną przemowę? Gospodarzem transmisji 90. ceremonii wręczenia Oscarów będzie w tym roku Jimmy Kimmel.

4. Skarb



Tragikomedial, reż.
Corneliu Porumboiu,
Rumunia 2016, Ale kino+,
8 III, 20.10

Twórca „12:8 na wschód od
Bukaresztu” legendę

o Robin Hoodzie czyta przez pryzmat dzisiejszych aspiracji swoich rodaków. Bohaterem filmu jest przeciętny ojciec rodziny, który asystując w poszukiwaniu zakopanych przed laty precjozów musi zmierzyć się z rozlicznymi dylematami natury moralnej.

JAN

Klata: Odcinek dwudziesty i ostatni



MOŻE PO KOLEI. ZACZYNA SIĘ MODLITWĄ, OD razu mnie wciągnęło ze względu na tematykę. Królowa seniorka chce sobie odpowiedzieć na pytanie, czy wracać do Krakowa (akurat chyba nie ma po co), czy też ulec „złej pokusie” (akurat złej pokusie nie warto ulegać). Król bardzo urosł od pierwszego odcinka, nawet na siedząco widać, że jest wielki. Wielki i bystry, od razu skojarzył ludzi, którzy wyklepali mu misy. Posiada trzy córki, ale nie posiada dla nich czasu. One chcą, by nauczył je władać mieczem, ale on nie chce, chyba że będzie musiał, ale oby nie musiał. Spytko ma zostać podczaszym.

Tymczasem Krystyn wstaje z więziennego barłogu, aby się załamać i poprosić o wybaczenie, wysypując Straszna Babę z Lasów pod Jędrzejowem, która ma tam chować się na czele bandy. Spytko okazuje się potencjalnie gorszym podczaszym niż Jaśko,

no ale jak znam życie, Jaśka pominą, promując jakieś miernoty. Zamyślam się.

Kundzia chciała wejść na konia. Niestety, królowa ją podszadzała. Ani chybi poroni następcę tronu. No, ale troski przemijają, gdyż do komnaty królowej wchodzi Agnieszka Mandat, wkładając się w jej łaski tekstem: „Ja tym z Poznania tak bardzo nie ufam”. Zamyślam się. Panowie robią sobie troszkę mieczem, wyraźnie naruszając ciszę nocną na terenie ośrodka, no ale kto królowi zabroni. „Karczmarzu, na rany Chrystusa, daj mi piwa!” Król robi huczną protopępkówkę (być może nieco przedwczesnie), osuszając dzban w towarzystwie aż dwóch (ciąć budzetowe) kumpli, z których jeden to Jasiek. Jasiek „dokonał wielką rzecz”. Zamyślam się. Wyszuszają dzban, a następnie się podnoszą, krzycząc „aaaaaa”. No i tak płynnie dobrnęliśmy do finałnej nocnego knucia w kaplicy. Koniec dwudziestego odcinka „Korony królów”.

Mam dość, oraz garść refleksji, a raczej dwie, w tym jedną ze znakiem zapytania: 1. Wygląda na to, że „Korona królów” jest po prostu „Grą o tron”, ale bez tych scen, w których coś się dzieje. Jakby Andy Warhol reżyserował. To już jest śmiała koncepcja, widzę potencjał, ale należy być konsekwentnym i pójść za ciosem. Dlatego zgadzam się z prezesem Kurskim: trzeba „Koronę” pociągnąć przez wieki, aż po dziś dzień, a następnie prześcignąć teraźniejszość i śmiało ruszyć w przyszłość jako „Kwantowa korona królów”. 2. Skąd ludzie w średniowieczu mieli tyle włosów? ©

Lektor: Świat poza czasem



■ Agnieszka Traczewska
POWROTY/RETURNS. CHASYDZKIE POWROTY DO MIEJSC NIE-ZAPOMNIANYCH.

Teksty wprowadzające: autorka, Marcin Wodziński, Jonathan Webber. Narodowe Centrum Kultury, Studio Design Krzysztof Jurczyk, Warszawa – Łódź 2018, ss. 208

POLSKO-ANGIELSKI ALBUM, który jest cudem. Z dwóch powodów. Chasydzi, wyznawcy mistycznej odmiany judaizmu, która zrodziła się w XVIII w. na wschodnich ziemiach Rzplitej i wywarła ogromny wpływ na społeczności żydowskie Europy Wschodniej, zginęli w większości w Zagładzie. Odrodzone wspólnoty żyją dziś w Nowym Jorku, Izraelu, Kanadzie, Londynie czy Antwerpii. Cadyk z małopolskiej Bobowej

mieszka na Brooklinie, cadyk z Góry Kalwarii – w Jerozolimie. Do miejsc, gdzie znajdowały się dwory chasydzkie i gdzie ohele kryją szczątki cadyków, chasydzi przyjeżdżają już tylko jako pielgrzymi. Obcemu fotografowi, w dodatku kobiecie, niełatwo zdobyć ich zaufanie. Album jednak powstał – i to jest cud pierwszy. A cud drugi to jego niezwykła wprost uroda. „Do wielu miejsc wracałam kilka lat z rzędu – wspomina

Traczewska. – Bywało, że wracałam z niczym, bez jednej fotografii. Zdarzało się jednak, że wracałam z czymś więcej niż zdjęcie – z przyjaźnią”. Urzekające zdjęcia, starannie skomponowane, mistrzowsko wykorzystujące światło, wprowadzają nas w świat poza czasem. Skupiamy się na postaciach chasydów, ich emocjach i gestach. W tle pejzaż, w którym wzrastali ich przodkowie, i miejsca, które odwiedzają: groby, cmentarze, synagogi. Modlitewne skupienie, ale i radość, rozmowy, papierosy. Egzotyczne dla nas stroje, piękne twarze o wyrazistych rysach. Niekiedy kawałek ulicy, jak w Leżajsku, dokąd w rocznicę śmierci cadyka Elimelecha zjeżdżają tłumy, albo w Tarnowie, gdzie na placu przed zniszczoną bimą, jedyną pozostałością po synagodze, modli się samotny pielgrzym.

To jest niesłuchanie konsekwentny portret wspólnoty spojonej mistyczną religią. Autorka mogła przecież pokazać antysemickie graffiti, z jakimi przybysze z pewnością się zetknęli, mogła zderzyć ich ze współczesną Polską. Zrezygnowała z publicystyki, choć są u niej zamknięte albo zrujnowane synagogi, macewy wydobyte z dna rzeki czy ocalała pod ziemią rytualna łaźnia cadyka z Lelowa, gdzie obecny właściciel przechowuje zapasy na zimę. Niektórym zdjęciom towarzyszą paruzdaniowe, ważne komentarze – jej własne, pielgrzymów, rabina, księdza z Rymanowa. „Fotografie Agnieszki Traczewskiej pokazują to, czego nie udało się opisać innym. Pokazują, czym jest chasydyzm” – pisze prof. Marcin Wodziński, szef wrocławskiej katedry judaistyki. Wielka to pochwała. I zasłużona. ©®

PAWEŁ

Bravo:

W hesperyjskim sadzie



TRZYNAŚCIE. TYLE KILO JABŁEK ZJADA ROCZNIE statystyczny Polak, czyli byt, którego nikt nigdy nie widział, a jednak wiemy o nim więcej niż o każdym z osobna człowieka, który rano idzie na targ w celu nabycia golden delicjuszy. W te mroźne dni czekają

w skrzynkach pod kocami starymi i równie burymi jak pejzaże Chelmońskiego. Mimo mrozu paraliżującego palce, gdy próbuję odliczyć trzy złote pięćdziesiąt groszy, lubię takie zakupy z tajemnicą.

Niewidoczność owoców na straganie każe smakować rozliczne skojarzenia, których jabłka mają bodaj najwięcej. Odruchowo traktujemy to, co ktoś ukrył, jako znak złego. Przez fonetyczny przypadek łacińskie jabłko, *malum*, różni się od zła, *malum*, tylko długością pierwszej samogłoski, czego w zapisie i tak nie widać. Starczyło tego, by biblijne drzewo wiadomości dobrego i złego stało się w europejskim imaginariu jabłonią.

Dopóki Europa była na wskroś chrześcijańska, wracała w swojej sztuce do momentu założycielskiego ludzkiej kondycji. Poza tym świetny pretekst, by wykazać się w przedstawianiu nagości, popychał malarzy do tematu Adama i Ewy. Mam przed oczami naszych prarodziców na jednym z najwcześniejszych obrazów Rubensa: Ewa jeszcze bardzo klasyczna, choć jej ciało, zwłaszcza piersi i rzucające delikatny cień sutki, zapowiadają późniejsze upodobanie, jakie ten malarz czerpał w miękkościach i światłocieniach wśród skórnych fałd. Ale jest w tym obrazie już coś odrębnego, dla Rubensa typowego – nadawanie subtelnych niuansów uczuciowych kobiecym postaciom, choćby były tylko lalkami w teatryku mitologii czy historii biblijnej.

W układzie ramion i głowy, w spojrzeniu Ewy widzimy przejmujący, bezradny smutek, płynący z przecucia tego, co się zaraz stanie. Obok niej Adam, sprężystym gestem wyciąga ramię, jakby pytając z lekka zdumiony: co robisz? Jego czerstwa, brodata twarz zdradza, że nieznane mu są na razie rozterki, ból i rozpacz. Ewa zaś obejmuje ręką, jakby szukała wsparcia, przekłute drzewo, patrzy na owoc, ale tak naprawdę w głąb siebie, żegna się z rajskim spokojem, on jest stracony, choć moment zakosztowania owocu jeszcze nie nastąpił.

Miłośnicy „rubensowskich kształtów” znajdą inne, dojrzałe obrazy, w których jabłko i spojrzenie kobiety mówią o czymś podobnym: samowiedzy, że miłość bywa tyleż nieunikniona, co destrukcyjna. Z kilku malowanych przez Rubensa sądów Parysa (co za frajda: już nie jedna Ewa,

ale aż trzy greckie boginie!) lubię ostatni, z Prado, gdzie młody Trojanin jeszcze nie wręczył złotego jabłka z ogrodu Hesperyd (podrzuconego, jak pamiętamy, z napisem „dla najpiękniejszej” przez boginię niezgody, która chciała popsuć zabawę na Olimpie). Hera w zamian za trofeum proponowała władzę nad Europą i Azją (coś w sam raz, gdyby sąd prowadził Władimir Putin), Atena mądrość i waleczność, a Afrodyta Helenę, najpiękniejszą z kobiet, pomijając przy tym szczegół, iż była ona cudzą żoną. Już wiadomo, na kogo padnie: Parys i Afrodyta patrzą na siebie, a w jej spojrzeniu jest ironiczna satysfakcja, bo dopięła swego i jej opcja zaraz okaże się bardziej kusząca od propozycji rywalek. Ale Rubens genialnie nakłada na twarz Afrodyty również odruch przerażenia, bo przecież wie, że zaspokoila swoją dumę, ale to musi się niebawem skończyć katastrofą, zagładą Troi, śmiercią Parysa i tylu innych, najdzielniejszych mężów.

Tamto złote jabłko symbolizowało też w innych kontekstach miłość, zwłaszcza tę małżeńską (Hesperyd patronowały również nocy poślubnej). Jak pamiętamy, wykradzenie jednego z nich było ostatnią pracą zadaną Heraklesowi. Udało mu się to po wielu perypetiach, ale jabłko zostało w końcu zwrócone na miejsce. Psychoanalitycy odczytywali w tym figurę miłości, którą człowiek może zdobyć dopiero będąc dojrzałym, wieńcząc trudy życia, ale i tak nie zdoła się nią nacieszyć, gdyż taki owoc przynależy tylko bogom.

Spod targowych koców dochodzi mnie więc jęk wygnanych prarodziców, szczęk homeryckiego oręża, tupot stóp Heraklesa uciekającego z trofeum – i całe szczęście, bo powiedzmy to sobie szczerze: dobrze jest wspierać polskiego sadownika, ale lutowe jabłka już prawie nie smakują niczym. Nie dziwota, że jemy ich coraz mniej, mając w bród innych, ciekawszych w smaku zamorskich owoców. Ale czasami warto pójść z siatką na zakupy po kilo mitu. ©P

Jednym z prostych śniadaniowych sposobów na podratowanie smaku zimowych jabłek jest ich szybka karmelizacja w winie. Kroimy pół kilo **jabłek** (najlepsze byłyby renety) na plasterki ok. 1 cm. Na patelni z grubym dnem topimy 2 łyżki **masła**. Wykładamy jabłka (powinna być tylko 1 warstwa). Obsmażamy delikatnie ze dwie minuty, posypujemy 20 g **cukru**, zalewamy małym kieliszkiem **białego wina** (dobre będzie wino o bogatym aromacie – gewürztraminer, muskat), dusimy na bardzo wolnym ogniu, raz ostrożnie przekładając na drugą stronę, żeby się nie rozpadły, aż się ładnie ożlócą. Lubię takie jabłka kłaść na tzw. tosty francuskie, czyli plastry białego czerstwego chleba (lub tostowego) wymoczone w mleku i rozkłóconym jajku i obsmażone na maśle.



TAK SIĘ ROBI DESZCZ

BARBARA KRAFFTÓWNA, AKTORKA:

Mama wpoiliła mi zasadę: „ze swoimi problemami nie wychodzi się do ludzi”. Zamyka się je na klucz. Piękna szkoła – ta przedwojenna powściągliwość.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pierwszy ważny człowiek w Pani życiu?

BARBARA KRAFFTÓWNA: Wuj, rodzony brat mojej matki. Żartowniś – bawiliśmy się w aniołka i diabełka. Polegało to na strasznym potarganiu. Nie tylko głowa była potargana, ale szaty, kanapa, poduszki, słowem: szaleństwo. Ale to mama i tata są najważniejsi, przed wujem i wszystkimi innymi.

Wiem, że Pani mama była muzykalna, grała na skrzypcach i pianinie.

I szkicowała portrety. Ołówceczek, kartka papieru... Siostra przyrodnia, z mamy pierwszego małżeństwa, odziedziczyła po niej ten talent. A ja umiem zaledwie dym z komina narysować. Mama jeszcze „widziała” nie patrząc.

Co to znaczy?

Tak jakby dookoła głowy miała oczy. Cały czas mnie obserwowała, nawet w kościele, kątem oka. W pewien sposób przygotowało mnie to do mojego zawodu, gdzie cały czas jest się obserwowanym.

Mama ucząc przestrzegania zasad, w tym dobrych manier, wyczuliła mnie na świat i wyrobiła zmysł obserwacji. Mówiła: „Po ulicy nie idź jak bałwan, który nic nie widzi koło siebie i nad sobą. Zobacz, po drugiej stronie idzie pani, może nie kuleje, ale ma paskudnie brzydkie kroki. A jej bluzka jest w identycznym kolorze jak dziewczynki, która idzie po naszej stronie”.

A te dobre maniery?

Pilnowała, bym ładnie mówiła; ważna była modulacja głosu. Na pytania musiałam wyraźnie odpowiadać słowem lub zdaniem, a nie mruknieniem.

Nie do pomyslenia były zawołania do siebie po imieniu, gdy szło się po drugiej stronie ulicy. Pytam: „Mamo, a dlaczego?”. Mama: „Jak to? Jeśli ulicznik by usłyszał i zapamiętał, mógłby potem wołać za tobą. Chciałabyś tego?”.

Mama była bardzo ciepła, uwielbiała ją rodzina bliższa i dalsza, dobrzy znajomi i przypadkowi. Wyznawała zasadę, którą wpoiliła mi do szpiku kości: „ze swoimi problemami nie wycho-

dzi się do ludzi”. Zamyka się je na klucz, każdy ma swoje życie, swoje zmartwienia.

To dobra rada, choć uprzykrza życie.

Piękna szkoła przedwojenna – ta powściągliwość. Co kogo obchodzi, że dzisiaj boli mnie ząb? Idę do dentysty lub do apteki, łykam lek albo siedzę w domu, przykładając kompresy. Bóle psychiczne też z czasem cichną.

A tata? Wiem, że był swego czasu głównym architektem na Wołyniu. A Pani uwielbiała się bawić z ojcem w teatr.

Och tak! Ojciec był fenomenalnym doradcą w aranżacji otoczenia – robienia dekoracji. Pokazywał, jak możliwie wykorzystać przestrzeń. Oczywiście, w formie zabawy. Z biurka ojca budowałam tron, a do niego musiały prowadzić schody, ojciec pokazywał z czego i w jaki sposób je bezpiecznie ustawiać. On musiał być pażem, który przychodzi do mnie, czyli królowej, klęka i przynosi wiadomość lub prezent. Całkowicie był mi uległy. Sterował moją wyobraźnią, rozbudził ją, ona potem przydała mi się w zawodzie.

Ktoś jeszcze był wtedy ważny?

Jak sięgam pamięcią, to zdecydowanie – ja! Byłam ważnym reżyserem wszelakich inscenizacji. W związku z tym otoczenie musiało być czujne – chcąc nie chcąc. Te mamy oczy dookoła głowy bardzo się przydawały. Gdy panowała chwila ciszy, padało nerwowe pytanie: „Gdzie jest Basia?”. A ja – przykładowo – siedziałam na dachu i „robiłam” deszcz.

Tak dla przyjemności?

Dla interesu: chciałam zmienić plany na niedzielne popołudnie. Na strych wchodziłam po drabinie i przez okienko w dachu przez parę godzin konewką lałam wodę z wysiłkiem, spocina, zlachana. Na dole odbywał się rodzinny obiad, a po nim miała odbyć się wycieczka dorożkami nad rzekę, bo piękna pogoda i podwieczorek tam przywieziony w koszykach i termosach. Towarzystwo patrzy, że za oknem szaro, bo pokój zaciemniony, a w rynnach leje i dudni.

BARBARA**KRAFFTÓWNA** (ur. 1928)

jest aktorką. Była związana z wieloma scenami, m.in. Teatrem Wybrzeże w Gdyni, Teatrem im. Stefana Jaracza w Łodzi, Teatrem Dramatycznym we Wrocławiu, Teatrem Młodej Warszawy, teatrmi Dramatycznym, Narodowym i Współczesnym w Warszawie. Zagrała kilkadziesiąt ról filmowych, w tym w „Jak być kochaną” Wojciecha Jerzego Hasa (1962), „Popiele i diament” Andrzeja Wajdy (1958) i w serialu „Czterej pancerni i pies” (1970). Występowała w kabaretach: „U Lopka”, „Pod Egidą” i w „Kabarecie Starszych Panów”. W 2016 r. ukazała się biograficzna książka Remigiusza Grzeli „Krafftówna. W krainie czarów”.

**Bardzo udane przedstawienie.**

Oczywiście. Dziewczynką łatwą nie byłam, z tą moją wyobraźnią rozbudzoną do granic możliwości. Pamiętam, w domu były weneckie okna z szerokimi parapetami. Wolno mi było czasem z matki szafy wyciągnąć jej suknie, koronki, halki. Uwielbiałam przebierać się i tańczyć kankana na tym parapecie, testując inteligencję i spostrzegawczość przechodniów. Chciałam wiedzieć, ile osób zatrzyma się i zauważy mnie.

Sprawdzała Pani, czy inni ludzie też są spostrzegawczy jak Pani mama?

Później, w szkole aktorskiej u Iwo Galla też ćwiczyliśmy pole widzenia. Wie pani, że ono jest przepiękne? Dla aktora ważne jest, by na scenie ogarnął zasięg tego pola. Siłę daje sama świadomość, że umie się to zrobić.

Za okupacji do podziemnego studium aktorskiego Iwo Galla przyprowadziła Panią przyrodnia siostra, Maria Zakrzewska, która tam studiowała.

Wolała mnie zabierać ze sobą, niż zostawić w domu, gdzie coś by mogło mi strzelić do głowy. Dokładnie pamiętam pierwszą wizytę, jeszcze przed Powstaniem, w roku 1943. Na przywitanie ➔

→ ładnie dygnęłam. Pan Gall przyjrzał mi się, pani Gallowa też. Przed wyjściem pani Gallowa wręczyła mi wierszyk i powiedziała: „Masz, Basiu, na następną wizytę naucz się na pamięć”. A potem dostałam kolejny.

Miała Pani 16 lat i zaczynała aktorskie studia.

Tak, ale do państwa Gallów przychodziła jeszcze druga młodziutka, starsza ode mnie o rok Zosia Terczyńska. Tam dostałam podstawy wiedzy o zawodzie aktorskim.

A najważniejsza rzecz, którą wpoili Pani Gallowie?

Że teatr, w ogóle twórczość, składa się z życia, bierze się z nas. Ktoś sięga lewą ręką do prawego ucha, a reżyser musi zastanowić się: dlaczego lewą, jak prawa jest bliżej.

Czyli ma być wiarygodnie.

Na pierwszym miejscu stawiam życie twórcze, które zaważało także na prywatnym. A życie osobiste to dopiero teatr.

Wróć do tych ważnych ludzi. Po Gallach było jeszcze jedno małżeństwo, państwo Wiercińscy, Edmund i Maria. Pojechałam do nich do Wrocławia, bo z Gallami najpierw byłam w Gdyni w Teatrze Wybrzeże, a potem w Łodzi, w Teatrze im. Jaracza. Z jednej „uczelni” wkroczyłam do drugiej – zupełnie innej, bezcenne doświadczenie. Zdawało mi się, że warsztatowo zostało wyczerpane wszystko już po brzegi, a u państwa Wiercińskich zetknęłam się z zupełnie innym systemem analizowania literatury, która wchodzi w tzw. krwiobieg sceniczny.

Gall i Wierciński byli z zupełnie innych charakterologicznych światów. Gall – ukochany papcio Iwuś, tak czasem o nim mówiliśmy. Potrafił być też bardzo zdecydowany, ostry, wymagający. Ekspresyjny – jak się cieszył, to się cieszył, jak się denerwował, to denerwował. A Wierciński był zamknięty w sobie, grzeczny, opanowany – profesor z krwi i kości. Aktor nigdy nie wiedział, jak zagrał – dobrze czy źle. Na próbach generalnych prosiło się kolegów, którzy mogli go obserwować: „Patrzcie na Wiercińskiego, coś notuje, może, że dobrze, a może, że źle”.

A żony reżyserów – Halina Gallowa i Maria Wiercińska?

Obie perfekcyjnie, robotniczo detaliczne. Nie przepuściły mrugnienia okiem, wdechu, wydechu; usta za mało otworzyłaś, bo inaczej dźwięk idzie na samogłoski, spółgłoski itd. Takie wskazówki dawały: gdy wchodzisz na stopnie na scenie, idziesz na półpiętro tylko cztery stopnie, zatrzymujesz się, odwracasz i mówisz tekst do widowni. Ważne jest jeszcze to, że ten pierwszy krok musisz wykonać prawą stopą, zatrzymać na pierwszym stopniu stopę, zanim ruszysz następną. W teatrze budowanie całości jest misterną kompozycją wielu szczegółów. Można to porównać z baletem.

Ja w ogóle mam szczęście do twórców... Końcówka lat 50., gram już w Warszawie w Teatrze Dramatycznym. Garderobiana przychodzi do mojej garderoby i mówi: „Pani Barbaro, jakiś przystojny młody mężczyzna przyszedł tutaj do nas na piętro z pytaniem, czy w przerwie mógłby z panią porozmawiać. Jakie on ma piękne oczy...”. Przy windzie stoi rzeczywiście bardzo przystojny młody człowiek – Konrad Swinarski – który akurat od Brechta przyjechał i jakieś próby warsztatowe robił.

U Konrada Swinarskiego zagrała Pani trzy role: Lizę w sztuce „Pan Puntilla i jego sługa Matti” właśnie Brechta,

tytułową postać w „Księżniczce Turandot” Gozziego i Słowicza w „Ptakach” Jareckiego i Osieckiej.

A Swinarski mnie zobaczył w „Iwonie, księżniczce Burgunda” Witolda Gombrowicza w reżyserii Haliny Mikołajskiej.

Wie pani, ja mam kłopot z tematem naszej rozmowy... Ciężko wymienić wszystkich ważnych, którzy zaistnieli w moim życiu, bo zrobiliby się trzy pokolenia ludzi. Każdy twórca, z którym się zetknęłam, był dla mnie ważny. Erwin Axer szczególnie. W kierowanym przez niego Teatrze Współczesnym spędziłam 11 lat. To był człowiek niezwykle wyczulony na gatunek literatury, rodzaj dialogu, jakim w danym momencie posługiwał się aktor. Potrafił wyczuć nie tylko propozycje aktora, ale też intencje interpretacyjne. W trakcie pracy nad „Matką” Witkacego różniliśmy się zasadniczo co do widzenia postaci Doroty, którą grałam. Do tej pory brałam udział w przedstawieniach Witkacego wystawianych w stylu „udziwnionym”. Axer próbował „Matkę” jak niemal realistyczną sztukę, starał się wydobywać absurd z zestawiania zwyczajnych sytuacji. W czasie wielu prób i rozmów zburzył prawie zupełnie moje rozumienie tej postaci.

Ale jak mówię o Axerze, to powinnam powiedzieć o Dejmku, którego błogosławię m.in. za jogę. Wprowadził ją do teatralnego rytuału – dwa razy w tygodniu była obowiązkowa.

A gdzie w tym wszystkim Wanda Laskowska? A Maryna Broniewska? A Wanda Szczuka – świetny choreograf? Nie sposób wszystkich wymienić.

To proszę opowiedzieć o Wandzie Szczuce.

Młoda Wanda Szczuka szła przed Gallem ulicą, zwróciła jego uwagę pięknym ruchem, wspaniale ciałem operowała. Gall ją dogonił, zapytał, czy jest tancerką. Ona mu na to, że nie, ale związana jest ze sztuką. I Gall zaangażował ją do Studia, by dawała lekcje ruchu. Np. uczyła nas menueta. Chodziło o ruch ciała w stylowym kostiumie. Nie można zrobić w nim współczesnego siadu płaskiego w rozkroku, jak to się profesjonalnie nazywa. Trzeba ułożyć ciało w ten sposób, by pokazać garderobę od pasa w dół – spódnicę wąską lub szeroką. A jak się jest w turniurze – kopulastym tyle spódnicy – to trzeba nauczyć się siadać w specjalny sposób. Tu pracuje górna część ciała i gorsety, które podnosiły biust, odsłaniając go prawie do brodawek. Trzeba było umieć się w tym poruszać, zwłaszcza mnie, z obfitym biustem, by z gorsetu się nie wysunął. Koleżanki, które były „płaskie”, miały z kolei inny dyskomfort i w kostiumie trzeba było sztucznie ten biust wypychać.

No dobrze, a gdyby Pani organizowała przyjęcie i mogła zaprosić tylko sześć najważniejszych osób z całego swojego życia, to kogo Pani by zaprosiła?

Prawdopodobnie w ogóle bym zrezygnowała z wydania tego przyjęcia.

Dlaczego?

Bo mogłabym dobrze nie spasować ze sobą towarzystwa. Jako reżyser takiego scenariusza dodawałabym i skreślała nazwiska. Dobierałabym z klucza charakterologicznego, myślałabym: „tego powinnam zaprosić”, ale dla reszty to wcale nie byłoby znowu aż takie ciekawe. Więc nowe nazwiska by się pojawiały i natychmiast zniknęły.

Ja na co dzień staram się nie selekcjonować, dzięki temu mam wokół siebie pełny ludzki wachlarz osobowościowy. Jeśli mia-

łam przyjaciółki, to jedną tylko i wyłącznie od opowiadania sobie kawałów i śmiania się do bólu, a drugą do zwierzeń szczerych, o każdej porze dnia i nocy, na śmierć i życie.

Te przyjaciółki się znały?

Nawet nie pamiętam, ale na pewno nie spotykałyśmy się w trójkę. Intuicyjnie wybieram i „segreguję” znajomych. Z Kaziem to fajnie, a z Józkiem nie należy, bo ten dobry do wypitki, a tamten wyłącznie do bitki. O czymś takim mówi się chyba: „filozofia życia”.

Pani filozofią życia jest nie schodzić ze sceny. Piąty sezon w Och-Teatrze gra Pani w „Trzeba zabić starszą panią”.

Dawno przestałam się dziwić, że nadal gram. Inni się dziwią. Bardzo ostrożnie wybieram role, bo czasu szkoda na niedobre rzeczy. No i cały czas się uczę.

Nowych aktorskich rozwiązań?

Chodzi w ogóle o twórczość – to otwarta droga i zaskakująca. Jak się rodzi? W sali restauracyjnej zobaczyłam kiedyś zdjęcie kobiecej głowy. Pomyślałam, że zagram kiedyś we włosach kolorowych, jak ma ta pani na zdjęciu. Mijają dwa lata i dostaję propozycję od Roberta Glińskiego, by w teatrze telewizji zagrać w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj” Gombrowicza. Mam już gotową postać, peruka na pazia zrobiona – cudowna, marzeniem moim było, by grzywka mi opadała.

Jest moment, kiedy reżyser zatwierdza kostiumy. Ja już ubrana w koronkach, w kolorach. Pani fryzjerka rozczesuje mi włosy, tu przyska, tam zakleja. Mówi: „Przepraszam, biegnę po perukę”. Wtedy zobaczyłam się w lustrze. Gdy wróciła, mówię: „Bardzo panią przepraszam, będzie bez peruki, proszę mnie mocniej pomalować, natomiast tu zostaje dużo czoła, łysa pała, a tam tylko dopinać wszystkie kokardki”. Reżyser to zaakceptował. Tak się rodzi inwencja. A przecież moją inspiracją było to zdjęcie z restauracji.

Na planie „Jak być kochaną” też proponowała Pani reżyserowi swoje rozwiązania w niektórych scenach.

Przypuszczam, że to szczęście dla aktora pracować z Wojciechem Hasem kręcącym film na podstawie opowiadania Kazimierza Brandysa.

A ja teraz przewrotnie odpowiem, bo już mam przewrócone w głowie, że i Has, i Brandys mieli odpowiednich aktorów – i Cybulskiego, i Krafftównę. Has z tą swoją genialną intuicją potrafił zaryzykować i aktorkę kojarzoną z kabaretem i komedią obsadzić w roli dramatycznej.

Temat filmu to był autentyk: Felicja miała pierwowzór w prawdziwej postaci. Być może Brandys ją nawet znał, w towarzystwie mówiło się o niej: „Kropeczka”.

„Jak być kochaną” kręciliśmy w 1962 r. Straszna nędra – każdy centymetr taśmy był liczony. Cybulski, który nie był w stanie oglądać nakręconych materiałów w ramach tzw. przeglądu, chodził po korytarzu tam i z powrotem, a jak się wychodziło z sali, to się rzucił na mnie z pytaniem: „A to było? Ja tu byłem?”. Papieros od papierosa odpałał. Ja mówię: „Wejdziesz i zobacz”. On: „Nigdy!”.

Moje pokolenie jest już na cmentarzach.

To przemijanie mnie mobilizuje, muszę się spieszyć, by zdążyć przed Panem Bogiem.

To jest wielka rola Cybulskiego jako neurotycznego Rawicza i Pani jako Felicji, która ukrywając go za okupacji, zakochuje się w nim bez pamięci i bez wzajemności.

Każda osoba na planie „Jak być kochaną”, włącznie z tymi z działu technicznego, była artystą. Artystą był wózkarz, z którym umawiałam się, że w momencie kiedy powiem kwestię, odliczam do trzech, zaczynam się podnosić i wtedy on

rusza wózką razem z moim: raz, dwa, trzy. Dzięki temu zachowana zostanie płynność, nic nie szarpnie, nic nie trzeba będzie przycinać na taśmie montażowej. Wózkarz z kamerą liczył każdy mój wdech-wydech. Nie mogło nie być tego rezultatów na ekranie.

„Nikt nie woła”, film Kazimierza Kutza z 1960 r., podobnie „Jak być kochaną”, oparty był na prawdziwej historii. Scenariusz powstał na podstawie autobiograficznej powieści Józefa Hena. Paradoks tkwi w tym, że książkę u schyłku lat 50. cenzura wstrzymała; krążyła ona w środowisku w maszynopisie. W ten sposób wpadła w ręce Kutzowi, który w filmie akcję z Uzbekistanu przeniósł na ziemię odzyskane, a głównemu bohaterowi dopisał wątek odmowy wykonania rozkazu podziemia. Ale ten wysmakowany estetycznie film źle został przyjęty przez ówczesną władzę, krytykę i widownię.

Właśnie – Kutz, kolejny bardzo ważny dla mnie człowiek. Z Jerzym Wójcikiem, operatorem, pracowali metodami daleko odbiegającymi od przyjętych wówczas w kinie. Inaczej prowadzono aktorów, inaczej organizowano plan zdjęciowy, mało dialogów, bardzo oszczędne dekoracje. Chwilami mogło się здаwać, że przechodzimy od realizmu do abstrakcji – było to jednak coś zupełnie nowego.

Czy w ostatnich latach pojawił się człowiek, który jest dla Pani ważny?

Ważne dla mnie jest całe pokolenie.

Pani pokolenie?

Moje pokolenie, nie przymierzając, jest na cmentarzach. To przemijanie mnie mobilizuje, muszę się spieszyć, by zdążyć przed Panem Bogiem. A mówiąc „pokolenie”, myślę o współczesnych ludziach, z którymi na co dzień się zderzam – w pracy i poza nią.

Jak się Pani czuje ze swoimi latami w tej współczesności?

Ciało mi doskwiera. I rozproszenie. Inaczej mówiąc: skleroza. Ale wymyśliłam sobie na nią system, jak dotychczas skuteczny. Polega na tym, że jeżeli nie wzięłam lekarstwa, to by pamiętać, kładę je po prawej stronie, jak przełożyłam na lewą, to znaczy, że zażyłam. Działa – na razie.

Niedawno 90. urodziny obchodził Franciszek Pieczka. Razem z przyjaciółką do drugiej nad ranem robiłyśmy ozdobną kartkę od Honoratki dla Gustlika, by sobie Pieczka mógł nad łóżkiem ją powiesić. A na niej przypomnienie potrzebne po dziewięćdziesiątce: „Rano, pamiętaj – najpierw gacie, potem buty”.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA GAZETA

20 ambitnych ptasiarzy

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Pod koniec lutego zjawiał się na mojej liście pierwszy skowronek, znak, że ziemia wciąż się jeszcze kręci, a po zimie nastanie wiosna. Za nim ciągnęła reszta awangardy – czajki, żurawie i gęsi.

ROK TEMU, W POŁOWIE STYCZNIA, POSTANOWIŁEM skupić się na skali mikro. Obserwować ptaki lokalnie. Przez rok. Na ulicy, w dzielnicy, w granicach miasta. Rozglądać się na podwórku, na skwerze i w parku. Odwiedzić bocznice kolejową i dzikie, zabagnione śmietnisko koło trasy wylotowej, które mijałem tyle razy. Wcelować palcem na mapie w jakieś miejsce na peryferiach, gdzie kartofliska zaczynają się tuż za płotem strzeżonych osiedli. Wybrać się w nieznaną część miasta, z nic nie mówiącą nazwą, z dala od zwartego centrum. Czy ktoś odwiedza te miejsca? Przecież i tam musi być przyroda do podglądania, dzikie życie w zasięgu roweru i komunikacji miejskiej.

Eksperyment musi mieć pozory naukowości, otworzyłem więc uroczyste plik „warszawski_wielki_rok.doc” i zacząłem listę. Poranek po sylwestrze jest zawsze cichy i martwy, przyroda wyczekuje skulona ze strachu. Nie wiem dokładnie, jaki był pierwszy ptak, ale musiałem go widzieć przez okno. Pod numerem jeden zapisałem śmieszkę, bo zimą codziennie obserwuję, jak jej srebrzyste, wąskie skrzydła kroją cierpliwie szary papier nieba. A może rankiem pies pogonił mewi festyn sprzed śmietnika? Jakiś niejadek stale podrzuca tam resztki. Szpule makaronów, marchewkowe drzazgi, wesoły, geometryczny chaos sałatek majonezowych. Największą pociechę z odpadków ma szczurza spółdzielnia mieszkaniowa mieszcząca się pod cisem.

PIERWSZY POWAŻNY GATUNEK TRAFIŁ MI SIĘ POD KONIEC MIESIĄCA. Patrolowałem na rowerze brzeg rzeki, ciesząc się gładką nawierzchnią nowych, wiślanych bulwarów, kiedy przy drugim brzegu zamajaczyły mi ciemne sylwetki.

Okiem lunety, w niskim południowym słońcu widziałem, jak czerń kontrastuje z żółtym wierzchem dzioba. Obie kaczki zanurkowały z rozpostartymi skrzydłami, błyskając na mgnienie białą lotek. Uhla, morska kaczka, czarna jak węgiel. Węgiel, po czesku „uhli”, po rosyjsku „ugo”. Ta czerń jest i w jej nazwie naukowej, *Melanitta fusca*. Tylko nazwa naukowa brzmi mądrze, bo z tego bzdurnego połączenia greki z łaciną wychodzi jakaś „Czarnula brązowa”. I co było w tej uhli ciekawego? Jej widok zimą na bałtyckich falach to nic nadzwyczajnego, ale tu, pod mostem Poniatowskiego, w decybelach silników i stukocie tramwajowych kół, uhla była jak czarny diament.

Pod koniec lutego zjawiał się na mojej liście pierwszy skowronek, znak, że ziemia wciąż się jeszcze kręci, a po zimie nastanie wiosna. Za nim ciągnęła reszta awangardy – czajki, żurawie i gęsi. Te lecą niestrudzenie, nawet w nocy. Leżąc w łóżku, słyszałem niższe głosy zbożówek i trochę historyczne gęganie białoczołek, jakby odległe szczekanie małych, wiejskich psów. W połowie marca niebo znaczyły już nieznane alfabety ptasich kluczy, znaki przestankowe samotnych wędrowców. Pierwszy, zmęczony długą podróżą bocian, jak wielki iks sunął powoli nad blokowiskiem Wrzeciono pod koniec marca.

W połowie kwietnia, w drodze do piekarni, odruchowo podniosłem wzrok i zastylłem na moment w bezruchu. Mogłem mieć wtedy rozdziawioną gębę, bo oto nad placem Wilsona, płataniną tramwajowej trakcji i nad głowami ludzi sprawdzających na telefonach poziom smogu, zataczała nieśpieszne kółka wielka sowa. Spod kurtki wyszarpnąłem spacerową lornetkę (z lornetką do piekarni, może to przesada) i w porannym słońcu spojrzałem w fosforyzujące żółte ślepie. Skrzydła były długie, czarno zakończone, a brzuch jasny. Uszatka błotna, w Polsce lęgowa nieregularnie, nie co roku. Królowa podmokłych łąk kotliny biebrzańskiej, wyglądała trochę niedorzecznie, kiedy przyglądała się autobusowi numer 157, spieszącemu w kierunku Szczęśliwic. Widziałem

ją pierwszy raz w życiu, dlatego odprowadziłem wzrokiem do samego końca, aż zniknęła gdzieś za drzewami molestowana przez wrony.

WIOSNA JEST HOJNA, ALE MIJA SZYBKO. Codziennie nowe głosy w parku: wylizanki pierwiosnka, miękkie szczebiotanie piecuszka i pierwsze, jeszcze nieśmiałe trelowanie słowika w żoliborskim łęgu. Pod koniec maja ornitolog Michał Maniakowski przecierał oczy ze zdumienia, kiedy na płocie, niedaleko stacyjki Warszawa-Gołębki, wypatrzył dzierzbę rudogłową, gatunek wymarły w Polsce pod koniec XX w. Jak ten rarytas znalazł się tu, rzut kamieniem od miejsca, gdzie zaczyna się trasa A2? „Ptaki mają skrzydła” – mawiają filozoficznie ptasiarze. Widać spektakularna scenografia nie była dzierzbie potrzebna. Ptak zachowywał się zwyczajnie i dzierzbił zwyczajem, tak jak jego dziadowie i pradiadowie, czatował na zdobycz. Sfrunął czasem na pole, błyskając wzorem czarno-białych skrzydeł. Po kilku dniach, być może znecierpliwiony uwagą licznych obserwatorów, odleciał w nieznanym kierunku. Wśród publiczności byłem i ja.

A potem przyszły upały. Nic nie poradzę, że nie lubię lata, a najbardziej tego poranka, kiedy cichnie ptasi harmider. Lato staram się przeczekać i nie myśleć o tym, że rok chyli się ku swojej smutniejszej połowie. Czekalem niecierpliwie na wczesną

jesień, na to miękkie pomarańczowe światło i chłodne poranki. Na wędrującą rzeczną doliną ptaki. Wrzesień był ciepły i pogodny. Drapieżniki migrowały po swojemu, nieśpiesznie, ignorując zupełnie miasto w dole. Napatrzyłem się do woli, napasłem orlikami i rybołowami. Wypatrzyłem trzmiełojada. Ostatni, w ponury, deszczowy poranek, trafił się mój ulubiony sokół – kobuz, zwinny i szybki jak błyskawica łowca ważek i jaskółek. Siedział obciążony na uschniętej topoli. Ciemne pióra na głowie przypominały kształtem hełm legionisty, *cassid*, podkreślony białą szczy i policzka.

W 2017 R. WIDZIAŁEM W WARSZAWIE 173 GATUNKI PTAKÓW. Pewnie zrezygnowałbym z zabawy po kilku miesiącach, gdyby nie dołączyło do mnie przeszło dwadzieścioro zapalonych, diabelnie ambitnych warszawskich ptasiarzy. Nic tak nie mobilizuje jak rywalizacja. Chcąc nie chcąc, w pogodę i niepogodę, w zdrowiu i chorobie przemierzaliśmy miasto i jego wertepy. Łącznie widzieliśmy 213 gatunków, z czego trzy skrajnie rzadkie, których obserwacje zatwierdza Komisja Faunistyczna. Najlepszy wynik indywidualny, 194 gatunki, wychodziła Dorota Łukasik, która wzięła na siebie ciężar buchalterii całej zabawy. Czekamy na jej artykuł naukowy wykorzystujący zebrane dane. Aha, w tym roku oprócz Warszawy ściga się też Białystok. ©



**Book's
not dead**

Ryszard Koziół gościem podcastu „Tygodnika Powszechnego”



W najnowszym odcinku podcastu „Book's not dead” Katarzyna Trzeciak i Michał Sowiński rozmawiają z Ryszardem Koziółem, literaturoznawcą znanym Państwu także z łamów „Tygodnika”, gdzie m.in. oryginalnie interpretował twórczość Henryka Sienkiewicza, pisał o Camusie czy Gombrowiczu oraz udawał, że Polaków nauczył mówić Jan Kochanowski. Odcinka mogą Państwo wysłuchać na stronie www.TygodnikPowszechny.pl lub na soundcloud.com/booksnotdead.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



By nie przeoczyć kolejnych odcinków, kliknij w „OBSERWUJĘ/FOLLOW”!

STANISŁAW

Mancewicz: Masażysty



DZIŚ BĘDZIEMY SIĘ RELAKSOWAĆ, CO ZNACZY, że spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, co nam sprawia przyjemność. Rzecz jasna jesteśmy w pracy, więc nie ma możliwości, byśmy się relaksowali naprawdę, podejmiemy jednak w tej kwestii mozoły teoretyczne.

Rozwój technik relaksacyjnych jest imponujący, a relaks uważamy dziś za podstawowe dobro i zasadnicze prawo w pakiecie praw człowieka. To nie wszystko, bowiem najpierw biznes, a za nim polityka uznały, że obywatel zrelaksowany jest zarówno lepszym pracownikiem, jak i znacznie lepszym wyborcą. Wyborca ściśnięty skomplikowanym sznurowaniem ideowym, skrępowany zasadami jest nieruchawy, ograniczony, i przez owo przykre ograniczenie jest poirytowany, mniej gibki i jakby przykurczony. By rzecz wprost: jest on jednowymiarowy. Co także ważne, poprzez te ograniczenia jest owego wyborcy jakby mniej. Biznes znalazł po temu rozwiązania, oferując pracownikom atrakcyjne pakiety zawierające liczne dotacje do wizyt na siłowniach, basenach czy strzelnicach, więc politycy postąpili podobnie. Zwolnili wyborców z wysiłku, umożliwiając swobodny ruch rozumem, niekoniecznie skoordynowany z czymkolwiek, i zabieg ten okazał się strzałem w dziesiątkę. Danie ludziom wolnej ręki w dowolnych opiniach na dowolny temat, gdzie celem jest wyłącznie zysk, było ruchem znakomitym. Tanim kosztem uzyskano wyborcę trójwymiarowego, a nawet bardziej, co jest

niezgodne może z fizyką, ale zgodne z psychologią i rzecz jasna – z interesami.

Popatrzmy, bo tak to mniej więcej wygląda. Jesteśmy co prawda partią prawicową – powiada jej lider – ale jeżeli chcesz sobie mieć poglądy należące tradycyjnie do pakietu przekonania lewicowych, to nam nie szkodzi. Sentymentalizujesz reżym czerwonego? Kapitalnie. Nie robisz tak? Też dobrze. Wolny rynek nasuwa ci pakiet podejrzeń, że wszyscy prócz ciebie są złodziejami? Ekstra. Zrelaksuj się i głosuj na nas. Chcesz być faszystą? Cudownie. Rasistą? Kapitalnie. Antysemitą? Jeszcze lepiej. Nie jesteś? Nic nie szkodzi, też się przydasz. Masz od nas gwarancję, że będziemy bronić twego zestawu mniemań. Każdych. Jesteśmy bowiem elastyczni bez granic, i wszystko, co ci się wydaje prawdą, jest i będzie prawdą dla nas. Nie usłyszysz od nas słowa „nie”. Bo my mówimy zawsze – takim jak ty – „tak”. Jesteś konsumentem wyłącznie darmowych treści? Bierzysz czynny udział w regresie cywilizacyjnym, wspartym przez najnowsze technologie? Idealnie. Czujesz się osaczony? Słusznie. Wesprzemy cię i zagwarantujemy, że będziesz – skoro to lubisz – osaczony jeszcze bardziej, jesteś bowiem mądry mądrością narodu. Leczysz się u czarownika? Dobrze. Lekarz odradza ci picie? Pij. Chcesz sobie odmrozić uszy? Mroź. Jesteśmy bowiem najłagodniejszymi politykami w historii. Pozwalamy ci na wszystko. Dzięki temu jest nas przecież więcej i więcej. Zawsze jesteśmy gotowi na sprawienie ci prezentu, czy to świątek, czy piątek. Nasz sklep z rozluźniającą ofertą jest czynny. Nawet w niedzielę. Od zawsze uważamy, że jesteś z natury swej dobry, ale oczywiście najbardziej nas cieszy, gdy jesteś zły, bowiem dobro spina, a zło rozluźnia.

Warunkiem relaksu jest rozluźnienie. Każdy masażysta to powie. Warunkiem sukcesu w polityce też. Kadra naszych masażystów jest imponująca, Gospodarz wymasuje ci głowę, Morawiecki kark, Gowin kręgosłup, Wildstein moralną gulę, a Pawłowicz z Bonkowskim rozmasują ci splecione genotyp, rozbielą oblicze i umożliwią aplikację do rasy panów. Ze świecą szukać kogoś, kto by był zadowolony. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PRAWIDŁOWE WSTANANIE Z KOŁAN. KOLEJNE FAZY.

OSTATNIE DNI NISKICH CEN PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”!



Szanowni Państwo,

ze względu na wprowadzone z dnia na dzień przez Pocztdę Polską podwyżki obsługi przesyłek krajowych zostaliśmy zmuszeni do podniesienia cen prenumeraty. Od 21 marca 2018 r. będzie funkcjonował nowy cennik, nad którym aktualnie pracujemy. Do tego czasu mogą jeszcze Państwo skorzystać z poprzedniej oferty.

Dołożymy wszelkich starań, by podwyżka była jak najmniej dotkliwa. Podkreślamy też, że „Tygodnik” w prenumeracie to pewność otrzymania każdego wydania, to egzemplarz dostarczany do skrzynki pocztowej oraz dostęp do ofert lojalnościowych dla Prenumeratorów.

Wydawca Tygodnika Powszechnego



CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – AKTUALNY TYLKO DO 21 MARCA 2018!

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

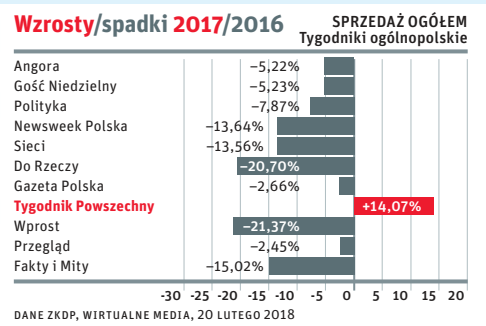
Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER
MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!



Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny”. Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika”. Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP” poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.



Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS: **0000125605**

Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**



Ks. Adam Boniecki
redaktor senior,
przewodniczący
Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu
Fundacji TP

Edyta Piachta
członkini zarządu
Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP”

Maja Kuczińska
członkini zarządu „TP”

Piotr Mucharski
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego”